

A silhouette of a young boy stands in a rain shower, looking to the right. The background is a bright, overcast sky with rain falling. The boy's shirt has the text 'MAK EM PROFI CIE' visible on the back. A small green plant is visible in the foreground to the right.

JANUSZ KORCZAK

**Król Maciuś na
wyspie bezludnej**


wolnelektury.pl



FUNDACJA
nowoczesna
Polska

JANUSZ KORCZAK

Król Maciuś na wyspie bezludnej

Ach, jak strasznie źle było Maciusiowi w więzieniu. Właściwie nie było mu źle — ale ciasno. Ciasno i nudno.

Bo jeżeli ktoś siedzi w więzieniu — i mają rozstrzelać — wcale się nie nudzi. Ale Maciuś miał być wysłany na bezludną wyspę. Maciuś przegrał wojnę, był jeńcem królewskim i — zupełnie jak Napoleon będzie wysłany na wyspę.

A tymczasem czeka.

Mieli go wysłać za tydzień, a przeszło trzy tygodnie — i nic. Bo trzej królowie, którzy wzięli go do niewoli, ani rusz nie mogą się pogodzić. Młody król nie ukrywał wcale, że nienawidzi Maciusia, pragnąłby najlepiej pozbyć go się zupełnie. Smutny król już nie bał się przyznać, że jest przyjacielem Maciusia. Więc król, opiekun żółtych, któremu było wszystko jedno — mówił, jak być powinno.

A powinno być tak, żeby Maciuś żył sobie spokojnie, ale żeby nie mógł się wtrącać do niczego i żeby nie mógł uciec. Więc nie można wysłać Maciusia na wyspę Maras, bo tam są błota, jest żółta febra i czarna ospa. Nie można wysłać Maciusia na wyspę Luko, bo za blisko lądu i czarni królowie mogliby ułatwić ucieczkę. Aż ogłosili konkurs, to znaczy wydrukowali we wszystkich gazetach całego świata takie ogłoszenie:

Jeżeli jaki nauczyciel geografii wskaże nam dobrą wyspę dla Maciusia, otrzyma dużą nagrodę. Dajemy miesiąc czasu, żeby napisali, gdzie ta wyspa leży i dlaczego jest odpowiednia dla Maciusia.

Zaczęły nadchodzić odpowiedzi. Królowie powiesili na ścianach mapy wszystkich części świata i na wyspach, które im się podobały, wkłuwali szpilki z chorągiewkami.

Tymczasem przyjechał Bum-Drum, jeszcze kilku mniej ważnych królów czarnych i żółtych, przyjechała królowa Kampanella i pięciu białych królów, którzy udawali, że też mają wiele do powiedzenia.

Narady odbywały się w różnych miastach, bo królowie byli dumni i mówili:

— Jak chcą, żebym radził, niech do mnie przyjadą, żeby nie wyglądało, że ich proszę o łaskę.

I każdy z królów chciał trochę pojeździć.

Dwa razy zebrali się w miasteczku nad morzem, potem radzili w dużym mieście w górach, potem pojechali do miasta, gdzie było najsmaczniejsze na całym świecie piwo, a potem tam, gdzie było ciepło. Każdy z królów woził paru ministrów, każdy minister woził sekretarzy, każdy sekretarz woził parę pańienek, które pisały na maszynie, o czym królowie mówią, bo to się nazywa — protokół.

A Maciuś tymczasem siedzi w więzieniu i czeka.

Gdyby choć mógł czytać gazety, gdyby wiedział, że o nim mówią i piszą — byłoby lżej niż teraz, kiedy myśli, że wszyscy już o nim zapomnieli.

Bum-Drum bardzo chciał się widzieć z Maciusiem, ale bał się zdradzić — i udawał nawet zagniewanego.

— Wymanił mi Maciuś tyle złota — skarżył się Bum-Drum — obiecał nauczyć czarne dzieci wszystkiego. I co? Część zginęła w boju, część siedzi w obozie dla jeńców. Biedna Klu-Klu w więzieniu.

I Bum-Drum chciał fiknąć żalobnego koziołka, ale przypomniał sobie, że już nie jest dziki, więc tylko tarł oczy, niby że płacze.

— Jeżeli wasza królewska mość życzy sobie uwolnić królową Klu-Klu, możemy na jutrzejszym posiedzeniu wnieść tę sprawę pod obrady — powiada młody król, który zaczął się Bum-Drumowi podlizywać.

— Nie — mówi Bum-Drum ze łzami w oczach. — Tyle macie ważnych spraw, że szkoda czasu na zajmowanie się jedną lekkomyślną dziewczynką.

Bum-Drum wiedział, że wśród białych trzeba koniecznie płakać, gdy się mówi o czymś smutnym. Więc nosił flaszeczkę z amoniakiem i wachał, kiedy należało być wzruszonym. Bo amoniak, musztarda i cebula — wyciskają łzy z oczów.

Ano dobrze. Na dwudziestym czwartym posiedzeniu postanowią już, dokąd wysłać Maciusia. Zebranie odbędzie się w pałacu Kampanelli, która miała przez Maciusia pierwszy na świecie prawdziwy bunt dzieci z zielonym sztandarem.

Królowa Kampanella była bardzo ładna. Mąż jej umarł w marcu. Dzieci nie miała. Pałac jej mieścił się w pięknym pomarańczowym ogrodzie nad brzegiem ślicznego jeziora.

W czarnych frakach przyjechali trzej nauczyciele geografii; ich wyspy najlepiej się podobały. I jedną z trzech wysp mieli wybrać dla Maciusia.

— Moja wyspa — mówi pierwszy nauczyciel — jest tu.

I pokazał pałeczką na mapę, ale wszyscy widzieli tylko morze, bo żadnej wyspy nie było.

— Dziwicie się, wasze królewskie moście, że wyspy nie ma na mapie. Zaraz wam wytłumaczę. Na mapach rysuje się tylko duże wyspy, bo by się wszystkie nie zmieściły. Jeżeli jest na mapie choćby tylko kropeczka, to wyspa jest duża. Moja wysepka ma tylko trzy kilometry, jest więc bardzo mała. Za to wygodniej będzie Maciusia pilnować. Wysokich drzew nie ma — w ogóle mało jest roślin — trochę trawy tylko i krzaków. Jest zupełnie bezludna i bardzo daleko od lądu. Miejscowość zdrowa, zimy wcale nie ma. Wystarczy zbudować drewniany barak dla Maciusia i straży. Raz na miesiąc można posyłać jedzenie — i już. Niech sobie siedzi.

Całe szczęście, że Bum-Drum był Murzynem. Bo gdyby nie był czarny, to by tak zbladł, że wszyscy od razu by poznali, jak bardzo go ta wyspa przestraszyła.

— Jak ona się nazywa? — zapytał się młody król.

— Otóż to właśnie. Zaraz powiem. Tę wyspę odkrył w roku 1750 podróżny Don Pedro. Burza połamała mu żagle, z trudem tam wylądował i przez lat dwadzieścia mieszkał. Aż przypadkiem znalazł go okręt korsarski. Don Pedro udawał, że chce zostać rozbójnikiem, a że obrośnięty naprawdę wyglądał jak zbój — więc go przyjęli. Cztery lata był korsarzem. Wreszcie uciekł i nazwał ją Wyspą Żadnej Nadziei. Wszystko opisane jest w bardzo grubej książce, której — pewien jestem — żaden nauczyciel geografii oprócz mnie nie czytał.

— Moja wyspa — mówi drugi nauczyciel geografii — ma jedną wadę: leży trochę za blisko lądu. Ale za to obok jest mała wysepka z latarnią morską. Jak jest mgła albo w nocy — latarnia się pali — wszystko widać. Na południu wyspy jest skała — obok skały polanka. Na polance jest dom dla Maciusia. Wyspę tę zamieszkiwali dawniej bardzo spokojni Murzyni. Jak tylko biali odkryli wyspę, zaraz urządzono szkołę. Nauczono ich modlić się i palić fajki. Marynarze dawali tytoń, brali wanilię, cynamon i kanarki. Po pięciu latach pewien kupiec założył nawet sklep. I byłoby dobrze; ale dzieci kupca zachorowały na odrę. Dla białych odra nie jest niebezpieczna, ale czarne wszystkie dzieci umarły, a z dorosłych zostało nie więcej niż stu ludzi. Jeżeli są tam jeszcze, to pewnie bardzo niewiele — i siedzą w lesie w zachodniej części wyspy, bo uciekli przed odrą, sklepem i szkołą białych.

— Gdzie jest ta wyspa? — zapytał się smutny król.

— Tu — pokazał pałeczką na mapie nauczyciel geografii.

Jak się nie zerwie nagle Bum-Drum z krzesła, jak nie huknie pięścią w stół.

— Nie pozwalam! — krzyczy. — Ta wyspa jest za blisko lądu, gdzie mieszkają Murzyni. Maciuś ucieknie i zbuntuje mi dzieci. Co wy sobie, do zielonej mały, myślicie!

Królowie bardzo się obrazili.

Królowa Kampanella z przestachu mało nie zemdląła, nauczycielowi geografii laseczka aż wypadła z ręki, bo Bum-Drum chciał się rzucić na niego — i ledwo młody król go przytrzymał.

— Uspokój się, czarny przyjacielu, jeszcze twojej wyspy nie ruszamy. Jak nie, to nie. Bo to jedna wyspa jest na świecie?

Ale kiedy biali królowie zebrali się wieczorem osobno w pomarańczowym ogrodzie, wszyscy, na złość Bum-Drumowi, a może trochę młodemu królowi, tę właśnie wyspę chwalili.

— To przecież śmieszne, żebyśmy się słuchali tego ordynarnego dzikusa. Może mu się naprawdę zdawać, że go się boimy. Jakże Maciuś może uciec, jeżeli go straż będzie pilnowała, a w nocy latarnia morska oświetla polankę?

— Przecież to dziecko — mówi królowa Kampanella. — Trzeba mu dać trochę drzew, zieleni, trochę śpiewu ptasząt. Maciuś wyrządził mi krzywdę, ale mu przebaczam.

— Szlachetne serce waszej królewskiej mości wzrusza nas głęboko — powiedział znany z grzeczności dla dam król Malto.

— Zapewne — wtrącił młody król — ale szanując tkliwość serca królowej, musimy w polityce kierować się przede wszystkim rozumem i ostrożnością.

— Ależ to dziecko — powtórzyła królowa, podając młodemu królowi dwie malinowe pomarańcze i siedem daktyli.

— Wszystko przemawia za tym, żeby wybrać tę właśnie wyspę — mówi przyjaciel żółtych królów. — Dowóz żywności dla straży i Maciusia będzie łatwiejszy, bo bliżej, przy tym morze jest tu zupełnie spokojne. Budować nic nie potrzeba, bo jest już budynek szkoły, gdzie mogą mieszkać. No i nie bądźmy śmieszni: gdyby nawet Maciuś próbował uciec — zjedzą go dzikie zwierzęta, a nie znając mowy Murzynów, jakże się z nimi porozumie? Widzimy więc, że nie tylko serce naszej pięknej gospodyni, ale i rozum, i ostrożność pozwalają nam wysłać tam Maciusia.

Młody król już się nic nie odzywał, tylko zajadając daktyle myślał strapiiony:

„Będę miał przeprawę z Bum-Drumem”.

Przechadza się Maciuś po dziedzińcu więziennym. Wokoło nic, tylko czerwone, wysokie mury. Jedno stare drzewo orzechowe rośnie na środku. Było więcej, ale stały za blisko muru. Ścięto je, kiedy lat temu dziewięć uciekł z więzienia słynny bandyta, którego długo potem szukała policja. Teraz koło muru pozostało tylko dwanaście pni — i jeszcze bardziej ponuro wygląda podwórko.

Przechadzka trwa pół godziny. Przed Maciusiem idzie dwóch żołnierzy z nabitymi karabinami, za Maciusiem też dwóch, a z prawej i z lewej strony — po trzech żołnierzy z obnażonymi pałaszami. Maciuś patrzy w ziemię i liczy kroki:

— Jeden — dwa — trzy — cztery — pięć — sześć — siedem kroków...

Razem wypada sto dwadzieścia małych albo osiemdziesiąt dużych: siedemdziesiąt kroków do drzewa orzechowego i pięćdziesiąt — od drzewa do muru. Co dziesięć kroków Maciuś podnosi głowę i spogląda na orzech.

Bo na co ma patrzeć? Czasem zupełnie zamyka oczy i otwiera dopiero, kiedy ma spojrzeć na drzewo. Czasem stawia na przemian — raz duży, raz mały krok. Czasem chodzi na palcach albo dziesięć kroków na palcach, a dziesięć na piętach. Jak mógł, urozmaicał sobie nudny spacer więzienny. Przychodziło mu często do głowy, żeby skakać na jednej nodze. Skakał nawet czasem, ale tylko w więziennej celi, kiedy był pewien, że nikt nie widzi. Gdyby był zwyczajnym więźniem, byłoby mu lepiej; ale jako więzień królewski musi tym bardziej dbać o swój honor, że wrogowie chcieli go honoru pozbawić.

— Więzień numer dwieście jedenasty do kancelarii! — zawołał przez okratowane okno naczelnik więzienia.

Maciuś drgnął: to jego numer. Ale udaje, że nic — idzie dalej.

— Wzywają waszą królewską mość do kancelarii — mówi starszy żołnierz warty.

Bo wydano rozkaz, żeby Maciusia nazywać królem, kiedy się do niego zwracają, bo inaczej ani nie odpowiadał, ani się nie słuchał. Więc mówiono o nim: więzień numer dwieście jedenasty, ale do niego: wasza królewska mość.

— Do kancelarii.

Spojrzał Maciuś na orzechowe drzewo, zawrócił — zmarszczył brwi — ręce w tył założył — stawia umyślnie małe kroki, niby że się wcale nie śpieszy — wreszcie jest — czeka. Ale nogi drżą pod nim, a serce tak stuka, tak stuka.

— Wasza królewska mość usiąść raczy — powiedział bardzo grzecznie naczelnik więzienia i sam podał mu krzesło.

Maciuś od razu się domyślił, że stało się coś niezwykłego. Nauczył się Maciuś zwracać uwagę na najmniejszy szczegół, nauczył się czytać myśli różnych ludzi. Zrozumiał Maciuś, że często ludzie coś mówią, a myślą zupełnie co innego.

Szorstko odsunął podane krzesło.

Do kancelarii wchodzi król Orestes Drugi i jakaś pani bardzo ładna w czarnej aksamitnej sukni. Król Orestes był u Maciusia na zjeździe królów. Poznał go Maciuś po Orderze Wielkiego Półksiężycy: największy order, jaki Maciuś widział.

— Jestem królowa Kampanella — powiedziała pani w czarnej sukni.

— Jestem więzien numer dwieście jedenasty — z goryczą przedstawił się Maciuś. I patrzy jej prosto w oczy, niedbale oparty o poręcz krzesła.

— O nie — odparła z prostotą królowa. — Dla mnie król Maciuś Reformator pozostanie zawsze — dobrym opiekunem dzieci i walecznym rycerzem.

I podała rękę, którą Maciuś z szacunkiem ucałował.

Teraz chciał się przywitać Orestes. Ale Maciuś wyprostował się dumnie i nie podał ręki.

— Jestem więzieniem i nie mam orderów — powiedział, patrząc mu ostro w oczy.

Naczelnik więzienia, chcąc przerwać nieprzyjemną scenę, którą widzieli żołnierze i urzędnicy — poprosił wszystkich do salonu prywatnego mieszkania.

Maciuś spojrzał na dywan, kosztowne obicie mebli, kwiaty w oknach — uśmiechnął się nieznacznie. Spozstrzegła ten uśmiech bolesny królowa.

Rozsiadł się obrażony Orestes i przegląda obrazki dużej, pięknie oprawionej książki, która leżała na stole.

Maciuś jest zły — strasznie zły. Gniewa go salon, gniewa naczelnik więzienia, gniewają kwiaty, dywan, fortepian — milczenie królowej — gniewa, że królowa tak na niego patrzy. A najbardziej gniewa go Orestes i jego ogromny Order Półksiężycy.

„Czy też mnie wyzwie na pojedynek, że ręki mu nie podałem?” — myśli Maciuś.

Kiedy później myślał Maciuś o tej wizycie, zrozumiał powód gniewu. W długich godzinach zamknięcia i osamotnienia oczekiwał Maciuś smutnego króla. Kiedy w salonie naczelnika więzienia zobaczył fortepian, jak żywy stanął mu przed oczami smutny król, a w uszach dźwięczeć zaczęły najsmutniejsze melodie. Nikt inny nie miał prawa przyjechać. Co innego Kampanella, a co innego jakiś tam nieważny królik małego kraju.

Co by mu jeszcze powiedzieć, żeby zrozumiał, że niepotrzebnie wtrąca tu swoje trzy grosze?

W ogóle chce się Maciusiowi strasznie dużo mówić, a boi się, żeby się z czymś niestosownym nie wyrwać. Przypomniawszy sobie Maciuś mistrza ceremonii, który zawsze w porę coś takiego zrobił, że było wszystko w porządku. No bo co? Królowa patrzy, tamten ogląda obrazki, a naczelnik więzienia stoi jak słup — i wcale się nie kończy.

— Może podać herbatę albo kawę ze śmietanką? Mam doskonałe ciasteczka domowej roboty — zaczął naczelnik, ale pożałował.

— Czyś pan oszalał — krzyknął Maciuś, a w oczach zamigotały mu iskry. — Czy na to cały miesiąc gniję w pańskim lochu, żeby wreszcie ciasteczka zajądać? Chcę wiedzieć, co postanowili moi wrogowie. Żądam nieodwołalnie, żeby mnie zesłano natychmiast na bezludną wyspę. Gdyby mi powiedzieli, że całe tygodnie mam siedzieć w więzieniu, nie przyjąłbym ulaskawienia. Chciałem zginąć w domku dzikich zwierząt — oni podstępem mnie ujęli. Żądam oficjalnego papieru z pieczęcią.

Nagle pochwycił Maciuś piękną, porcelanową wazę i uderzył nią o stół, tuż obok książki z obrazkami. Waza potłukła się na drobne kawałki, Maciuś zakrwawił sobie rękę. Orestes zerwał się z fotela, królowa przymknęła oczy, a naczelnik więzienia wybiegł po doktora, bo sam nie wiedział, co robić.

Królowa Kampanella wyjęła z torebki pachnącą chusteczkę do nosa i łagodnie wyciera krew z ręki Maciusia. Królowa miała plan gotowy: nie pozwoli wysłać królewskiego sieroty na bezludną wyspę — weźmie go do siebie.

Kampanella jest samotna, dzieci nie ma, mąż jej umarł. Niech otoczą wysokim murem piękny park pomarańczowy, który doskonale zastąpi wyspę bezludną. A Kampanella będzie mu matką.

Lekarz więzienny owiązał Maciusiowi rękę, bo inaczej nie wypadało przy królach — i dał Maciusiowi pięć kropli na cukrze na uspokojenie nerwów. Lekarz więzienny miał dwa lekarstwa: w lewej kieszeni krople, w prawej proszki. Jedno i drugie było strasznie gorzkie i dawało się na wodzie. Ale jeśli naczelnik więzienia darował własny cukier, można zrobić wyjątek.

Nazajutrz Maciuś oznajmił, że ani pokarmów przyjmować nie będzie, ani na przechadzkę nie wyjdzie. Żąda papieru z pieczęcią, żeby wiedzieć wreszcie, co chcą z nim zrobić. Dłużej w więzieniu siedzieć nie myśli.

Koło południa wezwano Maciusia do kancelarii. Maciuś odmówił: nie pójdzie. Nie ruszy się z miejsca, dopóki mu nie dadzą papieru z pieczęcią.

Chce wiedzieć! Dość tej zabawy w ślepą babkę.

Niezadowolony był naczelnik więzienia. Bo królowa nie tylko się nie obraziła, że Maciuś nie wyszedł, ale przyznała mu słusność. Chciała przy tym zobaczyć, jak Maciuś mieszka. A mieszkał źle. Cella była wilgotna i ciemna, po ścianach łaziły pająki i pluskwy, i Maciuś spał na sienniku na podłodze. W kącie stała miednica i dzbanek wody, i nawet krzesła nie było. A królowa przyniosła ogromny bukiet białego bzu. Co tu robić?

Zaraz dozorca zaniósł do celi miękką fotel z prywatnego mieszkania i taką samą piękną wazę, jaką już Maciuś stłukł wczoraj. Bo było ich dwie: jedna stała na stole, a druga na fortepianie. Naczelnik więzienia chciał, żeby Maciuś i tę drugą wazę potłukł; wtedy królowa zobaczy, jak trudno z nim radzić, i zrozumie, dlaczego Maciusia trzymają w takiej ciemnej celi.

Ale Maciuś nad wyraz uprzejmie przyjął królową. Z ogromną wdzięcznością wziął bukiet, który jednak wstawił do swojego glinianego dzbanka z wodą, a nie do porcelanowej wazy. Kampanella, zachęcona tym, położyła nieznacznie pudełko czekoladek, pudełko to miała ukryte w kieszeni królewskiego płaszcza, bo nie wiedziała, w jakim Maciuś będzie humorze.

— O nie, za czekoladki dziękuję: zbyt boleśnie przypominają mi one moją pierwszą dziecienną reformę.

Więc tak:

Bezludna wyspa już jest wybrana. Słusznie gniewa się Maciuś, ale doprawdy prędzej nie można było. Król Orestes nie jest winien — on tylko przez grzeczność towarzyszył królowej. Chciał koniecznie przyjechać smutny król, ale Bum-Drum i młody król nie pozwolili. Bum-Drum jest teraz przyjacielem młodego króla. Papier z pieczęcią i podpisami królów jeszcze nie jest gotów. Kampanella przyjechała, żeby uspokoić Maciusia i powiedzieć, że o nim pamiętają, że niezadługo będzie mógł wyjechać. A tymczasem...

— ... Jeśli wasza królewska moc pozwoli, będę go odwiedzała codziennie.

Zamiast odpowiedzi, Maciuś złożył pocałunek na rękę dobrej królowej.

— Niestety — powiedziała królowa — nie wolno mi przychodzić na dłużej niż na czternaście minut.

— Rozumiem: etykieta — szepnął Maciuś.

— Nie, regulamin więzienny...

Czy lepiej było teraz Maciusiowi, gdy przeniesiony do czystego pokoju miał prawo odbywać przechadzkę w ogrodzie więziennym, codziennie odwiedzany przez królową — gdy spał na łóżku i spożywał posiłek z prywatnej kuchni naczelnika więzienia siedząc na krześle przy stole?

Nie — było tak samo ciasno i tak samo boleśnie. Może i gorzej jeszcze. W dawnej celi — rozumiał, że czeka, że tymczasowe schronisko zmienią mu na inne — na bezludnej wyspie. Teraz — nie czekał już na nic.

Bo cóż? Na bezludnej wyspie mieć będzie wszystko, co już dziś posiada. Jeśli nawet dadzą lepszy pokój i meble, ładniejszą przechadzkę nad morzem i więcej swobody — pozostanie na zawsze samotność i nuda.

Tak tęsknił do zegara. Myślał, że prędzej dzień przejdzie, jeśli będzie mógł wiedzieć, ile godzin dnia upłynęło. Złudzenie. Teraz widzi, jak powoli wloką się wskazówki, jak strasznie długo trwa godzina. Jak strasznie długo trwa taki jeden dzień więzienny.

— Maciusiu, czym mogę ci ulżyć? — pyta się królowa, gdy Maciusz chmurny chodził po pokoju z założonymi rękami.

— Czym? A czym żyje w pałacu królewskim mój kanarek?

Nie pamiętam, czy o tym mówiłem, że Maciusz miał kanarka w pięknej złotej klatce. Otrzymał go na imieniny i lubił. Ale kiedy go nazwano Maciusiem-kanarkiem w parlamencie, czuł jakby żal do niewinnego ptaszka. A teraz przypomniał sobie i zapragnął mieć blisko. Choć jedno żywe stworzenie pragnął mieć nie na czternaście minut, ale na zawsze.

Kampanella nie odpowiedziała, bo surowo jej zabroniono udzielać Maciusiowi wiadomości, co się dzieje w kraju. Ale natychmiast po powrocie do domu wysłała urzędową depezę do młodego króla:

Czy mam prawo donieść Maciusiowi o losach jego kanarka i klatkę postawić w celi Maciusia? Raczy wasza królewska mość przypomnieć sobie, że na radzie mówiłam, jak bardzo dzieciom potrzebne są drzewa i ptaki.

Ta depeza bardzo rozgniewała króla.

— Najgorzej wdać się z babami — mruzczał młody król. — Dziś kanarek, jutro będzie pies, pojutrze znów coś nowego. A to cela wilgotna, a to ciemno — Maciusz zdenerwowany, Maciusz mizerny. Jak gdyby jedyną naszą troską było dbać o wygody Maciusia.

I król odpowiedział, że pozwala, dodając w depezy, że pragnie, aby to była już ostatnia prośba i ostatnie ustępstwo:

Tkliwe serce waszej królewskiej mości zechce się liczyć z wymaganiami korony.

Koronę nosi się na głowie, a w głowie jest rozum. W ten sposób król grzecznie dał do zrozumienia, że królowa jest dobra, ale niemądra i nie powinna zauduczać.

Nie wiedział Maciusz, stawiając coraz to nowe żądania, z jakim trudem królowa je spełnia, z jakim bólem odpowiada: „nie wolno — nie pozwolili”.

Gazet ani książek przynieść nie pozwolili. Wspominać o Bum-Drumie, Felku, Klu-Klu, smutnym królu nie pozwolili.

Miała królowa za swoje, kiedy Orestes poskarżył, że powiedziała o przyjaźni młodego króla z Bum-Drumem. Zapowiedziano surowo, że jeśli raz jeszcze z czymś się wygada, odwołana będzie natychmiast ze stolicy Maciusia, a miejsce jej zajmie już nie król żaden, ale zwyczajny gubernator Zatoki Kangura, znany z okrucieństwa i niezycliwie dla Maciusia usposobiony.

— A oto twój kanarek, miły Maciusiu.

Królowa już dawno przestała nazywać Maciusia oficjalnie, a Maciusz sam nie wiedział, czy zwrócić uwagę, że jest przecie królem, czy udawać, że nie dostrzega.

— A oto jest fotografia twojej mamusi — powiedziała cichutko, cichutko Kampanella.

Maciusz nie spojrział nawet na fotografię swojej matki — położył ją na stole i zajął się kanarkiem. Zaczął oczyszczać klatkę, chociaż niepotrzebnie, zaczął nalewać wodę na podstawkę, choć wiedział, że podstawka jest za duża, nie zmieści się przez drzwiczki klatki. Potem zakładał między pręciki kawałek bułki, kostkę cukru. I ciągle spoglądał na zegar, kiedy już przejdzie czternaście minut i królowa zostawi go samego.

„Niech sobie już idzie” — myślał Maciusz.

Kampanella też spoglądała na zegar z niepokojem. Bo to już była jej ostatnia w więzieniu wizyta, bo musiała jechać na ostatnią naradę, żeby podpisać papier o zesłaniu Maciusia. A koniecznie chciała się jeszcze zapytać:

— Maciusiu, zanim pojedę, chcę ci coś powiedzieć. Nie wiem, czy to się uda. Ale będę się bardzo starała. Zostaw teraz kanarka — później to wszystko zrobisz.

Maciusz zmarszczył brwi.

— Słucham.

— Powiedz mi, ale szczerze powiedz; gdyby królowie pozwolili... Czy chcesz? Jestem sama jedna na świecie — tak jak ty. Nie mam dzieci — nie mam nikogo — czy chcesz,

żebym zastąpiła ci matkę?... Będziesz mieszkał w pomarańczowym ogrodzie w moim pięknym, ciepłym kraju, w dużym marmurowym pałacu. Uczynię wszystko, aby ci było dobrze. Z czasem królowie pewnie się przeproszą. A jak będę stara, ty będziesz duży, oddam ci tron i koronę. Znow będziesz królem.

Kampanella chciała objąć Maciusia i pocałować, ale Maciś szybko się odsunął.

— Jestem królem — królem własnego kraju — obce trony i korony mi niepotrzebne — mam własne.

— Ależ, Maciusiu...

— Nie jestem Maciusiem, jestem królem w niewoli, a co mi zabrano, odbiorę.

Duży dzwon więzienny zadzwonił na znak, że upłynęło czternaście minut.

Maciś zagryzł wargi. Serce mocno zaczęło stukać. Myśli — myśli — myśli.

— Królowo — mówi Maciś — dziękuję ci. Byłaś dla mnie bardzo dobra. Nie mogę być niewdzięczny. I dlatego właśnie się nie zgadzam. Bo gdybym się zgodził, miałabym żmartwienie.

— Dlaczego?

— Bo ja bym — uciekł. I ucieknę, z pewnością ucieknę. Niech oni się mnie strzegą. Niech mnie dobrze pilnują!

Znow uderzył dzwon więzienny.

Maciś już zupełnie spokojnie dokończył:

— Wasza królewska mość, dopóki mnie więżą przemocą — jestem wolny, mogę robić, co chcę, wolno mi się bronić. Gdybym się zgodził zostać twoim synem, byłbym już niewolnikiem na zawsze.

Po raz trzeci uderzył dzwon więzienny. Królowa wyszła.

Uciec!

Dziwi się Maciś, że tak późno, że dopiero teraz pomyślał o tym poważnie. Przelażywała mu myśl przez głowę od czasu do czasu. To jakby się pytał sam siebie: czy mi się uda, czy potrafię, dokąd ucieknę i po co? Dopiero teraz, kiedy królowa pozwoliła wybrać to najlepsze, czego się mógł w niewoli spodziewać — Maciś postanowił, raz na zawsze, nieodwołalnie.

Czy się uda, czy nie, czy ma, czy nie ma dokąd uciec, czy jest, czy nie ma po co uciekać — on musi, musi uciec. Już teraz nie będzie się nudził, nie będzie co chwila spoglądał na zegar. Będzie miał strasznie dużo pracy. Musi dokładnie obejrzeć ogród więzienny, każdy załamek muru, każde przy murze drzewko. Musi godzinami całymi układać, od czego zacząć, gdy się już znajdzie poza murem. Trzeba obmyślić dokładnie, w co się przebierze, co weźmie na drogę. Musi mieć sznur — jak go zdobyć?

Ani zauważył Maciś, jak wieczór zapadł, zapaliło się światło — i zaśpiewał kanarek.

Zbliżył się Maciś do klatki — ptaszek umilkł na chwilę przestraszony, ale po chwili jeszcze głośniejsze i piękniej zaśpiewał.

I padł wzrok Maciusia na fotografię matki.

„Mamo moja, widzisz; Kampanella chciała ci zabrać Maciusia. Zabrali tron, zabrali koronę, a teraz chcą i mnie zabrać. Nie zostawię cię, mateczko, w więzieniu; razem uciekniemy. Nie bój się: ja cię obronię.”

Wyjął Maciś fotografię z kosztownej, drogimi perłami wysadzanej ramy, ucałował tkliwie, włożył do bocznej kieszonki na sercu i spytał się z uśmiechem:

— Prawda, że lepiej ci teraz, mateńko?

Kanarek wesoło zaśpiewał.

— No i cóż? — zapytał się król Orestes.

— Maciś jest strasznie zdenerwowany — odpowiedziała wymijająco królowa.

Za to na pierwszym zaraz posiedzeniu królów zabrała głos w sprawie Maciusia:

— Królowie, nie podpisujcie tego papieru. Nie można porównywać Maciusia ani z Napoleonem, ani z żadnym królem dorosłym. Chociaż nie mam dzieci, odgaduję dziecko sercem macierzyńskim. Maciś jest nerwowy. On ma dobre serce.

— Zaczyna się — mruknął młody król do Bum-Druma.

— Żebyście widzieli, jak go ucieszył kanarek, jak zaczął dawać wodę, bułkę, cukier. Dzieci są lekkomyślne i niedoświadczone...

Królowa Kampanella widziała, że wszyscy się niecierpliwią, ziewają, zapalają papierosy, wzdychają. Ale królowa mówiła, mówiła. Już stary król Alfons Brodaty zasnął w fotelu, już błądy król Mitra Bengalski zażył proszek od bólu głowy — gdy wreszcie Kampanella wyjaśniła, o co jej chodzi:

- Dajcie mi Maciusia.
- Będziemy głosowali — prędko powiedział król, przyjaciel złotych.
- Dobrze — zgodzili się wszyscy.
- Jeszcze chwilkę — błaga Kampanella — zapomniałam dodać..
- Zróbmy małą przerwę — zaproponował Orestes.
- Dobrze. Napijemy się herbaty.
- Zjemy kolację.

Pocziwa Kampanella sama dolewa królom najlepszych win i likierów. Każdego króla osobno pyta się, co lubi... Lokaje na rowerach zwożą z najdroższych restauracji najlepsze jedzenia. Częstoje gości cygarami. Owoce, lody, jakie tylko są na świecie: śmietankowe, waniliowe, malinowe. Torty. Miód, sorbet turecki, orzechy w cukrze, irysy, chleb świętojański, sery szwajcarskie, portery angielskie.

— Brakowało tylko kolońskiej wody i perskiego proszku — powiedział nazajutrz znany żartowniś, król Migdał Angorski.

Rozumie się, głosowanie odłożono. Bo choć królowie mogą jeść i pić, ile chcą, ale tym razem wypili wyjątkowo wiele.

Kiedy nazajutrz postanowiono, że głosowanie odbędzie się nie u Kampanelli, ale w uroczej zacisznej wiosce rybackiej, królowa domyśliła się, że się nie zgodzą. Bo nie wypadało być w gościnie i odmówić prośbie gospodyni.

I tak właśnie się stało.

— Dwanaście plusów, cztery minusy.

Maciuś pojedzie na bezludną wyspę.

— Proszę podpisać.

Kampanella podpisała się ostatnia — i bez pożegnania pierwsza wyjechała.

„Żeby nie wiem co, muszę uratować to biedne dziecko” — postanowiła królowa.

A Maciuś nie na żarty gotował się do ucieczki.

Mur więziennego ogrodu był stary i obrośnięty dzikim winem. Maciuś zaczął wnosić klatkę z kanarkiem i bawił się przy murze w Robinsona. Pajacyk był Piętaszkiem, kanarek był papugą i Maciuś na korze drzewa robił co dzień jeden znaczek, tak jak Robinson.

Widzą żołnierze, że mały więzień zupełnie się uspokoił i bawi się dziecinnie, więc mniej go teraz pilnują. Dawniej na podwórku musieli chodzić za nim krok w krok, bo okno kancelarii wychodziło na podwórze i naczelnik więzienia patrzył na żołnierzy; a teraz w ogrodzie mogli robić, co chcieli. A przecież przyjemniej gawędzić niż chodzić z karabinem i nic nie mówić.

A Maciuś zauważył, że jedna cegła muru się rusza. Zaczyna majstrować — w prawo, w lewo, stare wapno się kruszy, ale nic nie widać, bo dzikie wino zasłania. Nie wyjął Maciuś cegły, tylko zaczął drugą cegłę dłubać. Bola go palce, ścierają się paznokcie, ale na nic nie zważa, aby prędzej skończyć. Tak przed obiadem już cztery cegły były gotowe, a po obiedzie dwie.

„Jeśli tak pójdzie dalej, za trzy dni będę wolny.”

Wyjąć cegły może, ale gdzie je położyć? Chodzi po ogrodzie i szuka łopaty.

— Dlaczego się nie bawisz w Robinsona? — pyta się starszy żołnierz straży.

Żołnierze przestali go nazywać królewską mością, a Maciuś się nie obraża, przestał być taki dumny jak dawniej.

— Przyzwyczai się dzieciak po troszku. Dobra jest nawet zabawa w Robinsona, bo nieznacznie przejdzie od zabawy do prawdy.

— Może i za surowo z nim postępują królowie?

— Dlaczego się nie bawisz, Maciusiu?

— Chcę wykopać piwniczkę — mówi Maciuś — a nie mam łopaty. Bez piwnicy bardzo mi jest niewygodnie, bo jak upoluję zwierzynę, nie mam jej gdzie położyć.

Dali Maciusiowi łopatę, nawet pomogli kopać. Kiedy już dół był dość duży, Maciś włożył cegły i przysypał piaskiem. Ale jeden ze strażników widział.

— A ty skąd masz cegły?

— Znalazłem w ogrodzie, o tam, koło altanki. Mogę pana żołnierza zaprowadzić.

Wziął go za rękę, a po drodze zaczyna opowiadać o wojnie, o ludożercach — aż ten zupełnie zapomniał.

I jeszcze drugi raz groziło niebezpieczeństwo, kiedy naczelnik więzienia urządził nagłą rewizję.

— Naczelnik idzie! — krzyknął przez okno wartownik korytarza.

Zerwali się żołnierze na równe nogi, rzucili papierosy, chwycili karabiny. Maciś stanął między nimi, spuścił głowę, idzie. Ale już nie zdążyli ustawić się, jak należy.

— Dlaczego z przodu idzie dwóch, a z tyłu czterech? Czy nie znacie regulaminu? A to co za klatka?

I naczelnik uderzył laską w dzikie wino, gdzie stała klatka.

Zimny pot wystąpił Maciusiowi na czoło, bo wyraźnie zobaczył otwór w murze. Naczelnik więzienia był wysoki, więc patrzył z góry i dlatego nie zauważył.

— A to co za podkop? — wskazał na piwnicę.

— To spiżarnia Robinsona Kruzoe — powiedział Maciś.

— Więc daję dzień aresztu za to, że chodzicie nie tak, jak należy, dzień aresztu za to, że pozwalacie kopać doły więźniowi numer dwieście jedenasty.

Ale naczelnik więzienia tylko naumyślnie straszyl. Wiedział, że przebaczy. Bo nie warto zaczynać: jeszcze się poskarży Maciś królowej, a królowa dała dużo prezentów i obiecała przysłać żonie brylantową broszkę, jeżeli będzie dobry dla więźnia. Zresztą Maciś niedługo pojedzie — oby jak najprędzej.

Tyle tylko było nieprzyjemnie, że żołnierze kazali zasypać spiżarnię, gdzie Maciś składał jedzenie na drogę. Z każdej porcji zjadał Maciś połowę, a drugą w tajemnicy przynosił do piwnicy.

Szybko upływały Maciusiowi godziny. Ciągle musiał udawać zabawę. Zbierał żółędzie, patyki, robił ogródek koło muru, niby parkan, niby domki z piasku. A tylko patrzy, gdzie żołnierze, czy blisko, czy widzą. Robota szła teraz wolniej, bo wyjęte cegły musiał Maciś ukrywać pod marynarką, odnosił na drugi koniec ogrodu i wrzucał przez małe okienko od piwniczki pod altanę. A żeby nie było słyhać, spuszczał je na sznurku.

Mur był gruby. Ale niecierpliwić się nie wolno. Najdrobniejsza nieostrożność — i cała praca może pójść na marne. A praca była ciężka. Palce coraz więcej bolały, bo paznokcie od skrobania się pościerały, sporo było zadrapań na całej ręce. Skórka koło paznokci się poobrywała — i nieznośnie bolała i piekla.

Ale za to co za radość, co za szczęście, kiedy ustąpiła ostatnia cegła — i ręka wysunęła się poza mur. Było się nie zdradzić, było się coś nieprzewidzianego nie stało.

A oto się stało. Kiedy Maciś trzyma tak rękę za murem na wolności, przelatuje pies z tamtej strony. I cap Maciusia za rękę zębami. Syknął Maciś z bólu, ale nic, udaje, że tak tylko majstruje koło dzikiego wina. Nawet nie wiadomo, czy pies sam biegnie. Bo jeśli idzie i człowiek, zauważy rękę Maciusia za murem, zaraz się domyśli i da znać dozorowi więzienia.

Pies szczeknął, Maciś wyrwał zakrwawioną rękę i schował do kieszeni.

— Co ty tam robisz? — zapytali się żołnierze, którzy grali w karty.

— Daję kanarkowi salatek — odpowiada Maciś, siłąc się na spokój.

— Głupis, zdechnie ten twój kanarek.

I grają dalej.

Nagle Maciś zrozumiał, że dłużej nie może odkładać ucieczki. Otwór widać teraz od ulicy. Nawet dobrze, że pies zwrócił uwagę na niebezpieczeństwo. Żołnierze kilka razy zauważyli, że Maciś jest jakiś zmieszany, i częściej teraz pytają:

— Co ty tam robisz?

We wtorek przyjdzie sanitariusz więzienny obcinać paznokcie i zdziwi się, że Maciś ma ręce podrapane. Jak wytłumaczy skaleczenia? Teraz dopiero zrozumiał Maciś, jak trudno liczyć na powodzenie, ile trudności i niebezpieczeństw go czeka. Ale zamiast zniechęcić, jeszcze bardziej rozpala się w Maciusiu niecierpliwość.

„Dziś w nocy!” — postanawia.

Więc dobrze. Zjadł kolację, rozebrał się, położył bardzo wcześnie: głowa go boli. Zostawił otwarty lufcik: bo mu gorąco. Nakrył się kołdrą na głowę i czeka na zmianę warty nocnej...

Nagle otwierają się drzwi. Wchodzi naczelnik więzienia, wchodzi delegat rady królewskiej.

— Wasza królewska mość raczy się pakować. Za godzinę wyrusza pociąg na wyspę bezludną. A oto papier z pieczęcią i podpisami królów.

Maciuś wstaje z łóżka, zaczyna się ubierać.

„Dziś w nocy ucieknę — myśli Maciuś, układając do kufra rzeczy. — Nie w ten sposób, to w inny.”

Cała praca Maciusia się zmarnowała. Otwór w murze jest gotów, ale cóż z tego? Już Maciuś do ogrodu więcej nie pójdzie. Każdy inny byłby rozpaczał i stracił nadzieję. Tak, każdy inny, ale nie on. Maciuś czuł, że najważniejsze — postanowić, a reszta głupstwo. Maciuś uważał nawet, że dla ucieczki, która nastąpi w drodze, praca przy wyjmowaniu cegieł nie jest bez znaczenia. Nauczył się spokoju, rozwagi, ostrożności — nie wiedział dobrze, jak to się nazywa. Zdawało mu się, że najważniejsze, żeby w sobie, w głowie, w sercu, w duszy — było wszystko gotowe. A reszta — no, zobaczymy.

Dlatego się Maciuś nie martwił.

Pakowanie rzeczy nie trwało długo. Naczelnik więzienia był cały czas w pokoju, a kiedy samochód zajechał, prosił Maciusia o zaświadczenie, że się Maciuś na niego nie gniewa.

— Waszej królewskiej mości nic nie szkodzi, a mnie się może przydać.

— Dobrze.

Przyniesiono kałamarz, pióro i papier.

Zaświadczam — pisze Maciuś — że nie mam żalu do naczelnika więzienia, bo robił, co do niego należało. Kiedy przed wojną aresztowałem ministrów, pilnował ministrów, bo tak rozkazałem. Po wojnie pilnował więźnia numer dwieście jedenasty, bo taki był rozkaz królów zwycięzców. Stłukłem porcelanową wazę, a on się nie mścił. Życzę, aby nadal robił swoje; ja też zrobię swoje.

Król Maciuś Pierwszy

Jeszcze delegat podpisał w księdze więziennej pokwitowanie, że odebrał Maciusia. Siedli i pojechali.

Maciuś ciekawie patrzy przez okno samochodu na swoją stolicę. Akurat skończyło się przedstawienie i ludzie wracali z teatru. Nikt nie wiedział, że w samochodzie jedzie Maciuś, bo ważnych więźniów zawsze wiozą w nocy i w tajemnicy. Z teatru szli wszyscy dorośli, ani jednego dziecka.

„Dzieciaki zapędzili spać, a sami się bawią” — pomyślał Maciuś gniewnie.

Obok siedzi delegat królów i drzemie.

„Otworzę drzwiczki i wyskoczę”.

Nie, na nic. Łatwiej byłoby ukryć się między dziećmi niż teraz, kiedy na ulicach są tylko dorośli; latarnie się palą, a na każdym rogu stoi milicjant.

I na dworcu kolei nic się zrobić nie dało. Delegat królów wziął Maciusia za rękę, prędko przeprowadził przez poczekalnię — i prosto do wagonu pierwszej klasy pociągu, który za pięć minut ma ruszyć za granicę. Kufer postawiono koło okna, na kuftrze klatkę z kanarkiem.

— No, będziemy spali.

Czy on naprawdę taki śpioch, czy tylko udaje?

Nie, pułkownik Dormesko nie udawał. Był to znany, sławny nawet, śpioch czwartej dywizji ciężkiej artylerii. Już jako uczeń drugiego oddziału szkoły powszechnej spał często na lekcjach. Ale że nie chrapał wcale, a spał cichutko, więc nie przeszkadzał i nauczycielka była z niego zadowolona. Dyktanda pisał dobrze, z czytania miał czwórki z plusem, na arytmetyce spał. Żartowali z niego koledzy, ale Dormesko się nie obrażał. Lubili go bardzo wszyscy. Raz zasnął na lekcji religii, ale ksiądz się nie gniewał:

— Kto śpi, ten nie grzeszy.
 I Dormesko zadowolony był, że nie ma grzechów. I dobrze mu się wiodło.
 Raz zasnął na przyrodzie. Nauczyciel był bardzo surowy. Na lekcji musiało być cicho jak makiem zasiał. Nauczyciel wyklada — mówi — mówi, a jemu oczy się kleją.
 — Powtórz, Dormesko.
 — On śpi, proszę pana.
 Pchnął go łokciem sąsiad. Dormesko oczy przeciera — wstaje.
 — Co ci się śniło? — pyta się nauczyciel.
 — Śniło mi się takie duże, duże mrowisko.
 Klasa w śmiech, a nauczyciel mówi:
 — Całe szczęście, że ci się śniła przyroda, bo inaczej dostałbyś pałkę.
 Kiedy Dormesko miał lat szesnaście, w domu rodziców byli goście — i jeden stary kapitan powiedział:
 — Najważniejsze jest w życiu zamięłowanie. Lubisz malować, zostań malarzem. Lubisz śpiewać, zostań śpiewakiem. W służbie wojskowej najważniejsza jest karność, posłuszeństwo.
 — No tak — powiedział z żalem ojciec — ale co będzie z chłopca, który tylko spać lubi?
 — Wierzaj mi pan, jeżeli chłopiec naprawdę z zamięłowania, z całej duszy jest śpiochem, na pewno zrobi karierę. Grunt — to zamięłowanie.
 I Dormesko wstąpił do szkoły wojskowej. I jako młody oficer wzbudzał ogólny podziw swoją odwagą. Do ataku się nie nadawał, za to jedyny w obronie.
 — Stać — dają mu rozkaz. — Ani kroku naprzód, ani kroku w tył.
 Dormesko okopie się ze swym oddziałem i niech się tam wali i pali — nie ruszy się z miejsca — trwa.
 — Nie boisz się? — pytają się koledzy.
 — A czego? Każdy musi umrzeć. Żona po mnie płakać nie będzie.
 Dormesko był starym kawalerem i nie lubił dzieci.
 — Hałasują, krzyczą, tupią, wariactwa im się w głowach trzymają. Spać nie dają. Małe w nocy piszczą, starsze w dzień dokuczają.
 Chętnie odwiedzał kolegów oficerów, ale omijał starannie rodziny, gdzie były dzieci. Więc łatwo się domyślić, dlaczego właśnie jego wybrano, żeby odprowadził Maciusia. I któż był odpowiedniejszy? Wojskowy, pułkownik, w dodatku wróg dzieci: niech jedzie.
 Pułkownikiem został Dormesko za mężną obronę Czwartego Fortu Śmierci. Był to najważniejszy fort całej fortecy. Czterdzieści sześć ataków wytrzymał Dormesko, ale się nie poddał. Prochu dali mu dosyć, bo przewidywali, że nieprzyjaciel zechce zdobyć ten klucz fortecy. Dormesko wydał rozkaz: „Strzelać dzień i noc, bez wytchnienia” — i basta. Bo wiedzieć należy, że tylko wtedy hałas przeszkadza, kiedy jest nagły, wśród ciszy; a wcale nie przeszkadza, jeśli jest bodaj głośny, a ciągły, bez przerwy.
 Żołnierze strzelają, a Dormesko śpi. Aż przyszła odsiecz, a z nią zwycięstwo.
 — Zawołać walecznego obrońcę Fortu Śmierci — rozkazał głównodowodzący.
 — Nie można. Zabronił budzić — mówi trochę głupi ordynans.
 Dormesko został pułkownikiem, przeniesiono go do ciężkiej artylerii fortecznego garnizonu — i leży sobie teraz na kanapie — śpi i pogwizduje przez sen.
 — Fiu-sss, fiu-sss, fiu-sss!
 „Popfufasz ty” — myśli Macius. Przynął się bliżej drzwi i po troszku otwiera.
 Żle — na korytarzu stoi żołnierz na warcie. Zasunął drzwi, sam na palcach do okna. Okno bez kraty. Bardzo przyjemne są okna bez krat żelaznych. Ale jak się otwiera? Na dole wisi mocny, skórzany pas — nie wie Macius po co, ale dobrze — może się przydać. W górze okna też jakaś skórka. Nakrył Macius ręcznikiem klatkę z kanarkiem, żeby ptak nie śpiewał, zdjął klatkę z kufra, postawił na ziemi, sam włożył na kufer — majstruje. Ciągnie na dół, nie idzie, pcha w górę, trochę się podniosło, potem ani rusz. Jeśli stłucze szybę, może się pułkownik obudzić. Aha, prawda — już wie — już sobie przypomniał. Już raz otwierano przy nim okno wagonu, ale nie obchodziło go wcale. Nie przypuszczał, że może się przydać. Nie wiedział wtedy, że każda wiadomość może przynieść w życiu pożytek.

Pchnął okno trochę w górę, pociągnął do siebie i spuszcza. Pociąg głośno stuka na szynach. Wyrzał, czy wysoko: czy można wyskoczyć. Głupstwo — wyskoczy. Trzeba zaczekać na stację.

Ale co potem? Pieniądzy nie ma. Gdyby nawet wrócił do stolicy, musi mieć bodaj trochę jedzenia. Już wie. Przypomniał sobie. Ukryje się u zwrotniczego. Jak dobrze, że go odwiedził, wracając ze zwycięskiej wojny. Poczciwa żona zwrotniczego z pewnością go nie zdradzi.

Zamknął Maciuś okno, bo pułkownik dwa razy się niespokojnie poruszył: widocznie chłodny pęd powietrza go ziębi, bo szczelniej się owinął, płaszcz nasunął na głowę. Tak nawet lepiej.

O, jak niezdolnie wloką się minuty. Maciuś boi się, żeby nie przegapić stacji. A może nie czekać. I byłby Maciuś zaraz wyskoczył, ale przypomniał sobie ciężkie pochody wojenne. Wprawdzie nie chce mu się spać, ale co będzie, jeśli go sen zmorzy nad ranem?

Dwa małe przystanki, stacja, nie, nie ta, znów przystanek. Wreszcie jest jego stacja! Otworzyć okno, wyskoczyć — było dziełem chwili. Już biegnie, już widzi w ciemności migocące z dala okno zwrotniczego. Biegnie, aż mu dech zamarł w piersi.

Jest wolny!

Ukrył się w komórce i czeka, czy nie będzie popłochu. Może ktoś widział, może zarządzą pościg? Nie — pociąg rusza spokojnie w dalszą drogę.

— Życzę, aby naczelnik więzienia robił swoje, a ja też zrobię swoje — powtórzył Maciuś wesoło ostatnie słowa danego zaświadczenia.

A pułkownik Dormesko obudził się już na samej granicy. Patrzy: okno otwarte, klatka na podłodze, a Maciusia nie ma.

„Uciekł Maciuś. Ładna historia. Mam rozkaz odwieźć Maciusia na bezludną wyspę. Jakże go odwieźć? Kazałem mu przecież spać. Pierwszy raz się zdarza, żeby ktoś się ośmielił nie spełnić mojego rozkazu. Co robić? Kazać strzelać? Z czego? Nie mam ani jednej armaty. Zresztą w co celować? I jakże znowu strzelać bez rozkazu?”

Pułkownik Dormesko wyjął papier z portfelu i czyta:

Niezwłocznie po otrzymaniu tego pisma winien pułkownik Dormesko oddać dowództwo nad armatami kapitanowi Dolce far Niente, sam uda się do stolicy Maciusia, by go wraz z rzeczami przewieźć na bezludną wyspę. Władze lądowe i morskie winny okazać mu pomoc. O wypełnieniu rozkazu złożyć po powrocie raport.

Ano, odwieżę kanarka i kufer na wyspę i złożę raport.

Westchnął, podrapał się w głowę, zamknął okno, przykrył się płaszczem — i śpi. A pociąg jedzie.

Trzy dni spędził Maciuś pod gościnnym dachem poczciwego zwrotniczego. Maciuś tak myślał:

„Zobaczą, zem uciekł, będą mnie szukali. Będą gonili, nikomu nie przyjdzie do głowy, że siedzę spokojnie pod samym nosem.”

Kiedy wybuchła pierwsza wojna Maciusia, zwrotniczy wykopał pod obórką dół, żeby w razie niebezpieczeństwa mógł się tam ukryć.

Tam schowa się Maciuś w razie rewizji.

Tymczasem cicho.

Wstąpił, przechodząc, woźny stacji i mówi:

— Jakiegoś więźnia wczorajszym nocnym pociągiem wieźli. Widziałem w korytarzu wagonu żołnierza.

— Może to był ordynans oficera? — mówi zwrotniczowa.

— Ee, nie, stał z karabinem.

— Może to jaki zagraniczny poseł?

— A może.

Zwrotniczowa woli być ostrożna; bo czasem szukają zbiega głośno, otwarcie, a czasem po kryjomu. Woźny był dobrym znajomym, ale zawsze — kto wie, co w sercu się kryje.

— Och, najjaśniejszy królu — mówi zwrotniczowa. — Jak nam teraz źle bez naszego króla. Kto chce, to rządzi. Do rozkazywania każdy, a pensji płacić nie chcą. Przed samą wojną już się zaczęły te nowe rządy. Kazali dzieciom prowadzić maszyny, niby że starzy będą chodzić do szkoły. A jeszcze mówią, że tak król Maciuś kazał. I byli głupcy, którzy uwierzyli. Ja tam zawsze mówiłam: „Coś się złego zaczyna”. Pozazdrościli sierocie. Za jego rządów więcej było czekolady niż teraz chleba. Czy też znów się odmieni? Ja ufam Maciusiowi i czekam.

Chodzi Maciuś po izbie, ręce w tył założył, brwi zmarszczył.

Dość tego. Siedzi tu, nic nie robi, biednych ludzi objada. Czas w drogę.

Chcą go jeszcze zatrzymać. Nie. I tak się nic nie dowie, dopóki nie wróci do stolicy. Przyniósł zwrotniczy od kumów stare, biedne ubranko. Przebrał się Maciuś, wziął kromkę chleba (sera wziąć nie chciał) — i tyle tylko pieniędzy, ile potrzeba na bilet do sąsiedniej stacji. Bo na tej stacji boi się Maciuś bilet kupować.

Spokojnie przeszedł piętnaście wiorst, nikt w drodze go nie zaczepił. Bez żadnej przystanki kupił bilet trzeciej klasy i nad wieczorem był już w stolicy. Nasunął dla pewności czapkę na oczy — idzie.

— Ej, chłopak, masz czas? Zaniesiesz mi worek — zapłacę.

Najchętniej w świecie. Taki zapach bije od worka, aż Maciusiowi ślinka idzie do ust. W worku były kielbasy, serdelki, parówki, słonina.

— Teraz przyjechałeś?

— Teraz. Właśnie — wczoraj.

— Znasz miasto?

— Trochę znam. Nie, nie znam: wczoraj przyjechałem.

— A z daleka jedziesz?

— Nie, tylko trochę. Rozumie się: z bardzo daleka.

— No prędeż, prędeż.

Pogania, a Maciusiowi ręce mdleją, w głowie się kołuje. Już uszli dużo drogi, Maciuś raz w raz przystaje.

— Słuchaj no, kawalerze. Jeżeli ci się zdaje, że mi umkniesz z workiem, to się grubo mylisz. Ja nie wiejski, znam was, co to przyjechali i dzisiaj, i wczoraj, z daleka i z bliska, kręcą się koło dworca i niby paczki odnoszą. A tylko patrzą, na którym rogu prysnąć w ciemnościach. Poznają was po czapce nasuniętej na oczy. Nie od razu wędliniarnię otworzyłem. Dwa lata służyłem w policji. Ruszaj, a żwawo.

Jęknął Maciuś głucho, nic nie odpowiada, niesie swój ciężar, ręce zdrętwiały, nogi same niosą.

— Ej, panie Michale... Nowina!

Zatrzymał ich milicjant.

— Skąd Bóg prowadzi?

— Z towarem. A co za nowina?

— Króla Maciusia wywieźli. Tylko ani słowa, rozumiesz, bo tajemnica służbowa. Mówię jak koledze.

— I jakże? Nie ogłosili?

— Boją się buntów. Och, żałują ludzie Maciusia. I dorośli, i dzieci. Za późno! Nie trzeba było wywieszać białych chorągwi.

Maciuś położył worek i słucha.

— Żeby tak Maciuś jeszcze z pięć lat pokrólował, to byś pan złoto niósł w worku, a nie kielbasę.

— A skąd wiecie, że go wywieźli?

— Mówił strażnik więzienny. Klu-Klu mają odesłać do ojca, tego jak go tam — Bum-Druma. Podobno smutny król chce złożyć koronę i dobrowolnie wyjechać na bezludną wyspę. A ty czego uszami strzyżesz? — zwrócił się nagle i ostro do Maciusia.

— To mój chłopak: worek mi niesie.

— No to idźcie. Jutro po nocnej stoję mam cały dzień wolny, to was odwiedzę. Oj, szkoda Maciusia.

— Poczekaj: na mój rozum, jeszcze nie skończone. Jeszcze Maciuś wróci.

— Byle już głupstw nie robił.

— No, chłopak, ruszamy.

Kielbaśnik pomógł dźwignąć worek na plecy. Stała się rzecz dziwna: ani Maciuś zmęczony, ani worek ciężki. Idzie rażno, jakby miał skrzydła.

Wie prawie wszystko. Jedno go tylko dziwi: dlaczego nie szukają, dlaczego nie wiedzą, że uciekł?

— Stójże, do licha. Patrzcie, jak się rozbrykał. Jeszcze ci za blisko? Jazda do bramy.

Z bramy dwa schodki prowadzą do mieszkania przy sklepie. Wszedł Maciuś na schodek i byłby spadł, gdyby go ten nie podtrzymał. Aż się przestraszył, taki Maciuś błąd. Oparł się o drzwi, oczy przymknął, drży cały.

— Co ci się stało?

— Głodny jestem — szepnął Maciuś i zemdlął.

Już w więzieniu jadł Maciuś mało, bo połowę porcji chował na drogę. U zwrotniczego jadł mało, bo przykro mu było za darmo jeść u biedaków. Potem piętnaście wiorst pieszo o kromce chleba, a teraz worek pachnący mięsem. Dorosły by nie wytrzymał. A jeszcze niepewność, obawa pościgu, nagła wiadomość, że kraj o nim pamięta, ufa i — czeka.

Położyli Maciusia na kanapie.

— Napij się mleka.

Rozpina kielbaśnik marynarkę Maciusia, trochę, żeby łatwiej było oddychać, a po trochu — tak już z policyjnego zwyczaju: paszportu szuka. Zemrze jeszcze chłopak bez żadnych papierów, a potem kram. Namacał fotografię — patrzy: nieboszczka królowa. I nic więcej.

— Ej, mały, napij się mleka. No, otwórz oczy!

Zahartowany na wojnie, prędko przyszedł Maciuś do siebie. Zawstydził się, a po troszku przestraszył, czy w zemdleńcu się z czym nie wygadał. Bo tak jakoś dziwnie na niego patrzy.

— Jak się nazywasz?

— Janek.

— Więc słuchaj, Janek. Widzę, żeś delikatny. Ręce masz białe, chociaż podrapane, i paznokcie starte. Kłamać bardzo nie umiesz — to poznać. Głupio mi tam przy stacji kręciłeś. Głodny jesteś, zmizerowany, chociaż chłopak silny. Papierów żadnych nie masz, tylko fotografię królowej. Co to wszystko znaczy?

— Duszno mi — mówi Maciuś — niech pan otworzy okno.

Pije Maciuś mleko, bułkę zajada; siła w niego wstępuje. Ale znów oczy przymyka; udaje osłabionego, zerka w stronę okna. Bo gdyby co, będzie uciekał.

— Daj mu teraz spokój — powiada żona. — Widzisz przecie: dzieciak ledwo zipie. Niech się wyśpi. Masz czas jutro przepytąć.

— Nie, moja kochana. Ja dwa lata w policji służyłem. Już ty mnie nie ucz. Niech on mi tylko powie...

— Ja ci powiem: stul gębę — rozumiesz? W policji służył, niedołęga. A dlaczego nie służysz? Bo cię wygnali. Inni się majątków dorobili, a ty co? Do śmierci będziesz kielbasą handlował. No, ruszaj się: pokaż, co przywiozłeś.

I zaczęli wyjmować z worka, a Maciuś oparł się o stół — zasnął.

— Wstydzilibyś się, chamie, taki ciężki worek na dzieciaka ładować. A jeszcze się Janek nazywa.

Janek był jej synem, którego najwięcej kochała. Zginął w ostatniej wojnie.

— Pocziwie musi być dziecko, kiedy fotografię królowej chowa. Żeby był łobuz, to by na pewno miał fotografię Maciusia.

Czujnie spał Maciuś. Przez sen usłyszał swe imię — zbudził się słucha.

— Już nie będziesz miała Maciusia — mówi mąż. — Już wywieźli na bezludną wyspę.

— Szkoda, że wcześniej tego nie zrobili. Byłby nasz Janek nie ginął. Och, ten Maciuś, gdybym go w swoje ręce dostała...

— Mądry był to król, waleczny, odważny.

— Przystaniesz?

— Nie przestanę. I co mi zrobisz?

— Ot, co ci zrobię.

I jak nie trzaśnie go przez łeb kielbasą, aż się na dwoje złamała.

Jak widać, małżeństwo nie żyło w zgodzie. I tak było wszędzie, jak mąż lubił Maciusia, żona się złościła. Jak brat chwalił Maciusia, siostra wyśmiewała. A ile było bójków po szkołach, trudno zliczyć.

Aż prefekt policji wydał rozkaz, że w teatrach, ogrodach, szkołach, w ogóle w miejscach publicznych — nie wolno wcale wspominać Maciusia. A kto przestąpi zakaz, zapłaci karę albo odsiedzi trzy dni aresztu.

Dzięki temu zarządzeniu jeszcze więcej o Maciusiu mówiono. Bo już tak jest na świecie, że najprzyjemniej mówić i robić, czego nie wolno.

Pije Maciś słodką herbatę, je bułkę z kielbasą, rozmawia o tym i owym. Czeką, kiedy zaczną znów rozpytywać, kim jest i skąd przybył. Ale się nie pytają — tym lepiej.

— Przynieś, Janek, zamiec, Janek, podaj, odstaw, zawiąż, wylej.

Próbują, czy posłuszny, zwinny, rozgarnięty. Najpewniej uciekł z domu i nie chce się przyznać. Taka przyszła moda, że dzieci zhardziały, że byle co — uciekają. Powłóczy się, wyglodzi — i wraca. Rodzice zadowoleni, że się nic złego nie stało, i już ostrożniejsi; a chłopak też nauczony, żeby nie brykać za wiele.

— Pobędzie trochę, oswoi się, to i wypiewa. A tymczasem przydać się może. Byle był uczciwy.

Uczciwy. Resztę przynosi, jak trzeba, kiedy coś kupuje. Cichy mówi mało — tylko jeść nie chce.

— Jedz, Janek. Widzisz przecież, że nie brakuje. Wstyd nam robisz przed sąsiadami: chudy taki — pomyśl, że cię głodzimy.

— Nie mogę: zęby mnie bolą.

A Maciś ciągle patrzy w lustro. Uciezka prędzej czy później musi się wykryć. Będą go szukali, może już szukają cichaczem. Więc chociaż przebrany, nie może być zanadto podobny do siebie: musi być chudy, to nikt go nie pozna.

Więc już...

Pracuje Maciś, a gdzie znajdzie gazetę, chowa i czyta. Z początku ukradkiem, potem już jawnie. Odnosi coś czy przynosi, a zobaczy na murze nowe ogłoszenie, zaraz przystaje i czyta.

Wie teraz wszystko.

Prezes ministrów, minister finansów — wyjechali za granicę, dokąd jeszcze przed wojną wysyłali pieniądze i kosztowności. Minister wojny założył szkołę tańców. Minister zdrowia ma skład apteczny, sprzedaje mydła pachnące, proszek do zębów. Szlachetny minister sprawiedliwości został kontrolerem tramwajowym, bo po procesie Maciusia nie chce mieć nic do czynienia z sądami. A minister handlu ma owocarnię i do spółki z mistrzem ceremonii — kinematograf. Najgorzej się powiodło ministrowi oświaty: gazety przed dworcem sprzedaje. A doktor umarł ze zgrzyoty.

W pałacu Maciusia mieszka misja zagraniczna. W ogóle nazjeżdżało się z całego świata różnych cudzoziemców, włóczęgów i awanturników. Najlepsze miejsca w teatrach oni zajmują, jeżdżą samochodami, piją i jedzą dużo, a za wszystko muszą płacić mieszkańcy stolicy.

W parlamencie dorosłych urządzono walki siłaczów, a w parlamencie dzieci sztuki magiczne.

Koszary przerobiono na browar, bo ludność ze zmartwienia piła dużo piwa.

Część czarnych dzieci została kominiarzami, a inne służą po cukierniach, żeby gościom podawać gazety i wycierać marmurowe stoliki.

„Od czego tu zacząć? — myśli i myśli Maciś. — Przecież komuś muszę się przyznać, przecież sam nic nie zrobię.”

Stał Maciś przed owocarnią ministra handlu. Nie żeby go bardzo lubił, ale że człowiek praktyczny.

— Wejść czy nie?

Nie wszedł. Wraca do domu.

— Tak bym chciał kupić funt jabłek.

Po raz pierwszy prosi, bo do tej pory tylko odmawiał. Ucieszyli się, dali na jabłko.

— Proszę o pół funta jabłek.

Minister poznał Maciusia po głosie. Drgnął — spojrzal — ciężarek półfuntowy wypadł mu z ręki.

— Niech wasza kró...

Maciuś położył palec na ustach.

— Ach, co ja plotę... Dajcie mi ciężarek... Albo nie... Niech mi pan subiekt przyniesie papierosy... Niech pani kasjerka obliczy pieniądze, czy wszystko w porządku.

A Maciusiowi daje znak, by wszedł do składu za sklepem.

— Jak może mnie wasza królewska mość narażać na niebezpieczeństwo — mówi szeptem. — I tak już mam za swoje. Byłem ministrem, teraz jabłka sprzedaję. Tu nawet imienia króla wspominać nie wolno; a gdyby się tylko dowiedzieli... Proszę, błagam waszą królewską mość, żeby więcej do mnie nie przychodził, bo inaczej, szczerze przyznaję, będę zmuszony donieść o wszystkim policji. To trudno: mam żonę, dzieci — nie mogę unieszczęśliwiać rodziny.

— Ależ ja się chciałem tylko dowiedzieć...

— Tak, ale ja nie wiem i nic nie powiem — przerwał minister. — Mogę dać funt, no, trzy funty jabłek czy gruszek, ale nic więcej.

— Nie po jałmużnę przyszedłem — odpowiedział Maciuś wyniośle i wyszedł.

Biedny król-tułacz. Już nie ma ochoty zwracać się do innych ministrów. Mija tydzień i dwa. A im dłużej się zastanawia, tym wyraźniej widzi, że tylko takie drogi zostały:

Albo ukazać się nagle wśród tłumu i krzyknąć: „Do broni!”. Uzbroić ludność, aresztować zagranicznych posłów, okopać miasto — i raz jeszcze szczęścia spróbować.

Albo iść do pałacu i oznajmić: „Jestem Maciuś Pierwszy”. Niech wyślą na wyspę bezludną.

Albo być nadal chłopcem na posyłki — i czekać.

Była czwarta droga: udać się do smutnego króla. Ale tego Maciuś nie zrobi.

„Zaczekam — postanowił wreszcie. — Przecież coś stać się musi”.

A tymczasem służy. Rano otwiera i zamiata sklep, chodzi z koszykiem na targ, w piecu napali, kartofle obierze, paczki odnosi.

— Weź, Janek, pięćdziesiąt serdelków i dziesięć funtów kielbasy, zanieś do restauracji na ulicę Nową. Dawniej nazywała się ulicą Maciusia Reformatora.

— Wiem — mówi Maciuś.

Idzie, niesie koszyk. Ale na ulicy jakiś ruch niezwykły. Jakieś niby wojsko, niby policja — kręcą się, zatrzymują przechodniów: i dorosłych, i dzieci.

Patrzy Maciuś — na murze nowe ogłoszenie. Dużymi literami: „Pięć milionów nagrody”.

Nareszcie!

5 000 000 nagrody

Były król Maciuś Pierwszy zbiegł w drodze na bezludną wyspę. Kto pochwyti Maciusia albo wskaże, gdzie się ukrywa, ten otrzyma powyższą nagrodę.

Uprasza się, aby każdy miał przy sobie metrykę, szczególnie chłopcy w wieku Maciusia. Uprzedza się rodziców, że chłopcy bez dokumentów będą aresztowani. Więc żeby się potem nie gniewali.

„Pięć milionów — kręci Maciuś głową — nie wiedziałem wcale, że królowie tyle są warci. Ileż to serdelków można by dostać za jednego króla.”

Ucieszył się Maciuś, że wreszcie zmieni się coś w jego życiu. Wracać nie ma po co. Już za bardzo mu dokuczali: a co za jeden, a skąd, z jakiej szkoły, dlaczego tak pilnie czyta gazety, co z nich rozumie, dlaczego nosi fotografię królowej? Od razu się domyśla.

— Skąd idziesz? — zatrzymał go patrol.

— Od rzeźnika.

— Masz legitymację?

— Mam.

— Pokaż.

Maciuś z niewinną miną pokazuje kielbasę.

— Głupiś. To kielbasa. Pokaż jakiś dokument.
— Mój pan takiej wędliny nie robi.
— Niech idzie: co z głupim gadać.
Przeszedł dwie ulice — znów to samo.
— Paszport, matrykuła, legitymacja.
— Dajcie, panowie, spokój: śpieszę się. Restaurator czeka.
Ale widzi, że to nie żarty. Więc już ostrożniej, bocznymi ulicami kieruje się za miasto.
— Stój.
Maciuś ani drgnął: idzie.
— Stój, bo strzelam.
Maciuś idzie dalej. Strzela żołnierz w powietrze — Maciuś nic.
— Ach, ty kundlu jeden, żarty stroisz z policji?
Maciuś pokazuje na migi, że głuchy.
— Puścić go chyba? Głuchy jak pień. Nawet strzału nie słyszał.
— A mnie co obchodzi? Kazali aresztować, to aresztować. Nikogo nie przyprowadzimy — mogą nawymyślać. A może, jucha, udaje. Może to kradzione?
Widzi Maciuś, że źle. Trzeba uciekać. I musi mieć trochę prowizji, bo trzeba parę dni się ukrywać z dala od ludzi.
Idą noga za nogą. Żołnierze mówią:
— Powariowali z dobrego bytu. Uciekł Maciuś z bezludnej wyspy, to tu go szukają. Aby ludzi dręczyć.
Jeszcze dwóch chłopców zagarnęli w drodze. Ci proszą, lamentują — żołnierze bardzo źli. Idą. Trzej chłopcy na przedzie, policjanci z tyłu; a obok koszyka Maciusia cztery psy się wloką. Bo rzemieślnicy bardzo zubożeli, dla siebie niewiele mają włożyć do garnka, więc psy wygnali. I dużo głodnych psów się płątało po podmiejskich ulicach.
Aż tu Maciuś wyjmując z koszyka wianek serdelków, zarzucił na szyję, przewiązał w pasie, w każdą rękę po jednej kielbasie — kosz kopnął w stronę — i w nogi.
Trzymaj-łapaj!
Teraz Maciuś na przodzie, za nim psy w podskokach, za psami żołnierz. Bo drugi przy chłopakach został.
Rzucił żołnierz karabin — już prawie dogania, Maciuś buch za siebie kielbasę. Zakotłowała się psiarnia. Żołnierz na nią. I zarył nosem w ziemię, a psy dawaj na niego. Maciuś przeskoczył parkan, jakieś jedno i drugie podwórze. Patrzy: ogród, w nim pełno dzieciaków. Małe, większe, chłopcy, dziewczęta. W głębi ogrodu dom; a tu furтка otwarta; a z boku domek parterowy, a za nim krzaki.
Nagle rozległ się dzwonek. Dzieci biegną do domu. Szkoła jakaś chyba.
I ot, siedzi Maciuś w krzakach i rozgląda się, gdzie by ukryć zapasy.

To jest dom sierot, a nie szkoła. W szkole tylko uczą, a my tu mieszkamy. Jemy, śpimy — wszystko. Mojego tatusia zabili na wojnie, twój pewnie także. Żeby się tu dostać, trzeba złożyć podanie. Zanim przyjmą to dziecko, to bardzo długo trwa. Ale ja ci radzę: zostań, i już. Nikt nie zauważy. Dawniej co innego: wszyscy mieliśmy jednakowe ubrania: ale po wojnie wszystko się zmieniło. Każdy robi, co chce.

— Ale dzieci przecież poznają, że nowy — mówi Maciuś.

— To nic. Starszym rozda się serdelki, żeby nic nie mówiły, a malcy będą się bali. Muszą się nas słuchać, bo jak nie — w zęby — i cała parada. Zresztą, jak chcesz, możesz siedzieć w krzakach tymczasem. Ja się naradzę ze skautami.

— Są u was skauci? — ucieszył się Maciuś.

— Jacy tam skauci. Papierosy palą i nie mają pasa ze skautowskim nożem. Tylko się tak nazywają. Mówię ci: nie ma żadnego porządku. Co kto chce, to robi. Powiedziałbym ci coś, ale nie wygadasz? Więc mamy tu tajny związek Zielonego Sztandaru. Patronem naszym jest — tylko pamiętaj, bo to tajemnica — patronem naszym jest Maciuś. Chcemy wykraść Maciusia z bezludnej wyspy. Tylko pamiętaj: gdybyś komu choć słówko powiedział, to już wiesz, co będzie. To jest nasz najtajniejszy związek.

Rozległ się dzwonek.

— Posiedź trochę, bo muszę iść na lekcję. Sprawdzają przed pierwszą lekcją, potem można już nie być. Bywaj, za godzinę. Masz tu kawałek chleba.

Zjadł Maciuś chleb, dwa serdelki, siedzi w krzakach i myśli, co robić. A tu nagle wali do ogrodu policja.

„Będą szukali”.

Wcale nie. Sprowadzili z więzienia może stu chłopców aresztowanych na różnych ulicach. Rodzice się zbuntowali, poszli przed więzienie, awanturę zrobili, że ha!

— Nie chcemy, żeby dzieci razem ze złodziejami siedziały.

Więc przeprowadzono chłopców z więzienia tu, do domu sierot.

Wybiegł jakiś gruby pan, rękami macha, złości się, krzyczy:

— Dlaczego nie uprzedzono? Gdzie ja ich podzieję? Ani miseczek, ani kubków nie mam dla nich. Gdzie oni będą spali?

— My nic nie wiemy — mówią dozorczy więzienni. — Kazali, więc kazali, i już.

I poszli.

A tu dzieci z domu wybiegły do ogródka. Już teraz nikt nic nie wie. Wyniesiono dwa stoły, zaczęto na arkuszach spisywać, jak kto się nazywa i gdzie mieszka.

— Ja jestem synem adwokata.

— Mój tatuś jest żandarmem.

— Moja mamusia aktorką.

— Mój tatuś posłem zagranicznym.

Nagle zajeżdża samochód.

— O, tatuś przyjechał.

Zagraniczny poseł zaczyna krzyczeć na grubego pana.

— Jakim prawem? — powiada. — Co to za porządk?

A tu znów policja sprowadza ze czterdziestu nowych.

— Oddaj mi moje dziecko! — krzyczy żona zagranicznego posła.

Już wali do ogródka cała kupa rodziców. Płacz, wrzask, wymyślania.

„Teraz już mogę wyjść z krzaków — pomyślał Maciuś — Jeżeli policja w ten sposób ściga przestępców, dziwię się, że w ogóle może kogoś złapać. Jestem bezpieczny”.

I Maciuś tak się czuł bezpieczny, że przecisnął się aż do samego stolika, gdzie stał gruby pan i próbował uspokoić publiczność:

— Moi szanowni ojcowie i matki, jestem dyrektorem domu sierot, a nie naczelnikiem więzienia. Dla mnie jest to wszystko bardzo przykrą niespodzianką. Jestem, proszę państwa, uczonym wychowawcą, autorem uczonych książek o dzieciach. Napisałem książkę pod nagłówkiem *365 sposobów, żeby dzieci nie hałasowały*. Napisałem drugą książkę: *Co lepsze: czy guziki blaszane, czy rogowe?*. Trzecia moja książka pedagogiczna ma tytuł: *Chów trzody chlewnej w internatach*. Bo trzeba państwu wiedzieć, że tam, gdzie jest dużo dzieci, zostaje dużo obierzyn i pomyj. I to się nie powinno marnować. W moim internacie najbardziej chude prosiątko wyrasta na doskonałą świnkę. Dostałem dwa srebrne medale. Jak tylko spojrzę na dziecko, zaraz wiem, co ono warte. Poznają po twarzy, po oczach, po wszystkim. Proszę was, spojrzcie tylko na tę dziewczynkę...

I dyrektor wskazał na stojącego przy stole Maciusia.

— Spójrzcie na jej łagodną twarzyczkę i rozumne oczęta. Jest niedawno, ale znam ją na wskroś; jej duszyczka nie ma przede mną tajemnic. Każdą jej myśl czytam jak na dłoni.

Dyrektor jedną rękę oparł o głowę Maciusia, a drugą otworzył i patrzy. I Maciuś nie na żarty się przestraszył, żeby dziwny, gruby pan czego niepotrzebnego tam nie wyczytał.

Kiedy rodzice przekonali się, że dzieci nie są w więzieniu, tylko pod opieką uczonego wychowawcy, już nie robili awantur, rozeszli się spokojnie. Tylko zagraniczny poseł zatelefonował do prefekta policji i otrzymał pozwolenie na odebranie synka, którego zaraz zabrał do samochodu.

Po chwili znów wybiega dyrektor i krzyczy:

— Panowie wychowawcy! Za pół godziny odbędzie się narada, jak szukać zbiegłego Maciusia. Przyjedzie tu bardzo wiele znakomitych osób. Proszę zmienić dzieciom bieliznę, umyć im uszy i wytrzeć nosy. Rozumiecie: ani jednego zasmarkanego nosa. I niech jakaś dziewczynka da bukiet prefektowi policji. Najlepiej — ta mała z łagodną twarzyczką. Hej, służba, chodźcie sprzątać!

I poleciał.

— Gdzie jest ta dziewczynka, która ma podać bukiet? — pyta się wychowawca.

— To ja — mówi Maciuś. — Ale jestem chłopiec, wcale nie dziewczynka.

— Ach, ty zarozumiałcze! — rzucili się na Maciusia wychowawcy. — Jak dyrektor mówi, że jesteś dziewczynka, toś dziewczynka, i koniec. Za upór i nieposłuszeństwo nie dostaniesz jutro obiadu.

I w pół godziny później Maciuś, ubrany w białą sukienkę z różową szarfą — podał prefektowi policji bukiet kwiatów. A za prefektem zaraz przyjechali: naczelnik policji śledczej, sędzia policji kryminalnej, szef żandarmerii, dyrektor defensywy i jeszcze ze dwadzieścia miejscowych i zagranicznych łapaczów.

— Panowie — zabrał głos dyrektor domu sierot. — Jestem wychowawcą i uczynnym pisarzem. Moje zadanie pilnować, żeby dzieci nie gubiły chustek od nosa, żeby nie hałasowały i nie obrywały guzików. Ale jeśli idzie o pochwycenie zbiegłego dziecka, wiem lepiej, bo znam dzieci. Z całą stanowczością twierdzę, że Maciusia nie ma w stolicy. Maciuś zapewne ukrył się w lesie i znaleźli go śpiącego Cyganie albo wieśniaczka. Maciuś ukrywa się na wsi albo wśród bandy Cyganów. Jeżeli Maciusia poznali, to pewien jestem, że go wydadzą, bo Maciuś wszystkim się dał we znaki. A jeżeli go nie poznali, z pewnością sam się wygada. Trudno żądać, moi panowie, żeby prosty kmiotek był wychowawcą, więc zanim się domyśli, że ukrywa Maciusia, upłynąć musi kilka tygodni. Stolica zna Maciusia — on by tu i pięć minut nie mógł się ukryć.

Stoi Maciuś przy drzwiach i słucha. Bo dyrektor kazał mu stać przy drzwiach, bo może ktoś poprosi o szklankę wody albo mu coś spadnie i trzeba podnieść. Dorośli nie lubią się sami schylać, bo ich kości boją.

No i radzą — radzą, każdy co innego mówi — aż postanowili, żeby dzieciaków długo w zamknięciu nie trzymać. Niech przenocują, a jutro ich się wypuści. Rodzice mogą przynieść dzieciom obiad, bo niespodzianie przybyły, więc dla nich nic nie przygotowano: więc żeby nie były głodne. Dzieci już nie sprowadzać. No i koniec.

Jak tylko Maciuś, przebrany znów za chłopca, wyszedł na podwórze, obstąpili go wszyscy:

—O czym tam mówili, co robili, czy jedli co i czy smaczne? Czy Maciuś coś dostał od gości? Czy się nie wstydził? Kiedy wypuszczą więźników i co dziś będzie na obiad?

No tak: Maciuś się wstydził, nic nie widział, nie słyszał — nic nie wie i nic nie powie.

Prędko się odczepili, bo bardzo byli zajęci. Każdy starał się coś wymamieć od więźniów:

— Widzisz, mnie tak potrzebny szczyryk, a tobie na nic.

— Słuchaj: daj mi lusterko. Ty masz w domu lepsze.

— Jak mi dasz ten piórnik, to ci coś bardzo ciekawego powiem.

— Patrz: włosy mi się ciągle rozlatują — daj mi tę zapinkę.

Nie wszystkie dzieci wymaniały: jeśli nawet kto nie brał, przyglądał się i słuchał. Była to zupełnie nowa rozrywka i ciekawe widowisko. Bo tak — biegały tylko po podwórku albo chodziły parami przez ulicę. A chodzić parami nie jest przyjemnie, bo zaczepiają — i nie można oglądać wystaw sklepowych.

Zapomniałem powiedzieć, że Maciusia przebrali w sukienkę córki gospodyni, a potem dali ubranie chłopca, ale nie to, które dostał od zwrotniczego. Więc teraz zupełnie się już nie różnił od wszystkich.

Zresztą — i tak nikt nic nie wiedział. Aż do późnego wieczora przychodzili rodzice z paczkami. Takiej uczyty nie pamiętali najstarsi wychowańcy.

Eech, wesoło. A dzięki komu to wszystko?

— Niech żyje król Maciuś! — ośmielił się ktoś krzyknąć.

I wszystkie dzieci, nawet uwięzione, powtórzyły dwa razy zgodnym chórem:

— Niech żyje! — niech żyje!

A Maciuś miał wielką ochotę krzyknąć także:

„Niech żyje pułkownik Dormesko!”

Pułkownik Dormesko, sam o tym nie wiedząc, przysłużył się Maciusiowi jak najszczerzy przyjaciel. Trzy dni po ucieczce Maciusia jedzie dalej, jakby się nic nie stało. Warta stoi na korytarzu — pilnuje. A Dormesko śpi.

Zajechali do morza. Zebrała się kupa gapiów, bo ten i ów albo wiedział, albo się domyślał, że w porcie czeka okręt właśnie na Maciusia.

Wynoszą kufer Maciusia, wynoszą drugi — pana pułkownika, wynoszą klatkę z kanarkiem. Wychodzi pułkownik. Pięciu warty z jednej strony, pięciu z drugiej.

— Gdzie Macius?

Gapie źli: stali parę godzin na deszczu i przegapili. Ale ciekawi ich ta klatka z kanarkiem.

Komendant portu otwarcie zapytał:

— Gdzie Macius?

— Czy pan jest władzą lądową i morską? — mruczy Dormesko zły, że strach.

— Ano, jestem — odpowiada komendant.

— Więc ma pan rozkaz okazać mi pomoc, nic więcej. Proszę dać łódkę. I jak wsiądziemy na okręt, niech rusza.

Czeka kapitan okrętu, patrzy, dziwi się. Dziwią się marynarze, a że ludzie zabobonni, niejednemu przyszło do głowy, że kto wie, czy Maciusiem nie jest właśnie kanarek w złotej klatce. Może go królowie zaczarowali, a może Macius nigdy nie był człowiekiem?

Po przyjeździe na bezludną wyspę odebrał Dormesko pokwitowanie na to, co przywoził, a sam wraca. Śpi niespokojnie, sumienie go dręczy. Przykro staremu służbiście nie wykonać dokładnie rozkazu.

Raport, jako ważny dokument historyczny, podaje dosłownie:

Twierdza. Czwarty Fort Śmierci. Rozkaz w punkcie pierwszym wykonałem. Rozkaz w punkcie drugim wykonałem. Punkt trzeci rozkazu wykonany częściowo: rzeczy Maciusia przewiozłem w całości na bezludną wyspę (pokwitowanie załączam). Punkt czwarty rozkazu wykonany niniejszym raportem. Były król Macius w drodze zbiegł. Pułkownik Dormesko.

Posłał raport przez ordynansa i znużony podróżą — położył się spać.

To, co się później działo, było największą awanturą, jaką świat pamięta.

Ze Dormesko grożono rozstrzelaniem, degradacją, karnym batalionem, ciężkimi robotami — to głupstwo. Nie, wśród samych królów działo się coś niebywałego. Odbywały się trzy posiedzenia w dzień i jedno w nocy. Każde posiedzenie w innym mieście, czasem jednocześnie w dwóch różnych miastach. Z początku tajne, ale panowie od gazet dowiedzieli się, że Macius uciekł — i w te pędy za królami. Pociągi jeżdżą jak zwariowane. Ministrowie pogubili walizy, mistrze ceremonii — głowy. Druty telegraficzne pękały od nawału depeesz. Nadzwyczajne dodatki gazet wychodziły niekiedy o drugiej i trzeciej w nocy i ludzie w koszulach, jak podczas pożaru, wybiegali na ulicę kupować. Iluzjony powyciągały stare filmy z Maciusiem. Wszędzie Macius i Macius. Cygara — Macius Pierwszy. — Cukierki — Macius Pierwszy. Wódka maciusiówka. O rety!

— Nadzwyczajny dodatek! Rewolucja u młodego króla!

— Nadzwyczajny dodatek! Smutny król się zbroi!

— Nadzwyczajny dodatek! Rewizja w pałacu Kampanelli!

— Nadzwyczajny dodatek! Wojna południowej Afryki z północną!

— Nadzwyczajny dodatek! Zerwanie przyjaźni żółtych królów z białymi!

Tysiąc dwanaście razy donoszono, że Macius schwytyany — a za każdym razem kogoś innego chwytyano, albo zupełnie kłamali, żeby gazet więcej sprzedawać. Nagrodę za głowę Maciusia podniesiono z pięciu na dziesięć milionów.

Każdy czekał, że stanie się coś niezwyklego, ale co się dzieje naprawdę, nie wiedzieli nawet królowie. Jedno było pewne: jeżeli nie złapią Maciusia, już się nie uspokoi. Ani czarni i żółci królowie, ani dzieci nie tak łatwo dadzą się usunąć od sprawy Maciusia. Wszystkie białe, czarne i żółte dzieci były po stronie Maciusia. Dopiero młodzież dzieliła się na partie.

Na próżno zamknięto fabrykę stalek macusiek, na próżno nałożono karę na dwaście sklepów za wystawienie pocztówek z Maciusiem, redaktor Zielonego Sztandaru

siedział w kozie, znany poeta za hymn o Maciusiu miał wytoczoną sprawę sądową. Szkoły obstawiono wojskiem. Zabroniono dzieciom sprzedawać zielone materiały na sztandary. Za grę „w zielone” nauczyciele zostawiali w kozie. A znany z głupoty cesarz Pafnucy wydał rozkaz, że on — z Bożej łaski cesarz i samodzierec — żąda, aby w ciągu miesiąca wszystkie rośliny ogrodów, lasów i placów miejskich — zmieniły barwę.

Było gorzej. Księżna Iola Bengalska na balu króla Ludwika wystąpiła w zielonej sukni. Syn Orestesa, mały królewicz Hestos, stanął na czele pochodu zbuntowanych uczniów. Rewolucyjne napisy, które niesiono przez miasto, głosiły:

Żądamy lepszych ołówków i kredek, bo dla dzieci robią najgorsze ołówki,
które się łamią.

Papier w zeszytach jest lichey.

Źle oprowione są książki szkolne. Oprawa zaraz się zrywa.

Precz z ubraniami na wyrost.

Niech żyją cukierki i czekolada. Od cukierków nie psują się zęby.

A na afiszach wyborczych w republice Północnego Koguta jedna partia wyraźnie zapowiedziała walkę o równouprawnienie Murzynów i dzieci.

Już sami królowie nie wiedzą, kto się z kim przyjaźni i na kogo gniewa. Jeden na drugiego zwała winę za to, co się stało.

— Tyś pierwszy zaczął wojnę z Maciusiem.

— A ty żądałeś, żeby Maciusia ogłosić królem.

— A ty pozwoliłeś, żeby Macius woził złoto Bum-Druma przez twoje państwo.

— A u ciebie Macius poznał się z Murzynami.

— Ty pokazałeś mu parlament.

— Twój szpieg założył mu gazetę.

I wychodzi tak, że musi być wojna. Ale każdy boi się wspomnieć o wojnie, bo nie wie, kto pójdzie z nim, a kto przeciw.

Jak się w szkole pokłóć, przychodzi nauczyciel, skrzyczy jednego, drugiego albo w kącie postawi — i koniec. Jak się ministrowie pokłóć, przychodzi król i wszystkich albo kilku wyrzuci, to znaczy: daje dymisję.

Ale co robić, jak się królowie pokłóć?

Jest na to sposób. Zawsze znajdzie się jakiś bardzo mądry człowiek — nazywa się dyplomata — i obiecuje, że wszystko będzie dobrze, że bić się nie trzeba. Toteż i teraz zjawiał się taki: stary już i bardzo a bardzo mądry — lord Pux.

Lord Pux pali fajkę i mało mówi. Gazety piszą, że można być spokojnym, bo jeżeli lord Pux podejmie się, zrobi; jak coś obieca, to i dotrzyma.

Pojechali wszyscy na wyspę Fufajkę. Lord Pux bierze listę, wywołuje, czy kogo nie brakuje.

— Jest. — Jest. — Chory. — Jest. — Jest. — Wyszedł do ustępu, zaraz wróci. — Jest. — Nie ma.

Są prawie wszyscy królowie. Cicho. Czekają, co lord Pux powie. A on nakłada tytoń do fajki — wcale się nie spieszy.

— Teraz każdy po kolei musi powiedzieć, czego chce i o co się gniewa.

Gadają: jeden głośniej, drugi ciszej, jeden krótko, drugi długo, jeden się jąka i czerwieni, drugi chrząka, trzeci sepleni. Jeden rękami macha, drugi się kiwa.

Dawniej posiedzenia trwały dwie-trzy godziny, a teraz — od rana do samego wieczora. Lord Pux popiół wytrząsa, tytoń nakłada, nie mówi nic. Nie darmo nazywali go żelaznym starcem. Ani drgnął. A jak kto chciał przerwać albo podpowiedzieć, a nie jego kolej — lord Pux tylko spojrzy, i dosyć.

Już prawie nikt nie słucha — tacy wszyscy zmęczeni. A każdy tylko ciekawy, co lord Pux odpowie.

Skończyli. Cisza. Dziennikarze zatemperowali ołówki. Posłali na telegraf, żeby wszystko było gotowe, bo zaraz mówić będzie Pux. A on fajkę dokończył, popiół wytrząsł, oczyścił, schował — i powiedział:

— Mhm.

Potem popatrzał, popatrzał i dodał:

— Jutro o siódmej rano drugie posiedzenie.

Dziennikarze w te pędy do telegrafu; ale że wstyd pisać w gazecie, że lord Pux powiedział tylko: „Mhm” i nic więcej, więc każdy wymyśla jakąś mowę i posyła do swojej gazety.

Zebrał się królowie o siódmej rano, ale źli i niewyspani. A lord Pux już siedzi ze swoją fajką. I znów wywołuje, kto jest, kogo nie ma, kto się spóźnił.

— Ponieważ wczoraj nie wiedział jeszcze nikt, co powiedzą inni, a teraz już wie, więc niech każdy jeszcze raz po kolei powie, czego chce i o co się gniewa.

Królowie znów mówią: jedni to samo, co wczoraj, drudzy trochę inaczej, a jeszcze inni zapomnieli, co wczoraj gadali, i mówią zupełnie inaczej. Znów trzymał ich żelazny starzec do samego wieczora i posiedzenie zakończył słowami:

— Bardzo dobrze. Jutro zbierzemy się o godzinie szóstej rano. Znów to samo — tylko że kazał im się zebrać o piątej.

Królowie źli, że nie wiem.

— Czy wasza królewska mość przyjdzie? — pyta się jeden drugiego.

Każdy mówi, że nie, że lord Pux żartuje sobie z nich czy co — każe im mówić, sam fajkę pali. Głupiec — królowie nie są przyzwyczajeni ani tak wczesnie wstawać, ani tak długo siedzieć.

Ale boją się Puxa i przychodzą. A dlaczego się boją, sami nie wiedzą. Tak samo bywa w szkole: jeden nauczyciel krzyczy, do kąta stawia, za uszy targa, a nie słuchają się go uczniowie, a drugi tylko spojrzy i każdy drży. A lord Pux nie tylko patrzył groźnie spod siwych brwi, ale fajkę palił.

Pięć razy kazał Pux królom powtarzać w kółko to samo. Bo jeszcze przyjechali nowi, więc musieli wiedzieć, no i co dzień ktoś mówił inaczej. Bo tymczasem przychodziły inne nowiny.

Królowie cztery dni się złościли, a piątego dnia byli tacy pokorni, tacy zmęczeni, że im się aż korony przekrzywiły na bakier, i z takim strachem patrzyli na fajkę Puxa, jakby już nie w koronach i armatach, ale w tej fajce był ich ratunek i zbawienie.

— Jutro niedziela — przypomniał półgłosem młody król, kiedy ostatni mówca skończył przemówienie, czego chce i o co się gniewa.

Lord Pux wstał, parę razy odetchnął głęboko i głosem silnym powiedział:

— W poniedziałek zbierzemy się o godzinie czwartej rano.

Królowie szybko wstali, poprawili korony, zarzucili królewskie płaszcze — i w nogi. Jeden próbował namówić królów, żeby się zebrać w niedzielę bez Puxa i rozmówić na tajnej naradzie, co robić.

— Przecież nie możemy na to pozwolić.

— A daj mi, wasza królewska mość, spokój, nic nie wiem, idę spać. Do poniedziałku może być koniec świata.

Ale końca świata nie było, tylko znów zasiedli na swoich miejscach i patrzą błagalnie na fajkę Puxa.

— Wasze królewskie mości! Musimy postanowić, co robić, jeżeli nam się uda schwycić Macusia, i co robić, jeżeli Macusia nie uda nam się schwycić. Musimy postanowić, co robić, jeżeli pochwyjemy Maciusia żywego, i co robić, jeżeli przekonamy się o jego śmierci. Musimy wreszcie postanowić, co robić, jeżeli Maciś dobrowolnie się zgłosi z zamiarami pokojowymi albo też wystąpi przeciw nam orężnie. Gdzie uciekł Maciś, nie wiemy. Jeżeli wierzyć temu, co mówi Dormesko, Maciś uciekł w granicach swego byłego państwa. Ale pułkownik Dormesko może się mylić. Co innego musimy postanowić, jeżeli Maciś stanie na czele rewolucji w kraju młodego króla, co innego, jeśli się ukáže wśród Murzynów, którzy wypowiedzieli wojnę białym królom. Pamiętać należy, że ze wszystkich czarnych królów jeden tylko Bum-Drum jest obecny, a ze wszystkich żółtych królów jest tu tylko Kita-Kiwa. Wasze królewskie mości, jeszcze nie koniec. Musimy postanowić, co robić, jeśli za Maciusiem pójną przeciw nam dzieci, co robić, jeśli Maciusiowi uda się zbuntować i dorosłych. Tych dziesięć punktów stawiam pod obrady.

Przerywam posiedzenie na pięć minut i zarządzam głosowanie, który z punktów chcecie omówić jako pierwszy dzisiejszego posiedzenia.

Wszyscy zerwali się z miejsc.

— Ależ on nas zamęczy.

— Żywi stąd nie wyjdziemy.

— Czy myślisz tu nas trzymać cały rok.

— Ja wyjeżdżam: ciotka mi ciężko zachorowała, muszę jechać.

— A ja muszę jechać, bo mają mi robić operację ślepej kiszki. Doktor pozwolił tylko tydzień tu być.

— Ja też się bardzo śpieszę, bo mi się synek urodził: o, tu mam nawet fotografię.

— Jutro jest wesele mojej siostry; muszę jechać, bo się obrazi.

Każdy z królów patrzy tylko, jak by się wymknąć Puxowi. Ale gdy Pux powiedział, że pięć minut upłynęło, zrobiło się zupełnie dcho.

— Kto chce zabrać głos: który z dziesięciu punktów wybrać pod obrady jako pierwszy?

Nikt. — Kto chce zabrać głos? Pytam się po raz drugi.

Cisza.

— Po raz trzeci: kto chce zabrać głos? — pyta się lord Pux.

Nagle pod stołem, przy którym odbywały się narady, coś się poruszyło. Wylaził spod stołu król Maciuś i mówi:

— Ja proszę o głos.

Królowie zdębieli i na pewno pospadaliby z krzesel, ale lord Pux ani drgnął — tylko spojrzął na nich — i zwrócił się do sekretarki z rozkazem:

— Proszę zapisać na liście obecnych króla Maciusia i obok dopisać: bardzo spóźniony.

Lord Pux zapalił fajkę.

— Czy waszej królewskiej mości znane są punkty naszych narad?

— Owszem, słyszałem — mówi Maciuś. — Ponieważ żyję i jestem obecny, stawiam pod obrady punkt piąty, który głosi: „Co zrobić, jeżeli Maciuś dobrowolnie się zgłosi z zamiarami pokojowymi?”

— Zupełnie słusznie — mówi lord Pux.

Maciuś usiadł. A lord Pux się pyta:

— Kto jeszcze chce zabrać głos?

Gdyby nawet kto z królów chciał co powiedzieć, nie mógłby; bo nie tylko zbaraniełi od tego, czego byli świadkami, ale im języki zesztyniały. Gdyby nie byli królami, powiedziałbym otwarcie: „Zapomnieli języka w gębie”.

— Jeżeli nikt więcej głosu nie zabiera, zamykam dyskusję i przystępuję do głosowania. Kto głosuje za wnioskiem króla Maciusia Pierwszego Reformatora, niech podniesie dwa palce prawej ręki do góry.

Królowie podnieśli palce do góry.

— Wniosek króla Maciusia Pierwszego przeszedł przez aklamację — mówi lord Pux. — Proszę to zaprotokółować.

Ocknął się nagle młody król, wstaje.

— Proszę o głos w kwestii formalnej.

— Udzielam głosu młodemu królowi.

— Zapytuję się, czy należy nazywać Maciusia królem, jeśli pozbawiony został korony przez swoich poddanych, a państwo utracił w ostatniej wojnie? Lord Pux nazywa Maciusia królem i zdaje się go traktować na równi z nami. Więc proszę postanowić, czy słuszne jest, abyśmy z Maciusiem naradzali się co do dalszych losów Maciusia. Maciuś jest naszym jeńcem. Maciuś utracił królestwo, które...

— Więc cóż takiego? — przerwał nagle król Boruch. — Czy to jeden król stracił państwo i znów ma? Ja straciłem też państwo, czekałem cierpliwie dwa tysiące lat.

Lord Pux zaczerwienił się i powiada:

— Król Boruch nie ma głosu. Nie wolno przerywać. Młody król jeszcze nie skończył. Głos ma młody król.

— Maciuś jest naszym jeńcem, powiadam. Powinien być ukarany, że uciekł; może być łagodniej ukarany, bo dobrowolnie się zgłosił. Zresztą Maciuś dlatego się poddał, bo wiedział, że i tak go złapiemy.

— Czy wasza królewska mość skończył? — pyta lord Pux.

— Skończyłem.
— Proszę o głos — mówi Maciuś.
— Król Maciuś Reformator ma głos — mówi Pux.
— Młody król kłamie jak najęty — mówi Maciuś. — Korony pozbawiła mnie garstka zdrajców, a nie cały naród. Trzydziestu tchórzów, którzy się zlekli jednej głupiej bomby, nie może króla pozbawić tronu. Zresztą jeden z nich rzucił mi się do nóg, przeproszał i znów nazywał królem. A wasza policja jest tak głupia, że ukrywać się mogłem jeszcze sto lat. Skończyłem.
— Kto jeszcze chce zabrać głos? — zapytał się lord Pux.
— Ja — mówi Maciuś.
— Król Maciuś Pierwszy Reformator ma głos.
— Stawiam wniosek, żeby przerwać posiedzenie do jutra, bo królowie muszą pomyśleć, poradzić się, co mówić. Bo tak od razu nie mogą.
— Tak, tak, przerwać. Przerwać posiedzenie...
Królowie pozrywali się z miejsc. Wszyscy mówią, krzyk taki i nieporządek, że nawet lord Pux nie poradzi.
— Odroczyć, przerwać, jutro, chcemy pomyśleć, dosyć.
Lord Pux wstał, uderzył pięścią w stół, puścił z fajki tak gęsty kłąb dymu, że wszyscy się uciszyli, ale stoją.
— Proszę usiąść.
Stoją.
— Proszę siadać — mówi lord Pux, a głos mu drży z gniewu.
I stało się, że Maciuś usiadł. A jak pierwszy Maciuś usiadł, usiedli zaraz wszyscy.
— Stawiam pod głosowanie nagły wniosek króla Maciusia, żeby odroczyć posiedzenie do jutra...
— Do dziesiątej — dodał Maciuś.
— Do godziny dziesiątej — powiedział lord Pux. — Kto się zgadza, niech podniesie rękę.
Wszyscy podnieśli ręce prócz młodego króla i Bum-Druma.
— Kto jest przeciwny? — pyta się lord Pux.
Patrzą na młodego króla, on nic.
— Kto uchyla się od głosowania? — pyta się lord Pux.
— Ja — mówi młody król. — Jestem przeciwny wszystkim wnioskom, które stawia Maciuś. To jest posiedzenie królów, a Maciuś nie jest królem. Proszę zapisać do protokołu — *votum separatum*.
— Wniosek króla Maciusia Reformatora przeszedł wszystkimi głosami prócz jednego. Posiedzenie zamykam do jutra, do godziny dziesiątej.
Pux podał Maciusiowi na pożegnanie rękę i powiedział:
— Udało się waszej królewskiej mości zapanować nad sytuacją.
Doszedł do Maciusia król Boruch, chciał z nim porozmawiać, ale Maciuś odsunął się niechętnie. Maciuś najgorzej nie lubi kłamczuchów. Maciuś wie, że dorośli kłamią, ale żeby się nie wstydzić powiedzieć, że czeka na utraconą koronę dwa tysiące lat, to już zupełnie brzydko. Najwyżej człowiek żyje sto lat przecież. A on: dwa tysiące...

Poszedł Maciuś sam jeden nad morze, usiadł na kamieniu — jest strasznie zmęczony i smutny. Tyle się namęczył, tyle nacerpiał — po co, dla kogo? Jedna Klu-Klu została mu wierną; ale nie wie, nie rozumie, nawet nie powinna wiedzieć, co odebrało Maciusiowi chęć do walki i pracy. Nie trzeba martwić Klu-Klu. Niech ona przynajmniej będzie szczęśliwa.

Ale co to? Ktoś śpiewa. Maciuś poznał głos smutnego króla.

Kiedy Maciuś wychodził z sali obrad, smutny król stał w korytarzu i czekał. Maciuś przeszedł blisko, udał, że nie poznaje. Nie gniewa się Maciuś na smutnego króla — zresztą jest mu wszystko jedno. Chce, żeby się najprędzej skończyło. Poprosi Puxa, żeby go

zaraz wysłał na bezludną wyspę. Jeżeli prababka Zuzanna Cnotliwa wstąpiła do klasztoru, dlaczego tak strasznie zmęczony i smutny król Maciuś nie ma zakończyć burzliwego żywota na bezludnej wyspie?

Maciuś nie żałuje, że uciekł. Pojedzie jako król, a nie więzień, niewolnik, pojedzie spokojny, z własnej woli; bo wie, że nie ma po co ani do kogo wracać.

— Maciusiu, czy pozwolisz mi tu usiąść? — zapytał się smutny król Macusia.

— Nie mam prawa zabraniać, to nie moja wyspa.

— Ale ty pierwszy tu usiadłeś.

— Mogę się posunąć.

Długo nic nie mówili.

Smutny król wyjął z kieszeni garść orzechów i podał. Maciuś wziął. Gryzie zębami orzechy, łupinki rzuca do morza. I przyjemnie patrzeć, jak każda łupinka pokręci się trochę — pokręci przy brzegu; potem przychodzi fala, łupinka zniknie w białej pianie — i już nie wiadomo, gdzie się podziała.

— Gdzie mieszkasz, Maciusiu?

— Pierwszą noc spędziłem pod mirtowym drzewem, drugą noc pod stołem w sali posiedzeń.

— Chcesz jeszcze orzechów?

Maciuś powiedział:

— Dziękuję.

— Królowie mieszkają w hotelu, ja wynająłem mały pokoik w rybackiej chacie. Mam dwa łóżka. Jest bardzo czysto.

Maciuś się uśmiechnął, bo przypomniały mu się więzienne pająki i pluskwy.

— Nic nie mogłem zrobić — mówi smutny król jakby do siebie. — Nie pozwolili nawet zrzucić korony i jechać na bezludną wyspę.

— Słyszałem — mówi Maciuś.

— Zmizemiałeś bardzo, Maciusiu. Nic dziwnego, że nie mogli cię poznać. Czy było ci bardzo źle przez ten czas?

Maciuś spojrział smutnemu królowi prosto w oczy.

— Królu — powiada — jak uciekłem, co robiłem i jak tu przybyłem, jest tajemnicą. Jest to tajemnicą nie tylko moją, ale i tych dobrych albo głupich ludzi, którzy wiedzieli albo nie wiedzieli, że pomagają królowi-tulaczowi. Nie powiem, bo nie chcę, żeby mieli przykrości. Smutny królu, ja już teraz nikomu, nikomu, nawet tobie nie ufam.

Smutny król nie odpowiedział, tylko wziął skrzypce i zaczął grać, a z oczu łzy mu kapią.

A teraz posłuchajcie, jak się dostał Maciuś na Fufajkę i dlaczego chce jechać na bezludną wyspę. Czy wszystko będzie dokładnie opowiedziane, nie wiem. Bo przez lat dwanaście stu najślawniejszych profesorów kłóciło się w gazetach, kto ma rację. A każdy inaczej opisał, jak Maciuś uciekał. Wybrałem opowieść najciekawszą, bo czy nie wszystko jedno, jak uciekał Maciuś? Więc po tygodniu przyznał się Maciuś jednemu z chłopców, że jest królem. Z początku nie chciał wierzyć, ale uwierzył. Dobrze. Ale poszli na spacer, przeczytali na rogu ulicy, że za schwytanie Macusia można dostać pięć milionów. I postanowili go zdradzić.

Ale jak szli parami przez ulicę, akurat przejeżdżała powozem Klu-Klu i poznała Maciusia. Bo Klu-Klu już wypuścili z więzienia. Więc Klu-Klu mówi, że chce zwiedzić dom sierot, bo jak pojedzie do kraju, musi taki sam dom dla czarnych dzieci założyć. Więc kupiła pięć funtów cukierków, napisała do Macusia list, żeby był cierpliwy, że jest mu wierna i na pewno pomoże odzyskać koronę, że pojedzie do tych Murzynów, którzy wypowiedzieli białym królom wojnę. I niby rozdaje cukierki, a tymczasem Maciusiowi list w rękę wsunęła. A tymczasem Maciuś podsłuchał rozmowę, że chłopcy chcą go zdradzić, więc uciekł do staruszki, która dała mu mleka, kiedy gonili wilka z zoologicznego ogrodu. Więc wchodzi, ale zamiast staruszki jest tam jej syn. Bo syn przyjechał z dalekich krajów, żeby zabrać matkę do siebie. A on nie poznał Macusia, myślał, że złodziej. Bo Maciuś się zakradał cichutko. Gdyby Maciuś wiedział, że to jej syn, jeszcze byłoby pół biedy. Ale nie wiedział. Więc bierze go ten za kołnierza i prowadzi. Ale w bramie spotykają staruszkę. Maciuś do niej, a syn się dziwi, skąd się znają. A staruszka od razu poznała Maciusia. No więc go wzięli na górę.

A właściciel składu wędlin dał znać policji, właściwie nie on, a żona. Tak i tak: Maciś był u nich, ukradł serdelki i kielbasę i uciekł. Ale w policji nie bardzo wierzyli, bo dużo ludzi przychodziło, że widzieli Maciusia, bo każdy chciał dostać nagrodę. Ale jak przyszedł list od chłopców, że Maciś był w domu sierot — i znów pisało o serdelkach — zrozumieli, że prawda. Prefekt policji przestraszył się, bo napisał, że Maciusia na pewno nie ma w stolicy — i dopiero urządził jedną obławę po drugiej. A w więzieniu znaleźli podkop.

Więc Maciś widzi, że źle, i pisze do Klu-Klu. Nie ma rady. Stało na tym, że Maciś pojedzie z Klu-Klu. Ale jak? Więc Klu-Klu miała psa. Klu-Klu otruła psa i zakopała w nocy; ale mówi, że chce psa zabrać do swego kraju. Więc stolarz zrobił skrzynię. I dopiero przyszedł syn tej staruszki, żeby niby zedrzeć skórę z psa. I w worku przyniósł Maciusia. Włożyli go do skrzyni. I tak Maciś w skrzyni, jako wypchany, dostał się do wagonu.

Ile wycierpiał Maciś, trudno powiedzieć. Maciś był dumny. Kiedy Klu-Klu jechała w klatce z małpami, Klu-Klu była dzika i wcale się nie wstydziła, tylko jej było niewygodnie. Zresztą Klu-Klu jechała w klatce, a nie w worku, i jako żywa małpa, a nie zdechły pies. Klu-Klu była córką królewską, a nie królem. Jak się opowiada, to niby nic, ale niech kto spróbuje przeżyć to wszystko.

Teraz uciec było łatwiej, bo Klu-Klu nie pilnowali. Przeczytali gazety, dowiedzieli się, że lord Pux zebrał królów na wyspie. Więc Maciś chce tam jechać, a Klu-Klu pojedzie do zbuntowanych Murzynów. Klu-Klu kupiła łódkę i zamiast do okrętu, który na nią czekał, wsiadła z Maciśm na łódkę i pojechali. Na morzu zaskoczyła ich taka sobie burza. Ale nawet mała morska burza jest niebezpieczna dla zwyczajnej łodzi. Zresztą nie wiedzieli, czy z małej burzy nie zrobi się większa.

Dwa dni wiosłowali, trzeciego dnia Maciś wylądował, a Klu-Klu popłynęła dalej. Żał się było Maciśmowi z Klu-Klu rozstawać, ale nie ma rady. No a na wyspie już łatwo dostać się pod stół, bo tu policji nie było, bo na wyspach nawet królowie są zupełnie bezpieczni.

Zmizemiał Maciś. Z czego miał dobrze wyglądać?

— Zamieszkać ze mną, Maciśm — prosi smutny król.

— Dobrze. Lepiej w rybackiej chacie niż w królewskim hotelu.

Wypili razem herbatę, ale rozmowa się nie klei. Każdy ma wiele do powiedzenia, ale mówi mało.

— Co to jest *votum separatum*, aklamacja, dyskusja? — pyta się Maciś.

— Daj spokój, Maciśm, nie zaprzataj sobie głowy głupstwami. To wszystko wymyślone, żeby głupi mogli na naradach udawać mądrych.

— A czy lord Pux jest mądry?

— Puxa królowie się boją. I nie myśl, Maciśm, że mówię, żeby ci się przypodobać — lord Pux boi się o ciebie. Zresztą sam ci to powiedział.

— A co znaczy: zapanować nad sytuacją?

— Właśnie: to znaczy, że ich za łeb trzymasz. Teraz wszystko od ciebie zależy. Młody król jest jedynym twoim wrogiem, ale jego nie lubią. Zresztą mógł się młody król stawiać, kiedy nas było trzech; ale teraz wiedz o tym — możesz liczyć na trzydzieści cztery głosy. Będzie tak, jak zechcesz.

— Za późno — powiedział Maciśm oparłszy głowę na rękę. — Ja już nic nie chcę — nic nie chcę.

— Maciśm! — zawołał smutny król przerażony. — Nie poznaję ciebie. Tego ci mówić nie wolno. Jutro możesz odzyskać państwo i koronę. Nazywasz tchórzami tych, którzy w ogniu bitwy wywiesili białą chorągiew. A ty, wódz i król, w wilię bitwy, która na pewno da ci zwycięstwo — sam siebie zdradzasz, i nie tylko siebie, ale swoje reformy, swoją pracę i walkę — sprawę dzieci. Zbudź się, Maciśm. Pomyśl: jeszcze tylko ten jeden dzień, ostatni.

Siedzi Maciśm z głową opartą na rękę. Westchnął ciężko raz — drugi.

— I na co mi zwycięstwo? — zapytał szeptem.

— Tobie niepotrzebne, Maciśm. Ale na twoje zwycięstwo czekają dzieci całego świata. One ci ufają. Ty obiecałeś. Nazwałeś się królem Reformatorem, tobie rąk opuszczają nie wolno.

Wstał Maciuś, wziął wędkę, poszedł na brzeg morza. A myśli jego musiały być ciężkie, bo choć ryby pod pływały do samego brzegu — ani jednej do wieczora nie złowił.

Posiedzenie było bardzo burzliwe. Każdy mówił co innego, wszyscy byli zdenerwowani, tylko Pux spokojnie palił swoją fajkę.

— Mamy dwie różne sprawy — odezwał się lord Pux. — Jedna — to sprawa Maciusia i jego królestwa; a druga — sprawa dzieci. Jeżeli Maciuś otrzyma królestwo, dzieci będą się buntowały. Będzie wielki niepokój w całym świecie, wielki nieporządek w szkołach. Już królewicz Hestos prowadził pochód dzieci; a co będzie dalej? Dzieci mogą wybrać Maciusia za króla albo zażądać, żeby w każdym państwie było dwóch królów; jeden dla starych, drugi dla małych. Co wtedy zrobimy? Więc naprzód musimy postanowić, czy chcemy dać dzieciom prawa i jakie.

— Prawa? — ryknął cesarz Pafnucy. — Gdyby mój syn ośmielił się przyłączyć do buntu, ja bym mu spuścił portki i sprawił takie grzanie, żeby popamiętał! Teraz jest głupia moda, że dzieci się nie bije. Trzeba bić, a jak nie pomoże, jeszcze raz bić. Trzeba bić ręką, jak nie pomoże — różgą, jak i to nie pomoże — rzemieniem.

Wszyscy patrzą na Maciusia, ale on milczy.

— Kto chce zabrać głos? — pyta się lord Pux.

— Ja inaczej zrobiłem — mówi Orestes. — Bicie mi się nie podoba, bo dostanie i zaraz zapomni. Najlepiej nie dać jeść. Jak nie dostanie śniadania albo obiadu i będzie głodny, zrozumie, że trzeba się słuchać. Mam się szamotać z chłopakiem — kto by mi kazał. Niech posiedzi w ciemnej komórcie, niech się naje strachu — zaraz mu wywietrzeją głupie myśli.

— Żadnych praw dzieciom dawać nie można — mówi przyjaciel żółtych. — Dzieci są lekkomyślne, nie rozumieją, nie mają doświadczenia. Dał Maciuś dzieciom prawa i patrzcie, co zrobiły. Kazały dorosłym chodzić do szkoły, same wszystko zepsuły. Bić dzieci nie trzeba, bo to bardziej złości, głodzić dzieci — jeszcze większe świństwo, bo mogą zachorować, wyrosną na słabych ludzi. Ale trzeba wytłomaczyć, że powinny zaczekać, aż zmądrzeją.

— Proszę o głos — odezwał się smutny król. — Nie zgadzam się z moimi poprzednikami. To, co teraz mówimy o dzieciach, mówiono dawniej i o chłopach, i robotnikach, o kobietach i Żydach, i o Murzynach. Jedni tacy, drudzy tacy, więc żadnych praw dawać nie można. No i daliśmy prawa. Bardzo dobrze nie jest, ale lepiej niż było. Maciuś dał za dużo praw od razu, trzeba to robić powoli. Dzieci powinny mieć pieniądze, żeby mogły różne rzeczy kupować. Jeżeli kupować będą głupstwa, to i dorośli nie wszyscy wydają pieniądze mądrze. Można wydawać pożyczki, a jak urosną, niech zwrócą. Bo teraz dzieci są tak jak żebracy. O wszystko muszą prosić, muszą się podlizywać dorosłym i czekać, aż będą w dobrym humorze. Zresztą już i dziś dzieci mają więcej praw. Bo dawniej ojciec mógł zabić dziecko, a teraz nie wolno. Jeżeli rodzice mocno biją, też nie wolno. Jeżeli nie chcą posyłać do szkoły, też nie wolno. Więc mówmy, jakie jeszcze dodać dzieciom prawa. Dzieci nie są gorsze od dorosłych.

— Skąd wasza królewska mość wie o tym, kiedy nie ma dzieci? — zapytał z ironią młody król.

— Proszę o głos — mówi Kampanella, która dowiedziawszy się, że Maciuś jest na naradzie, zaraz przyjechała.

Ale nie zaczęła jeszcze Kampanella mówić, kiedy usłyszano krzyk. Ale taki straszliwy, jakby się paliło. Pierwszy Bum-Drum zerwał się z miejsca i biegnie do okna. A za nim wszyscy.

— Zdrada! — krzyknął ktoś i chciał złapać Bum-Druma. Ale było za późno; Bum-Drum wyskoczył przez okno. A zresztą nic by nie pomogło, bo nie zdążyli zamknąć drzwi na klucz, kiedy już wpadli na salę Murzyni i zaczęli wiązać białych królów.

A Klu-Klu na czele.

— Jesteś wolny, Maciusiu! — mówi Klu-Klu.

— Zamykam posiedzenie! — woła związany i już bez fajki lord Pux.

— Czy żółtego króla też związać, czy nie?

— Nie wiem — mówi Klu-Klu. — Teraz Maciuś jest waszym wodzem.

Maciuś poznał tych Murzynów. Profesor mówił wtedy, że są najdzikszy ze wszystkich ludożerców. Doskonali wioślarze, ale tak dzicy, że nawet Bum-Drum ich się bał i pozwolił przyjeżdżać do siebie tylko niewielu. I teraz Bum-Drum, który nie potrzebował nawet udawać, miał minę niezadowoloną i chociaż mówił cicho, ale widać było, że gniewa się bardzo na Klu-Klu.

Nie było ani chwili do stracenia. Jedni ludożercy układają kupkami po pięciu związanych królów, drudzy znoszą związaną służbę hotelu i nielicznych żołnierzy, którzy byli na wyspie.

Ci Murzyni byli tak dzicy, że umieli liczyć tylko do pięciu. I to było szczęście, bo inaczej zwałiliby białych na jedną kupę i wszyscy by się podusili. A tu przed Maciusiem stoi na czworakach trzech generałów i czekają na rozkaz.

Nagle Bum-Drum głośno coś powiedział i stanął na rękach do góry nogami. To samo zrobiła Klu-Klu. Maciuś zrozumiał, że powinien też stanąć na rękach głową na dół; więc szybko doszedł do ściany, żeby się trochę oprzeć nogami, bo nie umiał.

— Już — mówi Bum-Drum. — Teraz wstań i kopnij każdego z generałów w nos.

Niechętnie wykonał Maciuś rozkaz, ale nie było rady.

Każdy z kopniętych murzyńskich generałów fiknął do tyłu pięć koziołków i stawał na rękach.

— Teraz weź ze stołu klocek drzewa i obejdź każdą kupkę królów pięć razy, ale się nie oglądaj za siebie, bo będzie źle. Pięć razy każdą kupkę, mój Maciusiu, tylko się nie pomył.

Idzie Maciuś na przodzie, za nim Bum-Drum, Klu-Klu, generałowie murzyńscy, ale Maciusiowi nie wolno się oglądać. Domyśla się, że idą na rękach. Maciuś sam nie wie, czy więcej było mu wstyd, kiedy nieśli go w worku jako wypchanego psa, czy teraz, kiedy biali królowie widzą, jakich ma przyjaciół. Wolałby Maciuś leżeć związany niż iść na czele tego wariackiego pochodu. Ale czuł, że nie żarty, że jedna drobna nieostrożność może cały świat pozbawić białych królów.

Jeszcze cztery kupki ma obejść, jeszcze trzy. Niczym były spaceru więzienne w porównaniu z tym. Królowie rozumieją, że źle, bo leżą jak trusie. I całe szczęście, że Maciuś nauczył się liczyć kroki i różnie chodzić. Bo Bum-Drum raz po raz daje inne polecenie:

— Maciusiu, teraz stawiaj duże kroki — teraz małe — teraz się przechył na prawo — teraz podnieś drzewo w górę — teraz chodź na piętach. Maciusiu, tylko nie rzuć tego bożka na ziemię, jak cię zaczniesz parzyć.

Kloc drzewa naprawdę robił się coraz cieplejszy.

Ostatnia kupka: na samej górze leży związana Kampanella. Maciuś przymyka oczy.

— Teraz wyjdź przed dom — mówi zdyszany Bum-Drum, bo i jemu ciężki był ten pochód, bo nie był już taki młody.

Schodził Maciuś na dół, drzewo nie na żarty zaczyna piec ręce. Jakby niósł szklanekę gorącej herbaty. Wreszcie już nie może.

— Bum-Drumie, gorące!

— Maciusiu, bądź cierpliwy. Zaraz się skończy.

— Czy można trochę przędej?

— Nie.

Rozumie Maciuś, że gdyby można, sam Bum-Drum chciałby, żeby się skończyło. (Jednak ceremonie białych królów nie są tak ciężkie).

Nareszcie.

Z poparzonych rąk Maciusia odebrał klocek rozpalony — kapłan ludożerców.

— Co to wszystko znaczy? — pyta się Maciuś Klu-Klu, która ze smutkiem patrzy na poparzone ręce Maciusia, gdy Bum-Drum oddalił się, aby wziąć udział w jakimś okropnym tańcu wojennym.

— Zrobiłam głupstwo, Maciusiu, ale się nie gniewaj. Bałam się, że ci królowie biali zrobią coś złego, jeżeli szybko nie przybędę na pomoc. Niebezpieczeństwo już minęło, ale mogło być źle. A czy bardzo bołą cię ręce?

Taniec wojenny trwał trzy godziny, a tymczasem Bum-Drum, Klu-Klu i Maciuś wynosili z piwnic hotelowych wódki, wina i likiery.

— Jak skończą się tańce — mówi Bum-Drum — ja będę pilnował porządku, a wy rozdawajcie po pół kubka trunku. A w każdy kubek niech Maciuś wrzuca jedno ziarenko, a ty, Klu-Klu, trzy ziarenka.

I dał każdemu woreczek tak jakby grochu. Jeszcze Bum-Drum przeciął Maciusiowi pęcherze na rękach i posmarował płynem, bo inaczej nie mógłby ani dzbanka trzymać, ani tych groszków wrzucać.

Ręce Maciusiowi już omdlewają, a Bum-Drum pilnuje porządku. Jednych posyła do Klu-Klu, drugich do Maciusia. Ale więcej posyła do Klu-Klu. Domyślił się Maciuś, że bardziej dzikich posyła Bum-Drum do Klu-Klu.

Już nie będę mówił, jak dzikusy zachowywali się w ogonku, jak wrzeszczeli jak opętani, jakie robili miny, pijąc razem wódkę z piwem i winem. Szkoda czasu i nieprzyjemnie nawet czytelnikom o takich okropnościach opowiadać. Dość będzie, jeśli wspomnę, że czterech rozszarpali i zjedli na surowo: nawet piór z włosów nie wyjęli — gorzej niż tygrysy.

— Kiedy się to skończy? — pyta się Maciuś i z coraz większą tęsknotą myśli o bezludnej wyspie. Niech robią, co chcą: niech się kłócą, godzą, dają i zabierają prawa, niech się nawet zjadają, byle już bez niego.

Wreszcie ostatni kubek octu (bo zabrakło i piwa), ostatni groszek, ostatni dzikus.

Nareszcie.

Zjedli królową Kampanellę. Przepraszają, liżą nos i uszy Maciusia, fikają żalobne kociołki. Nie wiedzieli: myśleli, że można. Przecież zjedli tylko żonę rybaka i Kampanellę. Gotowi są ponieść karę według praw białych. Niech ich ukarzą jak zbrodniarzy. No, nie wiedzieli. Stało się.

Są posłuszni. Mogli pozjadać wszystkich. Wprawdzie Klu-Klu wyraźnie nie powiedziała. Ale oni niewinni. Zrozumieli, że idą na ciężką wojnę, że muszą się śpieszyć, że trudno będzie zwyciężyć, że na każdym dziesięciu zginie dziewięciu. Ale myśleli, że zjedzą. Nie tylko tamci, najdziksi, ale i oni — oni też myśleli.

Byli posłuszni. Kazał im Maciuś odesłać najdzikszych ludożerców, położyli śpiących na łódki i odesłali. Pewnie zginą wszyscy, bo nie są wiosłarzami. Kazał Maciuś, żeby tylko stu zostało — są. Kazał rozwiązać białych królów — bez słowa oporu rozwiązali: nikt ich nie rusza. Szanują Bum-Druma, kochają Klu-Klu, no a Maciuś jest przecież ich jasnym, białym królem.

Czyżby dla dwóch kobiet warto im było narażać się na gniew Maciusia? Nawet na zakąskę nie starczyło. Zresztą słyszeli, że Bum-Drum zawarł umowę z białymi królami, że nie tylko białych, ale i czarnych zjadać więcej nie będą. Słyszeli, ale nie mieli pewności, że tak jest. Jak już Klu-Klu zbuduje koleje, założy telegrafy, zacznie wydawać gazetę, nauczy ich czytać i strzelać z armat, wtedy będzie inaczej. Ale cóż, to będzie dopiero.

Przyznają się: zauważyli Kampanellę, bo leżała na wierzchu kupki. Widzieli, że królowa. No i w nocy zarzucili poduszkę na głowę — potem po rynnie. Szkoda, że tak zręcznie zrobili. Gdyby krzyknęła albo co, gdyby im ktoś powiedział, niekoniecznie Maciuś, a byle kto, że nie wolno... A rybaczkę zjedli, toć każdy rozumie, że na sto ludożerców... No, ale co tu gadać? Zawiniли i proszą, sami proszą o karę.

Smutne było posiedzenie. Nawet lord Pux, choć niby nic, głęboko odczuł stratę Kampanelli.

— Proszę uczcić zjedzoną królową przez powstanie.

Wszyscy wstali.

— W kwestii formalnej — podnosi dwa palce Bum-Drum.

Co też Bum-Drum powie?

— Biali królowie — mówi Bum-Drum. — Moi czarni bracia są dzicy, wiem o tym. Wyrządzili wam szkodę. Tak. Ale nie ja ponoszę za to odpowiedzialność, tylko wy. Zbudowaliście sobie ładne pałace, a o nas wcale nie myślicie. Niby daliście nam prawa, ale to nie wszystko. My nie możemy sobie poradzić. Proszę, aby na tym siedzeniu rozważono sprawę nie tylko białych, ale i czarnych dzieci. Jeżeli nam starym jest źle, niech przynajmniej naszym dzieciom będzie dobrze.

Lord Pux powiedział:

— Mamy więc cztery sprawy. Pierwsza: sprawa białych dzieci. Druga: sprawa Maciusia. Trzecia: sprawa królestwa zjedzonej Kampanelli. Czwarta: sprawa czarnych dzieci.

Ale posiedzenie szło źle. Królowie byli zdenerwowani. Bardziej jeszcze niepokoiła ich obecność stu ludożerców. Wprawdzie przed hotelem stoją biali żołnierze, a w nocy zmieniać się będzie warta. Jednakże czy można być pewnym, że nie przyjdą nowi, a może nawet ci sami Murzyni? Jakie w tych warunkach mogą być obrady?

Niech Maciūs powie, czego chce, zgodzą się na wszystko. Po pierwsze zawdzięczają Maciūsowi życie, po drugie — ci ludożercy najwyraźniej są po to, aby w każdej chwili rzucić się w obronę Maciusia. Nie mają wprawdzie broni palnej, ale strzały i dzidy mogą być zatrute. Zresztą, co ich sprawa Maciusia tak bardzo obchodzi? Smutny król jest przyjacielem Maciusia. Przyjaciół żółtych królów na pewno odda, co zabrał, byle tylko Kita-Kiwa chciał się z nim pogodzić, a młody król, który najwięcej zawinił, niech odda ojcu koronę, bo nie umie rządzić, kiedy w jego kraju są bunty.

Każdy tak sobie myśli, ale czekają, co powie Maciūs.

A Maciūs milczy.

„Biedna królowa Kampanella — myśli król Maciūs. — Byłem niedobry dla niej. Tyle miała przeze mnie zmartwień. A teraz ją zjedli. Dlaczego nie panowałem spokojnie jak wszyscy królowie? Byłbym żył spokojnie, nie byłoby wojen i nieszczęść. To ja jestem winien wszystkiemu”.

Wreszcie zniecierpliwiony król Alfons Brodaty zażądał formalnie, żeby Maciūs powiedział, czego chce.

— Czy wasza królewska mość chce zabrać głos? — pyta się Maciusia lord Pux.

— Owszem, na znak żałoby po królowej Kampanelli proponuję odłożyć posiedzenie do jutra.

Nie wypadało odmówić. Zgodzili się, chociaż niechętnie. Ponieważ trumny nie było na wyspie, złożono kości królowej i rybaczek do skrzynki od wina i w małej kapliczce odbyło się nabożeństwo.

Spotkał się Maciūs z Klu-Klu pod mirtowym drzewem.

— Gniewasz się na mnie, Maciūs?

— Droga Klu-Klu, nie ja, a wy powinniście się gniewać. Gdyby nie ja, żyłabyś spokojnie w kraju Bum-Druma. Przeze mnie odbyłaś podróż w klatce z małpami, przeze mnie siedziałaś w więzieniu. Przeze mnie zaczęłaś myśleć o nieszczęsnych reformach.

— Maciūs, co też ty pleciesz! Przecież to największe szczęście żyć, pracować i walczyć, żeby lepiej było na świecie.

Maciūs westchnął.

— Pracuj, Klu-Klu.

— No a ty?

— Jadę na bezludną wyspę.

— Dlaczego? — krzyknęła przerażona Klu-Klu.

— To moja tajemnica.

Nie chciał Maciūs zniechęcać młodej Klu-Klu, ale wszystko powiedział smutnemu królowi.

— Myślałem, że dzieci są dobre, tylko nieszczęśliwe. A tymczasem dzieci są złe. Nie chcę, żebyś myślał, że się boję albo mi się znudziło, więc mówię. Ale niech to zostanie między nami. Nie znałem dzieci, ale teraz znam. Dzieci są złe, bardzo złe. I ja jestem zły. Zły i niewdzięczny. Dopóki się bałem ministrów, mistrza ceremonii, gubernera i kogo tam jeszcze — słuchałem się i siedziałem cicho... A jak zostałem królem prawdziwym, narobiłem głupstw i cierpię. I nie tylko ja cierpię, ale tylu niewinnych ludzi.

Maciūs uderzył pięścią w stół, wstał, założył ręce w tył i zaczął chodzić po izbie rybackiej.

— Dzieci są złe, niesprawiedliwe, złośliwe, kłamliwe. Jeżeli jakieś dziecko się jąka albo troszkę zezuje, albo rude, albo utyka na nogę, albo ma krzywe plecy, albo zrobi w majtki, zaraz mu dokuczają. Wołają: ślepy, kulas, garbus — wysmiewają. Jak ma dziesięć lat, wysmiewa się z ośmioletniego, jak ma dwanaście lat, nie chce się bawić z dziesięcioletnim. Jak widzą, że ktoś coś ma, to albo wymaniają i oszukują, albo pozwolą się rozporządzać. Jak widzą, że jakieś dziecko jest porządniejsze, zazdroszczą i mszczą się. Jak chłopak silny

i dobrze bije, to mu na wszystko pozwalają, a jak jest dobry i cichy, nic sobie z niego nie robią. Powiesz mu sekret, potem się pokłóci i wszystkim rozgada. Ze wszystkiego się wyśmiewają, każdego zaczepią, dają przezwiska. Jeżeli iść po ulicy parami, to przejść nie można. Bo wiedzą, że się nie będą bronić, bo idzie z nimi dozorca i nie pozwala się bić na ulicy. Pełno jest wśród dzieci złodziei. Jeżeli coś pożyczyć, to nie odda, jeszcze powie: „Wynoś się, odczep się, i odejdz, bo ci dam w zęby”. Chwalą się wszystkie. Każdy chce być pierwszy. Klóćą się starsze z młodszymi, chłopcy z dziewczynkami. Teraz rozumiem, dlaczego nie udał się sejm dzieci. Jakże się miał udać? Rozumiem, dlaczego byłem dobry, dopóki miałem serdelki, a potem chcieli mnie zdradzić. I jeszcze nazywali siebie rycerzami Zielonego Sztandaru. Białe dzieci są tak samo dzikie jak czarni ludożercy, a to jest wstyd. Ale Murzyni są nieszczęśliwi, bo nie mają oświaty. Nie chcę wracać do białych. Jeżeli mi się znudzi na bezludnej wyspie, pójdę do kraju Bum-Druma i tam na zawsze zostanę.

Maciuś zapomniał, że smutny król go słucha: mówił do siebie. Musiał wypowiedzieć głośno ten wielki żal, który mu się w duszy nzbierał.

Więc kiedy smutny król zaczął mówić, Maciuś drgnął ze zdziwienia.

A smutny król tłumaczył Maciusiowi, że nie powinien się zniechęcać. Każdy reformator przeżywa ciężkie chwile, kiedy mu się zdaje, że nie warto. Ale tak nie jest: są wśród dzieci złe, ale są i dobre, są kłamczuchy i prawdomówne, są stawiaki, są spokojne i skromne, są kłótlive i zaczepne, ale są zgodne i miłe. Ale nie ma porządku wśród dzieci i porządne cierpią przez nieporządne. Więc trzeba im dać prawa, żeby mogły się bronić. I Maciuś zaczął to robić, ale nie chce kończyć. Uparł się Maciuś, chce jechać na bezludną wyspę, więc niech jedzie. Ale niech nie żąda się żadnego ze swoich królewskich praw.

— Maciusiu, błagam cię, zrób tak, jak ci radzę. Bo inaczej pożałujesz.

Pierwszy strzał armatni padł o godzinie drugiej minut dwadzieścia w nocy. Kanonada trwała do godziny trzeciej. Wyrzucono trzysta sześćdziesiąt pocisków. Po czym załoga trzech okrętów wojennych wylądowała, żeby stoczyć walkę z ludożercami. Ale nie tylko wszyscy ludożercy byli rozszarpani na drobne kawałeczki; jeszcze i trzech białych królów było zabitych, pięciu lekko rannych. Bo jeden pocisk, kiedy okręt trochę się pochylił, uderzył w lewą oficynę hotelu. Z okrętu jest o wiele trudniej celować, bo się kiwa. W lewej oficynie hotelu mieszkali najmniej ważni królowie; ale zawsze bardzo to było nieprzyjemne.

Bum-Drum i Klu-Klu znikli. Ale na pewno ich przyłapią na morzu, bo dziewiętnaście okrętów miało polecone objechać morze między Afryką i Fufajką i rozstrzeliwać wszystkie łodzie z ludożercami.

Tak pomścili biali królowie śmierć Kampanelli. Aby raz na zawsze odeszła ochota czarnym diabłom wtrącać się do spraw białych. Biali mają telegraf bez drutu, biali mają armaty, głupi przypadek zdarzył, że dostali się bezbroni w łapy ludożerców. Ale niech nie myślą... I Maciuś też niech nie myśli, że zapanował nad całym światem. Ładnie by świat wyglądał pod rządami Maciusia. Królowie po tajnym posiedzeniu wysłali depezę z rozkazem do floty, żeby natychmiast przybyła na ratunek. Nie zapomnieli dodać, aby prócz wojennych przyjechał jeden okręt handlowy z jedzeniem; bo ludożercy zjedli zapasy niedużej wyspy i wypili wszystko z piwnic hotelu. A odbywać narady i jeść rybki, szczególnie po tyłu ciężkich przejściach — to nie dla królów interes.

Królowie byli w doskonałych humorach. Bądź co bądź, przeżyli ciekawe chwile; teraz do końca życia mogli opowiadać, jak w walce z czarną rasą omal nie zostali pożarci. Historia o nich nie zapomni. O dawnych królach tyle w historii ciekawych przygód wojennych: niech i o nich napiszą.

— Czy nie można wpisać do protokołu, że trzech zabici królowie i trzech ranni byli, niby nie przez armaty, a tak, w walce?

— Protokołu fałszować nie wolno — sucho odparł lord Pux.

— To nie fałsz — obraził się król. — Gdyby nie dziki napad tych afrykańskich małp, nie byłiby przecież zginęli.

Lord Pux nie odpowiedział. Chmurny otworzył posiedzenie.

— Królowie — mówi młody król. — Przypominam, że prosiłem, aby Maciusia nie nazywać królem. Proszę to oddać pod głosowanie.

— A ja proszę oddać pod głosowanie, aby młodego króla nazywać tylko następcą tronu; bo wczorajsze gazety doniosły, że naród zmusił starego króla, aby znów wziął koronę — spokojnie powiedział Maciuś.

Zrobiło się zamieszanie.

— Szkoda czasu na kłótnie.

— Nie przewlekajcie narad.

— Jak się przyczepiać do głupstw, nigdy nie skończymy.

— Mnie się synek urodził.

— Ja muszę operować ślepą kiskę.

— Moja ciotka zachorowała.

— Dziś wieczór wyjeżdżam. Mam dosyć tego dobrego.

— Maciuś czy król Maciuś, wszystko jedno: niech gada, czego chce.

— Tak, Maciuś...

— Król Maciuś... Niech powie...

— I kończyć nareszcie!

Tak wołają królowie jeden przez drugiego.

Pux kazał dać książkę z protokołem sądu nad Maciusiem i czyta:

— Na stronie dwunastej zapisano, że stolica odbiera Maciusiowi tron i koronę, ale niżej czytamy dopisek: *Z postanowieniem bandy zdrajców i tchórzów, którzy zaprzędali kraj — nie zgadzam się. Jestem i pozostanę królem Maciusiem Pierwszym.* Na stronie tysiąc czterdziestej trzeciej, dwunasty wiersz od góry, zapisano w protokole, co następuje: *Jeden z podpisanych na papierze o zabraniu korony rzucił się na ziemię, objął nogi Maciusia i płacząc wołał: „Królu ukochany, przebac moją podłą zdradę”.* Widzimy więc z protokołu — ciągnął Pux — że ani sam Maciuś, ani nawet ci, którzy go zdradzili, nie przestali uważać Maciusia za króla. A więc król Maciuś Pierwszy Reformator zechce zabrać głos i postawić swoje warunki.

Zrobiło się tak cicho, że słychać było odległy szum morza. Królowie przygotowani są, że Maciuś zażąda bardzo wiele i trzeba się targować. Więc nie miało granic ich zdumienie, gdy Maciuś powiedział:

— Ja, Maciuś Pierwszy, bardzo zawiniłem. Przeze mnie wielu ludzi zostało zabitych, rozszarpanych przez dzikie zwierzęta, zatrutych, a nawet zjedzonych. Moja prababka Zuzanna wstąpiła do klasztoru, ja chcę jechać na bezludną wyspę. Panować nie chcę, królem zostaję. Odebrane kraje mają być zwrócone. Jeżeli młody król będzie się upierał, niech weźmie port z powrotem i niech nie robi łaski. Przywracam granice, jakie miał mój ojciec, żeby nie mówili, że zmarnowałem dziedzictwo przodków. A naród niech wybierze prezydenta.

— A co dla dzieci?

Maciuś zmarszczył brwi, zagryzł wargi, milczy.

— Może ja za Maciusia odpowiem? — wtrącił się smutny król. — Jestem jego przyjaciелеm, więc wiem, co myśli. Maciuś jest bardzo zmęczony. Pragnie pomyśleć w spokoju o tym, co widział i przeżył, a jak odpocznie na bezludnej wyspie, powie wszystko na nowej naradzie królewskiej.

— Doskonale! — wołają uradowani królowie. — Król Maciuś jest zmęczony, musi odpocząć. Ale i nam należy się odpoczynek, bośmy się zmęczyli obradami; musimy wrócić do domu, zobaczyć, co się dzieje, bo ministrowie pewnie nie mogą sobie dać rady bez nas. A przy tym kości nas bołą, jakeśmy tyle godzin byli związani afrykańskimi sznurami i leżeliśmy na kupkach.

Lord Pux nie był zadowolony. Ale był mądry. Widzi, że jest nieporządek: wszyscy wstali z miejsc, gadają bez zapisania do głosu, razem, że nawet w protokole nie można porządnie notować, ale co robić? Panował nad sytuacją, a teraz już nie panuje: królowie go się nie boją.

— Ależ wasze królewskie moście, trzeba urządzić głosowanie.

— Niech nam lord nie zawraca głowy, bierzemy Maciusia na okręt handlowy i zjemy razem poegnalne śniadanko.

Biorą Maciusia pod pachę — prowadzą.

Maciuś trochę się opiera, ale nieprzyjemnie odmawiać, kiedy proszą. Wszyscy tacy zadowoleni. Tak go lubią. Zupełnie jak koledzy.

Ile razy spotykał się Maciuś z królami czy ministrami, w ogóle z dorosłymi — zawsze było tak, że niby on jest dziecko, a oni dorośli. A tu pierwszy raz jakby zupełnie równi. Dawniej, gdy był dla niego ktoś dobry, Maciuś nie wiedział, czy mówi naprawdę, czy go się boi; a teraz widzi, że go lubią i wcale się nie gniewają.

Maciuś myśli, że jednak dobrzy ludzie królowie. Jakby ich pierwszy raz widział dopiero. Nie ma żadnej ceremonii ani etykiety. Śmieją się. Lecą z górki na pazurki, gonią się. Król Malto udaje ludożercę.

— Maciuś się musi z nami na pożegnanie upić. To nic, że mały, ale dzielny. Co tu gadać. Jeżeli ktoś jest reformator, to już nie mały, tylko wielki. Niech żyje król Maciuś!

Na okręcie handlowym zastali porozstawiane stoły. Pełno butelek z winem i koniakiem, arakiem i likierami. Całe półmiski smacznych rzeczy, całe kosze owoców.

Sadzają Maciusia na pierwszym miejscu. Napelnili kieliszki.

— Za zdrowie Maciusia!

Orkiestra gra hymn narodowy. Piją, jedzą, a Maciuś z nimi. Co wypije, zaraz mu dolewają.

— Niech żyje Maciuś Pierwszy!

— Niech żyje Maciuś Wielki!

Całują się z nim, każą mówić po imieniu. Maciusiowi kręci się w głowie, ale mu strasznie wesoło. Śpiewa i tańczy ze wszystkimi.

— Sam powiedz, najdroższy Maciusiu, czy nie przyjemniej przyjaźnić się z białymi królami? Jak odpoczniesz na bezludnej wyspie, wrócisz do nas. Będziesz żył jak wszyscy królowie — wesoło, bez zmartwień. Dawniej potrzebne były wojny, bo królowie mieszkali w zamkach otoczonych murami i nudziło im się. A teraz mamy dosyć zabawy. Wypijemy za wieczną przyjaźń.

Wypili.

— Wypijemy za reformy.

Wypili.

— Wypijemy za prawa dla dzieci.

Znów wypili.

Ale nie było między nimi Puxa ani młodego i smutnego króla, bo zostali w sali obrad i pisali protokół. I strasznie się kłócił smutny król z młodym. Ten chce tak, a ten chce inaczej.

— Nie chcę tak! — woła młody król. — Niech będzie, jak postanowił Maciuś.

Widzą, że nie ma zgody. Każdy napisał inny protokół.

— Niech Maciuś sam wybierze, który chce, i niech podpisze.

Dobrze. Wsiedli w łódkę, jadą na okręt handlowy; a tam wszyscy pijani. I Maciuś też. Z nikim nie można się dogadać.

Złapali ich królowie, ściskają, całują, dziękują, że napisali protokół. To śpiewają, to zaczynają płakać, że ich mało co ludożercy nie zjedli, to znów, że smutny król gardzi nimi i pić nie chce.

Wyrwali protokół młodego króla — podpisali, że tak właśnie dobrze. Potem podpisali protokół smutnego króla: tak dobrze.

— Czy warto się kłócić o głupstwa? Nawet lepiej, jeśli królowie poplączą. Bo potem ministrowie mają zajęcie, żeby wszystko poprawić i doprowadzić do porządku.

Wiwat, niech żyje protokół! Wiwat lord Pux, który posiedzenie doprowadził do końca! Wiwat młody król! Wiwat smutny król! Kochajmy się! Niech żyje Maciuś Reformator!

Teraz moja opowieść zupełnie inna. Bo z chwilą kiedy Maciuś wylądował na bezludnej wyspie, od razu wszystko było inaczej. Przedtem było tak, teraz jest tak. Jakby zupełnie inny Maciuś, jakby mu się śniło albo jakby przedtem mu się wszystko śniło, a teraz się dopiero obudził. Dziwi się Maciuś. Dziwi się, że tak od razu wszystko się zmieniło. Nic

go nie obchodzą królowie ani tron, ani Murzyni, ani dzieci — nic a nic go nie obchodzi. Niech sobie robią, co chcą. Ten dawny Maciuś, który prowadził wojny, wygrywał i przegrywał bitwy, więziony w niewoli; Maciuś, który ucieka z więzienia, tuła się, znów ucieka — to jakby ktoś, o kim Maciuś słyszał, może go nawet znał. Ale bardzo dawno.

Siedzi Maciuś nad morzem, rzuca w wodę kamyki. Taki ładny kolor ma woda. Tak jest cicho i ładnie, i dobrze. Nikogo się Maciuś nie boi, przed nikim się nie ukrywa, z nikim nie mówi, nie myśli, co będzie jutro.

„A może naprawdę wszystko się tylko śniło”.

Nie, to było, ale bardzo dawno.

I to nie: owszem, było niedawno. Tylko co? Ano nic. Maciuś jest zupełnie inny niż był. I dziwne, że tak długo był taki i wcale nie wiedział, że może być inny. A który jest prawdziwy Maciuś: czy dumny król-Reformator, czy cichy i zamysłony dobrowolny wygnaniec bezludnej wyspy, Maciuś-filozof?

Maciuś stał się filozofem, to jest człowiekiem, który o wszystkim myśli, a nic nie robi. Filozof nie jest leniuchem, myślenie też jest pracą, nawet ciężką pracą. Człowiek zwyczajny widzi żabę, ale to wcale nie obchodzi. A filozof myśli:

„Dlaczego Bóg stworzył żaby? Przecież im jest nieprzyjemnie”.

Zwyczajny człowiek, jeżeli go ktoś zaczepi czy dokuczy — zaczyna się złościć, bije albo się broni; a filozof myśli:

„Dlaczego ten człowiek jest dokuczliwy i lubi zaczepiać?”

Zwyczajny człowiek, jeżeli widzi, że ktoś ma coś dobrego, albo zazdrości, albo stara się mieć to samo, a filozof myśli:

„Czy może być tak, żeby każdy miał wszystko, co chce?”

I tak właśnie było z Maciusiem.

Siedzi Maciuś nad morzem, rzuca kamyki, niby nic nie robi; ale głowa jego pracuje.

„Co się robi w głowie, kiedy człowiek myśli? Dlaczego człowiek śpi? Jak to się zasypia, że nie można wiedzieć, kiedy się zasypia? I co to jest, jak człowiekowi się śni? Jak człowiek umiera? Dlaczego człowiek rośnie i robi się stary?”

I drzewo żyje. Drzewo też rośnie, starzeje się, choruje. Biedne drzewo, nie może powiedzieć, że je boli.

A czy morze też żyje? Chyba nie. Ale w morzu są ryby. I znów dziwne: człowiek nie może oddychać i umiera w wodzie, a ryba dusi się i umiera w powietrzu.

Kiedy ludzie nie mieli aeroplanów — tylko ptaki mogły fruwać. To dziwne: muszka mogła fruwać, a człowiek nie. I wychodzi, że mucha mądrzejsza od człowieka. A i teraz nawet mucha chodzi po suficie, po ścianie, po szybie, a człowiek zaraz by spadł, potłukł się.

Czy kanarek śpiewa słowami, czy nie? Czy inne kanarki wiedzą, co on śpiewa?”

Tyle różnych pytań budzi się w głowie Maciusia, ale stara się sam na pytania odpowiedzieć. I wygląda tak, że Maciuś jest jakby uczniem i nauczycielem razem. I tak nawet lepiej. Kiedy dawniej pytał się zagranicznego nauczyciela albo kapitana, niby mu tłumaczyli, ale nigdy tak dobrze, jak teraz sam sobie tłumaczy. Teraz rozumie, bo tak dlatego się pyta i odpowiada, aż zupełnie rozumie.

W ogóle Maciuś jest jakby nie sam. Gdyby był sam, to by mu się nudziło. A on się wcale nie nudzi. Rozmawia z sobą, jakby dużo ludzi mówiło. Bo co znaczy myśleć?

„Pewnie każdy człowiek ma w głowie dużo małych człowieczków — i każdy coś innego wie i coś innego mówi. Czasem się nawet kłóć, czasem jeden drugiego poprawia albo radzi. Na przykład nagle coś Maciuś przypomina, o czym dawno zapomniał. Widocznie człowieczek w głowie spał, a tu się obudził i mówi. Dziwnie oni żyją — są bardzo mali. Ale mrówki też małe, a żyją i są bardzo mądre.

A może to nie człowieczki, tylko takie maszynki, sprężynki czy coś — jak fonograf? Nie, to byłoby gorzej; bo maszynki zrobione z żelaza, ludzie je robią w fabrykach. A to są człowieczki.

Podobno we krwi i ustach są jakieś małe żyjątka, które można widzieć przez szkła powiększające. I w wodzie są robaczki, których gołym okiem nie widać. Więc może ludzie nie zrobili jeszcze szkielec, przez które można tych najmniejszych człowieczków zobaczyć.

¹*fonograf* — przyrząd wynaleziony przez Edisona w r. 1878, służący do utrwalania i przekazywania dźwięków.

Może oni są w sercu także? Ludzie myślą, że krew w sercu stuka, a te człowieczki tam latają. Może mają nawet skrzydła? I jak jest w sercu więcej smutnych człowieczków, robi się smutno, jak więcej wesołych, robi się wesoło?

Wtedy można rozumieć, dlaczego raz człowiek robi coś mądrego, a drugi raz głupstwo. Może nawet jedne człowieczki mają skrzydła, i to są aniołki, drugie mają rogi — to są diabełki.”

Myśli Maciuś raz tak, to inaczej — i stara się, żeby się wszystko zgadzało. Na pewno nic nie wie, właśnie jak prawdziwy filozof, który też dużo myśli, a nic dobrze nie wie. Ale najważniejsze, żeby się wszystko zgadzało.

„Bo na przykład modlitwa. Co to jest? Jak Bóg może wiedzieć, o czym ludzie myślą? Więc jest jeden mały człowieczek w każdym człowieku — może właśnie nazywa się dusza albo sumienie. Temu człowieczkowi łatwo wiedzieć, bo on jest w człowieku — ma skrzydła — i jak człowiek śpi, wychodzi na przykład przez ucho, zupełnie jak pszczoła z ula — i leci, i wszystko Bogu opowiada. Pan Bóg siedzi na tronie, a małe pszczołki, te człowieczki, czekają na audiencję. A ludzie śpią, nic nie wiedzą. A jak człowiek się modli, to sam z własnej woli wysyła swojego człowieczka — to sumienie czy duszę — i nawet w dzień może pofrunąć do Boga”.

Maciuś raz myśli o człowieczkach, że to pszczoły, raz, że mrówki, raz, że muszki. Ale właściwie wszystko jedno. Jest coś, co z człowieka wyfruwa. Bo jak się jest śpiącym, znaczy, że człowieczek już chce frunąć, już musi znów się Boga zapytać, co dalej robić — i nie chce nic mówić zwyczajnym małym człowieczkom — zwyczajnym takim myślom — i nic już nie wiadomo, bo wtedy chce się spać.

Czasem czuł Maciuś, jak w jego głowie tak jakby była wojna albo jakieś bunty. Jedne człowieczki mówią tak, drugie inaczej. Na pewno w głowie jest i wojsko, i ministrowie. I ta najważniejsza myśl, jak pszczoła-królowa. I człowieczki mogą przefrunąć z jednej głowy do drugiej. I Maciuś ma w swojej głowie pszczołki z głowy ministrów, lorda Puxa, Bum-Druma, a nawet z głowy ojca, mamy, babki i pradziadka.

Czasem dużo człowieczków przenosi się z głowy jednego człowieka do drugiego. A czasem przenosi się cały rój razem z królową — a tamten umiera.

Maciuś siedzi nad morzem, rzuca w wodę kamyki i myśli. Te małe pszczoły w głowie mówią, Maciuś słucha. I jest tak, jakby miał lekcję. Tylko że nauczycieli ma tysiąc albo i milion — i nikt nie przeszkadza — mówią po kolei; a głos zabiera zawsze ten, który najpotrzebniejszy.

Wstaje Maciuś, idzie do lasu — tam ma mrowisko. Siada na pniu, patrzy na mrówki. Na mrowisko tak samo przyjemnie patrzeć jak na morze. Rzuci Maciuś okruszek listka albo kory, patrzy, jak mrówki ciągną — takie malusieńkie. Weźmie ostrożnie mrówkę, położy na ręce, patrzy, jak ona kręci się, chce uciec. A Maciuś coraz to jej palec podstawi. Mrówka myśli, że to wysoka góra. Myśli, że już przeszła dziesięć wiorst, a to jest wszystko jeszcze ręka Maciusia. Tak nóżkami przebiera, biegnie na tych nitczkach, a to są jej nogi.

To znów wyniesie Maciuś klatkę z kanarkiem, zawiesi na gałęzi, otworzy drzwiczki klatki i patrzy, i słucha. Ale kanarki bezludnej wyspy — wolne ptaki lasu, nie rozumieją kanarka klatki. I nie lubią się. Kiedy Maciuś wypuścił kanarka z niewoli, tamte zaczęły się klócić, a potem zaczęły dziobać. I kto wie, może by zadziobały kanarka z klatki, gdyby Maciuś go nie obronił. Maciuś nie widzi między nimi różnicy. I to ptak, i to ptaki. Kanarek klatki żółty i tamte żółte. I jednakowo ćwierkają. A musi przecież być różnica, kiedy wiedzą. I nie lubią się. Kanarek Maciusia boi się wolnych ptaków. Poskacze z grządkki na grządkę — zacząć. Tamte posłuchają i coś odpowiedzą. Kanarek klatki stanie w otwartych drzwiczkach, pokręci łebkiem, tak ćwierka, jakby się radził, co robić. Już się przechyla naprzód, żeby wyfrunąć. Ale nie: wraca. Albo wyfrunie na klatkę, posiedzi trochę — ale widać, że mu jakoś dziwnie, nieswojo. Taki zdenerwowany, że nie wiem. Poprawia skrzydełka, łebkiem śmiesznie kręci. A tamte coś z nim mówią. Nie wie Maciuś, czy się klóca, czy się pytają tylko, co on za jeden. Ale zaczyna Maciuś trochę się domyślać. Wychodzi, że mu zazdroszczą złotej klatki, ale się wyśmiewają, że fruwać zapomniał.

„Przyzwyczaj się — myśli Maciuś. — Z pewnością mój kanarek może je wiele nowego nauczyć”.

A tamte wiedzą wiele, czego nie wie kanarek Maciusia.

Dziwne wszystko, ale bardzo ciekawe i miłe.

Niby nic Maciūs nie robi, a niby jest bardzo zajęty i nie ma czasu. Bo kiedy wieczór nadchodzi, szkoda się Maciūsowi kłaść do łóżka.

Siądzie przed domkiem i patrzy na gwiazdy. Jakby je pierwszy raz dopiero zobaczył. Podobno gwiazdy są takie same wielkie kule jak nasza Ziemia. Czy tam też są ludzie, pszczoły, muszki, mrówki? A człowiek taki malusieńki w porównaniu z wielkim morzem i tylu gwiazdami, że zliczyć nie można.

Probował Maciūs liczyć gwiazdy, ale mu się nie udało.

Wyspa Maciūsia składa się z dwóch części. Zachodnia część wyspy górzysta, nie tak znów bardzo. Trzy mniejsze góry, polanka przy samym morzu, a z lewej strony czwarta góra wysoka, trochę nawet skalista. Koło tej góry zatoka, a wyspa wąska i porośła lasem. Tu wpada do morza rzeka ze wschodniej części wyspy, znacznie szerszej, poroślej bardzo gęstym lasem. Tam ukryły się resztki dawnych mieszkańców, uciekli przed zarzą. A na polance budynek opuszczonej szkoły zajmuje Maciūs i pułkownik Dormesko. Warta mieszka w dawnym domku kupca. Warta potrzebna dla ochrony i posługi króla Maciūsia, a Dormesko z uwagi na dawne zasługi ulaskawiono tym chętniej, że sprawa ucieczki dostojnego jeńca zakończyła się pomyślnie.

Niedaleko od wyspy na skale wznosi się latarnia morska, której tymczasem nie zapalano, bo się zepsuła.

Raz na tydzień przywozi okręt pocztę, gazety i listy, wszystko, co potrzebne. Listów było niewiele, gazet Maciūs nie czytał, po części z braku ochoty, po części z braku czasu.

Po co mu nowe wiadomości, kiedy ma tyle dawnych, które trzeba gruntownie obmyślić? Rozpoczyna Maciūs nowe, inne życie; ale żeby już było wszystko naprawdę dobrze, musi dokładnie przypomnieć sobie, co było przedtem, kiedy był królem-Reformatorem. W ulu jego głowy nie ma porządku. Te człowieczki w głowie mówią i robią, co im się podoba, kładą się spać, kiedy chcą, wyfruwają z głowy i wracają, kiedy chcą. Prowadzą wojny i nawet Maciūsowi nie mówią, o co się kłócą i biją. I wygląda tak, że im więcej się Maciūs męczy myślami, tym mniej wie i rozumie.

— Więc dobrze: nie chcę już być królem. Ale czym chcę być? Przecież nie mogę całe życie rzucać w morze kamyków i patrzeć na mrówki?

Więc dobrze: w więzieniu chodziłem po podwórku więziennym i liczyłem kroki. A teraz liczę gwiazdy i kamyki, które rzucam w morze. Ale wtedy byłem jeńcem wojennym i chciałem uciec. Co teraz?

I teraz Maciūs tak jakby chciał uciec, ale nie z bezludnej wyspy, tylko inaczej. Skąd, jak i dokąd ma uciekać?

Nie wie Maciūs, bo w jego głowie jest nieporządek: raz wesołe człowieczki zaczynają gospodarować po swojemu i Maciūs cieszy się, sam nie wie dlaczego. To znów smutne człowieczki zwiędają i Maciūs przypomina sobie, że jest sierotą, jakby teraz się dopiero dowiedział. Łzy napływają do oczu. To znów niespokojny jest, jakby się bał, jakby się miało stać coś bardzo złego.

I wszystko robi się samo, że Maciūs nie może powiedzieć:

— Ja tak chcę.

Lubi Maciūs się kąpać w morzu. Ale czasem stanie nad zatoką, już się zaczął rozbierać. Ale nie. Nie będzie się kąpał. Dlaczego: czy wiatr, czy woda zimna? Nie, słońce świeci; jest tak, jak wczoraj. Tylko Maciūs inny.

Lubi Maciūs wiosłować. Siądzie w łódkę, prędko, prędko robi wiosłami, a im bardziej ręce boją, tym lepiej, tym przyjemniej. Innym razem patrzy na łódkę i dziwi się, że wczoraj wiosłował. Gdyby płynąć i wiedzieć, że tam coś jest — warto się męczyć. Ale krędc się w kółko i wrócić na to samo miejsce — śmieszne i głupie.

Lubi Maciūs łowić ryby. A tu nagle żal mu się zrobiło złapanej rybki. Niechby siedziała w morzu. Dlaczego ją krzywdzi? A gdyby Maciūsia złapała ryba na haczyk i wciągnęła do morza?

Są chwile, kiedy Maciūs się nie na żarty gniewa.

Był królem, wydawał rozkazy całemu narodowi — i musieli się słuchać. A teraz nawet sobie nie może nic kazać, bo zbuntowane człowieczki czy pszczoły, czy mrówki nie chcą go się słuchać i robią, co im się podoba.

Czyżby trudniej było rozkazywać sobie niż innym?

Jak ma rozkazywać tym małym człowieczkom? Przecież nie napisze, nie przylepi sobie na czole? Jak ma rozkazywać, kiedy nawet nie wie na pewno, czy są, jak wyglądają, czy mają oczy i uszy?

Małe człowieczki w głowie Maciusia są różne: jedne stare już, jak mistrz ceremonii — i one dużo pamiętają — opowiadają, co było dawniej. Jedne są tak jakby służba — przypominają Maciusiowi, że trzeba się ubrać, umyć, zjeść śniadanie, kąpać się, iść do lasu, na łódkę. Z nimi nie ma kłopotu; tu jest porządek. Kiedy był królem, robił to, co mu te właśnie człowieczki mówiły.

Ale są inne, młode, swawolne, zuchwałe — latają, fruują, robią, co chcą, bardzo niespokojne, rady sobie z nimi nie można dać. I tu potrzebna jest silna wola. Tu potrzebna gimnastyka, musztra, one mogą być dobre albo złe. Taki na przykład Felek. Nie był zły; a co on narobił złego: brał łapówki, kradł, oszukiwał. Może i chłopcy z domu sierot nie byli źli, tylko ich człowieczki były rozdokazywane i niekarne.

Silna wola to jakby minister wojny. Szkoda, że Maciś nie wie dokładnie, co robi minister wojny. Ale on ma generałów, pułkowników i w wojsku jest porządek. Musi Maciś zbudować w swej głowie silne fortece, żeby jak coś sobie rozkaże, żeby go się wszystkie myśli słuchały.

Ale co rozkaże?

Nie wie Maciś, co rozkazać nieposłusznym myślom.

A nie wie, bo mało umie, mało wie.

I napisał Maciś do smutnego króla, żeby mu przysłał jak najwięcej książek.

Musi Maciś przeczytać wszystkie w świecie książki. Położył Maciś na stole zegarek i patrzy, czy prędko czyta, czy może co dzień jedną książkę przeczytać. Bo rok ma 365 dni. Więc przez rok może Maciś 365 książek przeczytać.

$365 \times 2 = 730$

Przez dwa lata siedemset trzydzieści.

$365 \times 3 = 1095$

Przez trzy lata tysiąc dziewięćdziesiąt pięć.

$365 \times 4 = 1460$

Przez cztery lata tysiąc czterysta sześćdziesiąt.

Mało. Ile jest wszystkich książek na świecie?

Westchnął Maciś; strasznie dużo ma do roboty.

Wszystkie smutne człowieczki opadły Maciusia, zaczynają mówić, że nie warto, że Maciś nic nie wie, nic nie umie, że stracił tyle czasu na głupstwa zamiast się uczyć, że Maciś zmarnował dziedzictwo ojca, że przez niego tyle ludzi zginęło, że Stefan Rozumny, Julian Cnotliwy, Paweł Zwyczajca, Anna Nabożna — wszyscy się wstydzą, bo wszystkim wstyd przyniósł.

Siedzi Maciś nad kartką, na której zrobił mnożenie — a taki zniechęcony, żałuje nawet, że prosił o przysłanie książek.

A tu nagle jak nie uderzy pięścią w stół, jak nie krzyknie:

— Precz!

Aż przestraszony kanarek zatrzepotał się w klatce.

Precz myśli, które go zniechęcają. Nie wie, jak wyglądają myśli w jego głowie, i wszystko mu jedno, czy podobne do pszczoł, czy do mrówek, czy mają skrzydła i oczy, i uszy. Muszą się słuchać, i basta! On, Maciś, jest panem swych myśli i rozkazuje, i musi mieć silną wolę. I musi być tak, jak chce.

Na złość będzie Maciś wesół, i już. Trzy dni się nie kąpał, nie wiosłował — łązi z kąta w kąt. Co to za porządek? Ani chwili zwłoki — marsz!

Wszystkie tchórzliwe człowieczki rozleciały się na cztery wiatry, a Maciś wesoly, radosny biegnie do morza, kąpie się, pływa dwa razy dłużej niż zwykle. Siada do łódki, płynie dwa razy dalej od brzegu, prawie do samej latami morskiej. Silny jest, wesół i zdrow, wie, czego chce i do czego dąży. Zacznie czytać: będzie wiedział.

Przepiękna rzecz — książka. Wszystko, co ludzie najmądrzejszego wymyślili — napisano w książkach. Czasem człowiek całe życie, sto lat myślał, potem napisał. A Maciuś w godzinę przeczyta — i już wie. Jakiś człowiek dawno umarł, a myśli jego są w książce. Książka tak jakby mówiła, jakby radziła. Po co się męczyć samemu, kiedy można mieć w książkach stu nauczycieli i doradców?

Nie jest Maciuś królem, bo nie chce, ale za rok może znów zechce. Musi się przygotować, musi umieć i wiedzieć. Pozna miasta swojego państwa, wszystkie prawa i paragrafy, pozna życie królów, uczonych. Przeczyta książki o gwiazdach i dzieciach — będzie wiedział nie tylko, co wiedzą dzieci, ale i dorośli.

Wspiął się Maciuś na sam szczyt najwyższej góry — serce mu mocno bije — patrzy na dal — na morze — oddycha głęboko — i jest szczęśliwy.

A po powrocie do domu zapisał do pamiętnika:

Hartować wolę znaczy — robić to, czego się nie chce robić. Król musi umieć sobie rozkazywać...

PAMIĘTNIK MACIUSIA

Maciuś pisze pamiętnik.

Na okładce narysował domek, palmę, z daleka górę i morze, dużo orłów i zachód słońca. Na dole napisał: *Mój pamiętnik na wyspie bezludnej Białego Szatana. O czym myślałem i co robiłem.*

Na pierwszej stronie znów był rysunek, ale się nie udało, bo Maciuś się śpieszył. A pod nim zapisanych było siedem książek, które Maciuś chciałby przeczytać:

1. Żeby była książka, w której są wszystkie nauki opisane, żeby można wybrać najpotrzebniejszą i najciekawszą naukę — i już od tego zacząć.

2. Żeby była książka o królach, ale nie historia, tylko jacy byli, jak mieli dziesięć lat albo dwanaście.

3. Żeby była taka sama książka o wielkich wynalazcach, podróżnikach i rozbójnikach — różnych zbójcach.

4. Żeby była książka ze wszystkimi bajkami czarnych i żółtych dzieci.

5. Żeby była książka, ale bardzo gruba, o pszczołach i mrówkach i o zwierzętach.

6. Żeby była książka, jacy są różni ludzie na świecie: jacy są porządni i nieporządni, ile jest leniuchów i pracowitych, wesołych i smutnych, złych i dobrych, takich, którzy dokuczają i nie dają spokoju, i czy można poprawić, żeby się nie bili, nie kłócili, nie dokuczali.

7. Książka, gdzie są zapisane mądre prawa, które mogą zostać, i głupie, które trzeba zmienić.

Chciałbym też przeczytać książkę, jak się tresuje dzikie zwierzęta: lwy, tygrysy itd.

Myślałem dziś, że woda może być wodą, ale jak gorąca — zamienia się w parę, jak jest zimna — robi się lód. Więc nie wiadomo, czym jest naprawdę: parą, wodą czy lodem.

Może tak samo jest z człowiekiem — że jest różny.

Byłem dziś w lesie. Chciałem okrążyć całą wyspę, ale za daleko. Wylądowałem z tamtej strony. Zdaje mi się, że widziałem czarnego człowieka. A może to była małpa. Coś jakby krzyknął i uciekł.

Zdaje mi się, że nawet bohater czasem się przestraszy. Czy jest na świecie człowiek, który się nigdy, ale to nigdy ani razu nie zląkł?

Dziś moje urodziny. Smutny król przysłał powinszowanie i lunetę. Patrzyłem przez lunetę na księżyc. Widziałem góry na księżycu. Ale lasów nie ma.

Nie wiem, czy skończyłem jedenaście, czy dwanaście lat. Próbowałem myśleć, jak się jest dorosłym. Wiem, że rosnę, ale nie mogę uwierzyć, że będę duży albo stary. Wszystko jest takie dziwne.

Niedziela

Była wielka burza na morzu. Bardzo chciałem wziąć łódkę i spróbować, czy będę mógł wiosłować. Ale Walenty powiedział, że nie pozwoli. Ja bym nie pojechał nawet, ale bardzo chciałem. Ale i na górze było pięknie. Błyskawice i taki huk, taki grzmot! Podobno mają naprawić latarnię, bo gdyby dziś płynął okręt, latarnia mu bardzo potrzebna.

Środa

Czy kocham rodziców, czy nie? Czy można kochać umarłych?

Dlaczego jestem sierotą? Tyle dzieci ma rodziców, a ja nie.

Gdyby ojciec żył, wszystko byłoby inaczej. A swojej mamy prawie nie pamiętam. Fotografia bardzo się wytarła, ale się nie martwię. Nawet lepiej. Bo jeżeli mama nie żyje, więc jej fotografia też powinna być trochę wytarta.

Z warty najlepiej podoba mi się Walenty. Sam nigdy nie mówi, a jeżeli zapytać, tak zrozumiale zawsze odpowiada. I doskonale tłumaczy sny. Śnił mi się aeroplan — powiedział, że to znaczy niebezpieczeństwo. Pośliznąłem się i mało co nie spadłem ze skały. Tak przyjemnie siedzieć na kamieniu nad samą przepaścią. Walenty umie robić sieci. Lepsza sieć, bo nie rani. Można znów puścić ryby do wody. Tak się cieszą. Myślały, że już nie ma ratunku.

Walenty uczy mnie grać na skrzypcach. Żeby choć trochę umieć! Usiądę na swoim kamieniu i będę grał.

— Dawniej ludzie mieli lucywo (tak jak u Bum-Druma). Potem mieli świece, potem lampy naftowe, potem gaz, a teraz mają elektryczność. Czy wymyślą jeszcze coś lepszego?

Jak to się robi wynalazki? Chyba z książek?

Znów długo myślałem, jak się myśli. Może nie ma w głowie człowieczków, ale czy nie wszystko jedno? Jeżeli się zgadza, no to dobrze. Ale wolalbym zobaczyć. Wczoraj uważałem, jak się zasypia, ale zasnąłem i nie wiem jak. Zapytałbym się Walentego, ale się wstydzę.

Dorośli się nie wstydzą, a dzieci się bardzo wstydzą. Może dlatego, że się z nich często śmieją.

Żeby nie na długo, ale na jeden dzień, na jeden dzień, na trzy godziny pojechać do stolicy i zobaczyć! Trochę pochodzić po pałacu, po parku, po mieście. Poszedłbym na cmentarz, na grób rodziców.

Tu jest cieplej i niebo takie ładne. A jak były chmury, przyjemniej było. Bo tamto jest moje niebo. I palmy są ładne, ale moje drzewa jakby były znajome, a palmy obce.

Największy mój błąd, że byłem dumny.

Czy król może kochać cały naród, czy tylko chce, żeby go chwalili; i dlatego jest dobry?

Czy można kochać, jeżeli się nie zna? Chciałem, żeby dzieciom było dobrze, ale chciałem, żeby wiedziały, że to wszystko zrobił król Maciuś Reformator.

Martwiłem się, że jestem mały, chciałem pokazać, że mały też potrafi.

Wiedziałem, że dorośli są źli na mnie, ale muszą się słuchać.

Zacząłem pisać taki kajecik:

„Błędy mego królowania”.

I drugi:

„Różne plany gdybym znów był królem”.

Dormesko powiedział:

— Człowiek nie powinien myśleć, tylko słuchać rozkazu i ściśle każdy rozkaz wypełniać. Jeżeli wydają rozkaz, muszą być pewien, że będzie ściśle wykonany.

— Ale król musi wszystko rozumieć i myśleć, jakie wydawać rozkazy — odpowiedziałem.

— Król — to co innego — zgodził się Dormesko.

Czy dorośli mogą być też nie bardzo mądrzy?

Czekam i czekam, a poczta nie przychodzi. Coś się stało widocznie.

Nie pisałem cały tydzień.

Przyjechał smutny król. Dziwił się, że gazet nie czytam. Powiedziałem, że dawniej czytałem i co mi z tego przyszło? Powiedział, że mam słuszność, że lepiej książki czytać.

Bardzo jest dobry dla mnie, ale nie rozumiem, jak mi coś mówi — dlatego nie jest mi z nim dobrze.

Powiedział tak:

— Dawniej, mój Maciusiu, coś pomyślał, zaraz zrobiłeś. Teraz postanowiłeś tylko myśleć i nic więcej. A człowiek powinien mieć inne myśli dla siebie, a inne dla ludzi.

Tak jakoś wychodzi, że człowiek musi kłamać. Wiem, że tak nie jest, ale nie rozumiem. Pewnie jestem za mały.

Znów dawno nie pisałem.

Czytam, już trochę gram na skrzypcach. Chciałbym grać jak on albo przynajmniej tak, jak Walenty.

Z książkami jest inaczej, niż mi się zdawało. Jeżeli się czyta, to się potem jeszcze więcej myśli. W książkach jest dużo, ale nie wszystko. I dopiero trzeba samemu ułożyć sobie w głowie.

Już niedługo będę mógł dopłynąć do latarni morskiej. Widziałem przez lunetę dwoje dzieci. Jedno zupełnie malutkie: pewnie jeszcze mówić nie umie. A drugie trochę starsze, ale też małe.

Dawniej patrzyłem przez kratę na Felka i jego zabawy. Żelazna krata parku królewskiego dzieliła mnie od dzieci — i byłem sam. Teraz morze dzieli mnie od dzieci — i znów jestem sam.

Śniło mi się, że na ścianie wisi jakiś obrazek. I dużo ludzi się przygląda. Obrazek nieładny; wiem jaki, ale nie chcę pisać. I tam zaczęło coś dzwonić; ale wszyscy zaczęli uciekać. I ja uciekam. Ale patrzę, że oni przede mną uciekają. Boją się mnie. Zatrzymałem się i zostałem sam.

Walenty nie wie, co to znaczy: nie umiał tego snu wytłumaczyć.

Popłynął wreszcie Maciuś do latarni morskiej. Wtedy uczył się pisać, żeby mógł list do Felka napisać, teraz co dzień dalej i dalej puszczał się na morze, aż mu się wreszcie udało.

Przywiązał łódkę i prosto do latarni. Ale na drodze spotkał dzieci.

— Tata! — woła dziewczynka, biegnie do Maciusia; rączki wyciągnęła.

— Tata! Chodź! Ala grzeczna!

Zawadziła o kamień czy korzeń — bęc na ziemię — i w krzyk.

Chłopiec, pewnie brat, pomaga wstać, poprawia sukienkę. A ona znów się wyrывa — jeszcze ma łzy na buzi, a znów się śmieje, drepce do Maciusia i woła: „Tata!”

Braciszek się zatrzymał, patrzy, co z tego będzie. A Maciuś zatrzymał się i nie wie, co robić. Tak bardzo pragnął dopłynąć do dzieci, a teraz stoi i nie wie.

— Chodź do dziadzi! — woła mała. — Chodź! Ala grzeczna. Dziadzio tam. Chodź, tata.

I szarpie, i ciągnie Maciusia.

Strasznie nieprzyjemnie, jak trzeba coś powiedzieć, a nie wiadomo co.

— Alo, chodź. Tata, chodź. Alo, Ala, tata — do dziadzi.

I ciągnie, popycha oboje, a sama w środku, i gada ciągle to samo — znów się mała nie przewróciła.

— Dziadziu — dziadziu — patrz — tata!

Latarnik przymrużył oczy, uśmiecha się, brodę gładzi. Taki miły — podobny do doktora.

— Witam królewskiego gościa — mówi i czapkę zdjął z głowy. — Zapewne król Maciuś chciał się dowiedzieć, dlaczego latarnia się nie pali? Już w porządku wszystko: dziś zapalimy. Już byłbym dawno popłynął przeprosić króla Maciusia za ciemność, ale ot... z tym niedaleko popłyniesz.

Maciuś teraz dopiero spostrzegł, że latarnik ma jedną rękę.

— Drugą rękę zabrało mi morze. Ale morze jest hojne: za rękę dało mi oto tę parkę.

I Maciuś się dowiedział, że stary latarnik był dawniej marynarzem, że podczas rozbicia okrętu stracił rękę. Dali mu latarnię. Przed rokiem, po burzy, fala wyrzuciła tych dwoje dzieci: ledwo je doratował. A co najdziwniejsze: że chłopiec nie wypuścił z rąk maleństwa, chociaż zemdlony.

— Chłopca nazwałem Alo, a dziewczynkę Ala. Co one za jedne, nie wiem. A kiedy na wyspie mieszkali Murzyni, Alo znaczyło: syn morza, a Ala — córka morza. Cudzoziemskie jakieś dzieciaki. Musi z Północy. Bo południowe mowy znam wszystkie trochę. A z chłopakiem ani rusz nie mogłem się dogadać.

Ala niecierpliwie kręci się i patrzy to na dziadka, to na Maciusia.

— Tata! — krzyknęła wreszcie i zaczęła się śmiać.

— A widzisz, małe gapiątko — mówi stary. — Nie mówiłem, że tata wróci? No i masz swego tatę.

— To nie tata wcale — powiedział, chmurnie marszcząc brwi, Alo.

— Dla ciebie może nie tata, a dla Ali tata.

— I dla Ali nie tata, tylko Maciuś.

Maciusiowi przykro się zrobiło.

Znów nie wiedział, co powiedzieć. A stary latarnik patrzy na dzieci, uśmiecha się zadowolony.

— No, po podróży trzeba coś zjeść — powiada.

I zaprosił Maciusia do swego dziwnego w latarni mieszkania.

Załował Maciuś, że nic nie przywiózł dla dzieci. I ta pierwsza wizyta niedługo trwała.

Ala jeszcze dwa razy płakała: raz, że nie pozwolili pić herbaty, bo była gorąca, a nie chciała czekać; a drugi raz, kiedy Maciuś odjeżdżał.

— Nie jedź, tata. Ala chce taty.

I znów nie wiedział Maciuś, co robić, kiedy go Ala trzymała za spodnie i nie puszczała.

Wieczór nadchodzi, a Dormesko nie lubi, jeśli Maciuś późno wraca z wycieczek. Raz nawet, kiedy się zbyt długo zasiedział na skale, przez trzy dni towarzyszył mu jeden z wartowników. Nie była to kara, tylko Dormesko chciał być spokojny, że Maciuś nie zrobi sobie nic złego.

I tak szczęśliwie, że Dormesko nie wiedział o różnych przygodach, z których Maciuś cało wychodził, ale mogło być gorzej.

Śliczną miał Maciuś powrotną drogę w świetle latarni. Płynął jak w kwiatach złota.

Dobrze Maciuś zrobił, że nie obiecał wizyty na dzień następny, bo tak go ręce bolały jak na samym początku, kiedy dopiero zaczął wiosłować.

Dopiero na piąty dzień ruszył Maciuś w drogę, ale przez ten czas obmyślił dokładnie wizytę. Przede wszystkim wziął cegielki i łamigłówkę, loteryjkę i paczkę pierników, i cukierki, i wiatraczek, i piłkę. Potem ułożył w głowie, co powie na powitanie, co powie, jeżeli znów go Ala nie będzie chciała puścić.

Wiosłował powoli, z odpoczynkami, żeby się nie zmęczyć tak bardzo. Uprzedził pułkownika Dormesko, że wróci dopiero wieczorem, i zabrał prowizję na cały dzień, żeby nie być głodnym.

Dzieci powitały go radośnie. Nudziło się im bardzo na samotnej skale. I stary marynarz rad był wizycie Maciusia. Znów opowiadał nowemu słuchaczowi o swoich podróżach, a Maciuś opowiadał o wojnach.

Alo siedzi na kamieniu i słucha, Ala stoi przy Maciusiu, oparła ręce o kolana i patrzy w oczy, żeby lepiej rozumieć. Widać, że nie rozumie, bo zadaje bardzo dziecinne pytania.

— Czy kule to także piłeczki? — pyta się Ala.

Ala myśli, że wojna — to zabawa w piłkę. Tłumaczy Maciuś, że piłki są z żelaza i zabijają ludzi.

— A Maciusia-tatusia zabili? — pyta się znów Ala.

Teraz Ala nazywa go już Maciusiem, ale i tatusiem także. I przyjemnie Maciusiowi, choć nie wie dlaczego.

— Ala chce na wojnę — napiera się nagle i trzeba tłumaczyć, żeby nie płakała.

— Wojna jest daleko — mówi latarnik.

— Ala chce daleko.

— Ala jest za mała — mówi latarnik.

— Ala duża, Ala chce na wojnę.

— Wojna śpi — mówi latarnik.

— Wojna śpi — powtarza szeptem Ala, kładzie palec na ustach, robi przestraszoną minę i już się nie napiera więcej. — Ciiicho, wojna śpi, piłeczka śpi, pajacyk śpi.

Maciuś przygląda się zdziwiony i stara się przypomnieć, kiedy sam był mały i tak mało wiedział.

W powrotnej drodze myślał Maciuś o Ali. Malutka jest, paluszki ma malutkie i tak strasznie mało rozumie.

Nieprzyjemnie mało rozumieć. Biedna Ala. Tak patrzy, kiedy Maciuś opowiada, jakby chciała oczami zrozumieć.

I zaraz zaczyna płakać. Małe dzieci pewnie dlatego płaczą, że nie mogą zrozumieć — jest im nieprzyjemnie. Maciusiowi żal Ali. Trzeba wymyślić jakąś bajkę dla Ali. Trochę będzie opowiadał dla latarnika i Alo, a trochę dla Ali.

Układa Maciuś bajeczkę dla Ali.

— Wojna śpi — śpi. Wojna ma oczki zamknięte i śpi. A potem się obudziła...

Nie, inną bajkę ułoży.

Skąd dziadziowi przyszło do głowy, żeby powiedzieć, że wojna śpi? I zaraz uspokoił Alę. Przecież to kłamstwo, kłamać nie wolno i nieładnie. A może i nie kłamstwo? Bo naprawdę wojna jakby się budziła ze snu, kiedy nagle wojska idą, armaty strzelać zaczynają, a przedtem było cicho.

Założył Maciuś wiosła i odpoczywa. Światło latarni oświetla morze. Na niebie gwiazdy, wokoło cisza.

„Jakie prawa można dać najmniejszym dzieciom?” — myśli Maciuś, ale mu trudno.

Kiedy ukrywał się w domu sierot, były tam małe dzieci. Starsze były niedobre dla nich. Biły, dokuczały, wyśmiewały. I Maciuś nie lubił ich wtedy: bo ciągle płakały. Ale

może dlatego płakały tak często, że nie mają żadnych praw i nic im nie wolno? Jeden poseł powiedział wtedy: żeby nie było małych dzieci. Ale muszą być — bo jak urosną, będą większe.

„Chcę być królem dzieci — myśli Maciuś — ale nic nie wiem o małych dzieciach. Zapomniałem, kiedy byłem mały. Pewnie i dorośli wszystko zapomnieli, dlatego nie chcą dać dzieciom praw”.

Znów bierze Maciuś za wiosła — i dziwi się bardzo, że wyspa już blisko, a wcale go ręce nie boją.

— Jutro będę czytał cały dzień, a pojutrze znów do Ali i Ala. Trzeba im zawieźć obrazki.

Rozdział ten powinien się nazywać:

„Najdziwniejszy rozdział z książki o Maciusiu”. Bardzo to było dziwne.

Więc kiedy Maciuś postanowił zbadać dokładnie wyspę, wziął rewolwer i poszedł do lasu. Przepłynął zatokę, wylądował w miejscu, gdzie wyspa się za rzeką rozszerzała, i idzie. Bo czy nie wstyd mieszkać na małej wysepce i nie znać?

Akurat wczoraj czytał Maciuś straszną, pełną niebezpieczeństw podróż do bieguna i pomyślał:

Oto odważni podróżnicy urządzają wyprawy do krajów wiecznego lodu i nocy, całe lata znoszą trudy, żeby poznać ziemię. Więc wstydem jest nie znać swojego miasta, swojego kraju albo wyspy, na której się mieszka. Jeżeli nawet są w lesie Murzyni, na pewno nie ludożercy, a zresztą będą uciekali. Od zwierząt Maciuś się obroni. Lepiej walczyć w lesie niż w kanale z wilkiem.

Idzie Maciuś — idzie — idzie — las coraz bardziej gęsty. W górze jakby dach zielony aż ciemno. W dole pełno wijących się roślin, krzaków, a tak wszystko poplątane, że co krok — jakaś przeszkoda. Nie spieszy się Maciuś. W torbie, przerzuconej przez plecy, ma zapasy na cały dzień. Dormesko przyzwyczał się do odległych wypraw Maciusia.

Idzie Maciuś — idzie — a im droga trudniejsza, tym większa w nim wzbiera zaciętość. Zrazu to tu, to tam błysnie promień słońca, ale potem już nic: cały utonął w zieleni. Nie słychać już szumu morza. Cisza: nawet ptaki nie śpiewają.

Idzie Maciuś — idzie — ale się zmęczył. Usiadł i je śniadanie. Ukrajał kawał chleba i sera — posilił się. I teraz dopiero zadał sobie pytanie: „A co będzie, jeśli zabłądzę?”

Trzeba było wcześniej pamiętać, ale Maciuś jest młody i niedoświadczony.

Nie boi się, ale już prędzej idzie. Wyspa mała; jeśli Maciuś będzie szedł ciągle w jednym kierunku, prędzej czy później dojdzie do morza. Zresztą wróci tą samą drogą — pozna po śladach, po zgniecionych liściach i nadłamanych gałązkach.

Niestety — są ślady drogi, ale biegną w różnych kierunkach. Mogły zwierzęta przebiegać. Na śniegu, na piasku można odróżnić ślad ludzi i zwierząt, ale nie w gęstym lesie.

Idzie Maciuś, nasłuchuje, rozgląda się i żałuje, że nie wziął kompasu, który wskazuje cztery strony świata.

Wypoczął chwilę — znów idzie. Posilił się trochę, że był głodny trochę, że mu torba na plecach ciążyła. I szedł aż do wieczora.

Ano trudno: przenocuje w lesie. Trzeba wybrać drzewo, obejrzeć uważnie, czy wąż tam nie zechce nocować. Trochę niebezpieczny jest nocleg w lesie, ale nie bardziej niż wiele innych przygód, których Maciuś doznał.

I już spokojnym, zmęczonym krokiem posuwa się Maciuś naprzód. Gdy nagle usłyszał coś jakby płacz czy śpiew, jakby ktoś wzywał pomocy.

Naprawdę czy mu się zdaje?

Ostrożnie idzie w kierunku głosu. Ale zobaczył polankę, a w pośrodku wzgórze, a na wzgórzu — wieżę.

Wieża była z kamieni, u dołu szeroka, wyżej coraz węższa.

„Co to być może?”

Jakiś głos wychodzi z wieży — jakby śpiew, ale podobny do jęku.

„Zobaczę” — myśli Maciuś.

Obchodzi wieżę, wejścia nie ma. Trzeba dać jakiś znak, sygnał. Wystrzelił Maciuś w powietrze. Odpowiedziało mu echo, potem cisza.

Stoi Maciuś i nie wie, co robić. A tu się nagle odsuwa wielki kamień — widać otwór. Zbliżył się Maciuś, zajrzał do środka zdziwiony.

W środku wieży ujrzał siedem drabin, jedna nad drugą, oparte o wystające kamienie. Każda drabina ma siedem szczebli. Ale szczeble dolnej drabiny są blisko, tak że wejść łatwo, a im wyżej, tym szczeble dalej jeden od drugiego. Gdyby kto wchodził w górę, byłoby coraz trudniej. I jeszcze nie koniec. Dolne szczeble pierwszej drabiny grube i mocne, a im wyżej, tym cieńsze. Gdyby na nie stąpić, chyba się złamały.

Maciuś widzi to wszystko. A nie wie, dlaczego w wieży jest jasno, chociaż nie ma ani jednego okna.

Patrzy Maciuś, a wysoko ktoś siedzi — jakiś człowiek — ma płaszcz z szarego płótna i sznurem przewiązany.

Już schodzi. Schodzi szybko — ale jak — Maciuś nie wie; bo płaszcz zasłania szczeble. Zesuwa się zręcznie, jakby sfruwał, nie widać, żeby stawał na szczeblach: zresztą musiałyby się złamać.

Nie wie Maciuś: wszystko tak szybko, tak nagle się stało — w mgnieniu oka. I oto stoi przed Maciusiem podróżny starzec z bardzo długą brodą. Patrzy na Maciusia, ale strasznie smutnym wzrokiem, jakim nawet smutny król nigdy na niego nie spojrział.

I Maciusiowi nie wiedzieć skąd przyszła do głowy myśl:

„To jest reformator, któremu się nie udało”.

Starzec podniósł rękę do góry, od razu zrobiło się zupełnie ciemno. I usłyszał Maciuś jakby tysiąc naraz głosów, krzyków, płaczów, śmiechów, taki szum. I w ciemności zobaczył Maciuś tarczę zegara z cyframi godzin, które się same świeciły — i powoli posuwały się dwie ogniste wskazówki zegara: duża i mała.

Patrzy na zegar, nie może oczu oderwać, a w uszach hałas — i nie wie Maciuś, jak długo to trwało.

Nagle zapaliła się przy ziemi mała, zielona lampka i zobaczył Maciuś żelazną klapę. Podróżny nachylił się, podniósł ją lekko. A tam prowadzi znów jakaś drabina, ale głęboko, że końca nie widać. Podróżny schodzi pod ziemię, a Maciuś za nim. Nie jest ciekawy, nie boi się nic — idzie za podróżnym, tak jakby musiał.

Długo idą, coraz głębiej, głębiej — aż do wąskiego korytarza. Potem korytarzem tak niskim, że podróżny aż się pochylił. I wyszli na sam brzeg morza, akurat w miejscu gdzie była przywiązana łódka koło rzeki.

Kiedy Maciuś wyszedł, podróżny nic nie mówiąc wskazał ręką łódkę, sam znikł w gąszczu leśnym. Zacerpnął Maciuś ręką wodę z rzeki, napił się, bo usta miał spieczone. Usiadł, bo był zmęczony, i myśli: co to wszystko znaczy...

Kiedy Maciuś później wiele razy rozmyślał nad dziwną przygodą, zadawał sobie pytanie:

— A może mi się śniło?

Nie.

Nie, nie. Nie mógł zasnąć nad morzem, bo wyszedłszy z lasu, zaraz ruszył w drogę. Zresztą pamiętał drogę, którą szedł, wiele razy później szukał samotnej wieży podróżnego. Że cały dzień błądził w lesie, było pewne. W torbie brakło akurat tyle zapasów, ile pamiętał, kiedy, jak i gdzie zjadł. Nie mógł zasnąć w lesie, bo szukał przecież odpowiedniego drzewa na nocleg. No — a jeśli zasnął, jakimże sposobem znalazł się znów nad morzem koło łódki? Jeszcze miał Maciuś dwa dowody, że to była prawda: trzewiki były zakurzone, bo w korytarzu, przez który szedł, był kurz i piasek jak we wszystkich starych piwnicach. I rękaw był przedarty akurat w tym miejscu, gdzie Maciuś zahaczył o gwóźdź, kiedy schodził po drabinie pod ziemię.

Kiedy znacznie później czytał Maciuś grubą książkę, o której mówił na posiedzeniu nauczyciel geografii, książkę o bezludnej wyspie Białego Szatana, na stronicy 476 znalazł Maciuś taką wzmiankę:

Kiedy zaraza na wyspie wytępiła prawie wszystkich Murzynów, a pozostała garstka ukryła się w lesie za rzeką, nie było już tu co robić. Kupiec

przeniósł się z rodziną do kolonii w południowej Afryce, nauczyciel wyjechał do Indii — podobno pozostał jeden tylko biały, starszek, misjonarz Piotr. Nie chciał opuścić bezludnej wyspy, ale co się z nim później stało, nie wiadomo. Pewnie umarł, bo był bardzo stary.

Maciuś nie mówił nikomu o tej przygodzie, bo nieprzyjemnie mówić, jeżeli mogą nie wierzyć. Ale potem szukał kilka razy polanki, wieży samotnej i pustelnika. Szukał bardzo uważnie w lesie koło rzeki wejścia do korytarza, którym go z wieży samotnej wyprowadził starzec. Ale nie znalazł nic. Cała przygoda pozostała tajemnicą. A pewien był Maciuś, że to nie sen: miał przecież dowody.

Niedobrze, jeżeli człowiek budzi się rano i nie wie, co będzie przez cały dzień robił. Na jeden albo na dwa dni znajdzie się zajęcie, ale na dłużej — trzeba koniecznie jakiś plan ułożyć; bo inaczej nic się nie chce robić — i zaczyna się nudzić. Toteż Maciuś ułożył plan dnia i plan tygodnia. Co drugi dzień płynąć będzie do dzieci w latarni morskiej, ale tylko na pół dnia, co dzień będzie czytał cztery godziny. Pamiętnik też będzie pisał codziennie. Godzinę grać będzie na skrzypcach. Prócz pamiętnika będzie pisał wspomnienia i błędy królowania. Godzinę będzie Maciuś rysował, bo mu to bardzo potrzebne. Nauczy się fotografować. Pułkownik Dormesko ma aparat fotograficzny i duży album z nalepionymi fotografiami. Wszędzie, gdzie był, robił zdjęcia. Wszystkich znajomych i wszystkie wojny ma razem zebrane i dlatego dobrze pamięta. A Maciuś strasznie dużo różnych rzeczy zapomniał.

I wizyty jego u dzieci z latarni zmienią się. Będzie je Maciuś uczył. Bo teraz jest tak, jakby tylko odwiedzał, żeby im coś dać. Ledwo wysiada z łódki, Ala pakuje ręce do kieszeni, szuka cukierków. Alo, starszy, wstydzi się, więc tylko czeka i nic nie mówi, Ala zabiera, co dla niej i nie dla niej, i ciągle się pyta:

— Co jeszcze? Daj.

I Maciusiowi nieprzyjemnie, bo mu się zdaje, że za mało przywiózł podarków; a przecież na wyspie nie tak znów wiele ma Maciuś. Inna rzecz, kiedy mieszkał w stolicy i minister handlu kupował, o co dzieci prosiły.

I tak wygląda, że nie na Maciusia czekają, a na prezenty. I gdyby Maciuś nie przywiózł, toby niepotrzebnie przyjechał.

Więc Maciuś postanowił, że będzie dzieci uczył: Alo nauczy pisać i czytać, a co robić z Alą, nie wiedział. Przywiózł wszystkie obrazki, a ona prędko i nieuważnie obrazki ogląda i ciągle chce coś innego.

Przypomniał sobie Maciuś, że kiedy był mały, królowa opowiadała bajeczki, układała domki z cegieł, z piasku albo gliny, robiła ogródki z kwiatów — i o tym właśnie opowiadała bajki. I sama różne rzeczy rysowała. Przypomniał sobie Maciuś, że nawet lepiej mu się podobały i rozumiał lepiej obrazki królowej niż w książkach. Śpiewała mu królowa, bawiła się w chowanki. Było coś jeszcze i jeszcze, tylko Maciuś zapomniał, bo to było dawno.

I przyszło Maciusiowi na myśl, że trzeba umieć bardzo wiele, żeby małe dziecko uczyć, że łatwiej mu będzie z Alo.

No i tak właśnie się stało. Alo prędko nauczył się czytać. Już czyta: pies, piasek, Piotr, pióro, i przepisuje, nie bardzo i tylko ołówkiem, ale umiał przeczytać, co napisał. Rachunki szły jeszcze lepiej. Alo zna liczby do stu i Maciuś mógł teraz grać w domino i w loteryjkę. Ala bardzo wtedy przeszkadzała. Kładzie byle co i złości się, że nie pozwalają.

— Patrz, Ala — mówi Maciuś — tu jest jedna kropka, a tu pięć. Więc musisz takie samo domino przyłożyć.

Ala ma i jedynekę, i piątkę, a łapie dwie dwójki i kładzie, i jeszcze się kłóci, że dobrze.

— Patrz — tłumaczy Maciuś — tu są dwie kropki. No policz. Jedna kropka i druga — dwie.

— Jedna, dwie — powtarza Ala.

Niby się zgadza z Maciusiem, nagle rozrzuci wszystko i jeszcze się złości.

— Be tata, be Alo, Ala nie kocha. Ala do dziadzi.

I leci na skargę, że ją niewinnie skrzywdzili.

Jeszcze gorzej jest z loteryjką. Ala chce wygrać i nic nie robi, tylko zakrywa. Ala wywołuje czternaście, a ją to nic nie obchodzi. Dobrze jeszcze, jeżeli jedno przykryje. Bo jak się znudzi, przykrywa wszystko i mówi, że wygrała.

Nie lepiej idą rysunki. Ala zamaże ołówkiem kartkę i mówi, że już, żeby dać czysty papier. A kółek i kreseczek za nic nie chce robić.

Muszą Maciuś i Ala ukrywać się przed nią, ale nie bardzo jest gdzie. A czasem naprawdę brakło cierpliwości.

Biegać Ala prędko nie umie, więc się przewraca i płacze. Najlepiej lubi słuchać, kiedy coś opowiadać. Ala wtedy patrzy, nawet buzię otworzy: pewnie myśli, że lepiej rozumie.

Maciuś tak z nią rozmawia jak z kanarkiem.

Tak, bo Maciuś często rozmawia z kanarkiem. Posadzi kanarka na palcu i opowiada, pyta się, czy pamięta królowę i króla, ich pałac w stolicy, Stasia, Helcię, Klu-Klu. A kanarek czasem tak dziwnie lebek przekręci, jakby kiwał głową, że pamięta albo nie. Czasem coś ćwierknie w odpowiedzi, a czasem zaśpiewa. I kto tam wie, co rozumie i co odpowiada.

Tak samo rozmawia Maciuś z Alą.

Tam mówi:

— O, teraz kanarkowi zmieni się wodę, nasypie piasku świeżego, będzie znów czysto. Teraz da się kanarkowi świeżą sałatkę.

A tu mówi:

— Teraz Ala wytrze nosek, żeby był suchy. Teraz Ala da ołówek, bo trzeba narysować latarnię — będzie ładny obrazek. Ala zanieś dziedziowi obrazek. Bo Ala grzeczna, dziadzio się ucieszy. Dziadzio powie: „O, Ala grzeczna, Ala przyniosła dziadziowi obrazek”.

I tak w kółko, ciągle to samo. Ala wcale się nie nudzi, słucha uważnie i nie przeszkadza.

„Takie małe dzieci powinny też mieć prawa” — myśli Maciuś. Ale ani rusz nie może wymyślić, co z nimi robić, żeby było wesoło, ale żeby nie przeszkadzały bawić się i uczyć starszym.

Maciuś już teraz rozumie, dlaczego król Pafnucy, w ogóle dorośli — są źli na dzieci. Pewnie dzieci tak samo przeszkadzają dorosłym, jak starszym dzieciom przeszkadzają malutkie. I pewnie dorośli tak samo myślą, że dzieci nic nie wiedzą.

Może i Ala tak jak kanarek coś rozumie, coś wie, ale to jest zupełnie inne. I Maciuś, który zapomniał, co myślał, kiedy był mały, już teraz nic nie pamięta.

Bo Ala nie zawsze biegała, krzyczała i wołała: „Tata, daj Ali!”. Czasem była zupełnie cicha. Popatrzy, popatrzy gdzieś daleko, a potem westchnie. Albo weźmie Maciusia za rękę i długo, uważnie patrzy mu w oczy — znów westchnie. Albo drgnie nagle, jakby się przestraszyła, albo zacznie oddawać wszystko Maciusiowi i mówi: „Masz — masz — masz”. A kiedy wszystko rozda, otwiera rączki i woła radośnie: „Nie ma, nie ma nic!” I cieszy się, klaszcze, śmieje i podskakuje.

Małe dzieci — napisał Maciuś w pamiętniku — podobne są do dzikich ludzi.

I zadowolony jest Maciuś, że może się przyjrzeć dokładnie małemu dziecku. Bo kiedy w domu sierot tylko się zbliżył do malców, zaraz zaczynali starsi wyśmiewać, że się z małymi bawi. Znaczyło niby, że głupi. I zaczynali żartować, wymyślali różne głupstwa, żeby naumyślnie przeszkodzić i zepsuć zabawę.

Teraz może Maciuś robić, co chce, bo jest na bezludnej wyspie.

Jedno tylko niepokoi Maciusia. Przecież nie wszystkie małe dzieci są takie jak Ala. Przypomina sobie Maciuś, jak podczas pierwszej wojny odpoczywał ich oddział we wsi niedaleko boju. Żołnierze pozajmowali chałupy po czterech, po pięciu. Maciuś mieszkał wtedy przez dwa tygodnie w chacie, gdzie był chłopczyk taki sam jak Ala, mały, i podobnie mówił, ale był cichutki, siedział całe dni koło pieca i patrzył, i bardzo rzadko coś powiedział. Nie płakał, nie kręcił się, nie przeszkadzał, tylko był bardzo smutny. Nawet pomyślał Maciuś, że taki być musiał smutny król, kiedy był mały.

I w domu sierot różne były dzieci. Jedne o byle co płakały, ale cicho, inne wrzeszczały, a wcale łez nie było, inne o byle co biegły na skargę, jeszcze inne zaczynały się bić. Raz

patrzył Maciuś, jak dwoje małych się biło, i nawet pomyślał, że to jest także wojna. Czasem bije się dwoje małych dzieci, a czasem biją się całe narody. I tak samo jak wtedy pewnie śmieją się z nich ci, którzy sami się nie biją, tylko się przyglądają.

Jakie to wszystko dziwne, że tacy rozmaici są ludzie, tacy zupełnie do siebie niepodobni. Tyle różnych rzeczy i tylu ludzi różnych trzeba poznać. I pewnie nawet dorośli królowie wiele nie wiedzą, i pewnie dlatego tak trudno być reformatorem.

Maciuś na przykład zupełnie nie zna starszych chłopców. Oni pierwsi zbuntowali się przeciw reformom Maciusia.

Na dzieci w wieku Maciusia mówią starsi „szczeniaki”. I udają dorosłych. Mówią sekrety między sobą, nie pozwalają podsłuchiwać. Za byle co biją, strasznie zarozumiali i dumni, do młodszych przychodzą tylko wtedy, jeżeli coś chcą pożyczyć albo dostać. A czasem biorą bez pytania, a jak się upomnieć, każą się odczepić. Nieprzyjemni są i ordynarni. Nawet jak zażartują, to albo się wyśmiewają, albo coś na złość zrobią, albo uderzą tak, że zaboli. Raz jeden starszy pożyczył od Maciusia pióro, nawet grzecznie poprosił. Ale kiedy Maciuś przed lekcją upomniał się, że mu potrzebne, kazał mu się wynieść i zamierzył się, żeby uderzyć. A potem nauczyciel krzychał, że Maciuś bez pióra przyszedł na lekcję.

DO RADY PIĘCIU

Króla Maciusia Pierwszego Reformatora bezludna wyspa Białego Szatana

PODANIE nr 43

Upraszam Radę Pięciu, aby zmieniła straż wyspy. Wartownicy mają żony i dzieci w swoich krajach i im jest nieprzyjemnie. Mówią, że siedzą tu już pięć miesięcy, więc dosyć. Nie są więźniami, a muszą mieszkać na bezludnej wyspie — i to jest niesprawiedliwe. Bardzo mi przykro, że ludzie przeze mnie cierpią.

Więc proszę uprzejmie o łaskawą zmianę warty na nową. I proszę, aby nowa warta nie byli już dorośli, a starsi chłopcy. Jest tu łódka, można się kąpać, urządzać wycieczki, więc im się nie będzie nudziło. A później będą także mogli wyjechać.

Z szacunkiem

Król Maciuś Reformator

Podanie Króla Maciusia czytałem i nie znajduję przeszkód w wykonaniu jego życzenia.

Pułkownik Dormesko

Z początku gniewało Maciusia, że o byle głupstwo musiał pisać podanie do Rady Pięciu Królów, którzy byli jak gdyby opiekunami Maciusia-wygnańca. Ale się przyzwyczaił i nawet tak lepiej. Zapisuje w książeczce, co potrzebuje. Potem pisze podanie, oddaje pułkownikowi; pułkownik przykłada pieczęć, potwierdza, że się zgadza — pierwszym zaraz okrętem wysyła.

Czterdzieści trzy podania o różne rzeczy wysyłał Maciuś i ani razu nie odmówiono. Nawet rewolwer ma, bo nie jest więźniem, a dobrowolnie wyjechał.

I teraz właśnie prosi o zmianę straży, i bardzo jest ciekawy, kogo mu przyślą.

Ale nazajutrz po wysłaniu podania — dotknął Maciusia wielki cios: nagle umarł kanarek. Kanarek był już stary, w ostatnich czasach był już ociężały, smutny, nie śpiewał. Niechętnie wychodził z klatki i nie kąpał się w miseczce. Więcej rozrzucał dziobem jedzenia niż jadł. Maciuś widział to wszystko, ale myślał, że nic nie będzie.

Już po śmierci ptaszka przypomniał sobie Maciuś, że ostatniego wieczora był szczególnie smutny. Dziobek otwierał i oczki mrużył, jakby się dusił. I tak jakby mu zimno było. Maciuś chuchał, był nawet niespokojny, żeby kanarek nie zachorował. A on widocznie był już bardzo chory. A tu rano leży sztywny, nóżki wyprężone, cały jakby twardy się zrobił. A główka się rusza i jedno oko otwarte, a jedno zamknięte.

Włożył Maciuś dziobek w usta, znów chucha, prostuje głowę — biegnie do Walentego, ale sam widzi, że koniec.

„Teraz już nie mam zupełnie nikogo” — pomyślał smutnie Maciuś i zajął się pogrzebem.

Wyciął ze złotego papieru koronę, żeby wiadomo było, że to królewski kanarek. Wybrał pudełko nieduże, okleił papierem zielonym. Włożył do środka wate, rozsypał listki — i położył. Zajął mu to sporo czasu, bo nie chciał, żeby ktoś widział. Tak jakby się wstydził. Ale co to za wstyd? Kanarka dała mu mama, która już nie żyje; tyle lat spędził w gabinecie ojca, który nie żyje. Więc to był wyjątkowy kanarek. A pamiątki szanują nie tylko królowie.

Karawan zrobił Maciuś z dwóch pudełek. Sznurek przywiązał. Zawinął wszystko w papier i wyszedł. Idzie na górę, która się wznosi na brzegu morza. Idzie oddać ostatnią posługę przyjacielowi wygnania. Kiedy doszedł do połowy, gdzie droga była równiejsza i już nikt nie mógł widzieć, postawił karawan, ułożył na nim trumnę i ciągnie ten nieduży ciężar dla rąk, a wielki ciężar dla serca.

Wyszukał Maciuś ładne, równiutkie miejsce pod drzewem na samym szczycie góry i wykopał nożem skautowskim grób. Dawniej pałaszami kopano groby dla poległych w boju. Zachciało mu się raz jeszcze spojrzeć. A może stanie się cud? I cud się stał, ale inny. Kiedy Maciuś pochylił się, żeby zobaczyć, a pudełko stało już w grobie — nagle rozległ się śpiew kanarka, ale taki głośny i długi jak nigdy. I Maciuś nie wie, czy to przyjaciel zmarłego, czy przeciwnie, może dokuczał i kłócił się, a teraz przeprasza, a może to dusza kanarka, który nie żyje, śpiewa w tym żywym.

Zakopał Maciuś pudełko, z kamyków zrobił wzniesienie i nie wie, czy można postawić krzyżyk, czy nie wolno.

I tak jakoś znów zaczął rozmyślać o mamie i ojcu. I że ich mogiły tak bardzo daleko. I że modlitwy Maciusia nie są takie, jak być powinny. Zawsze tylko nabożeństwa galowe. Zawsze z ministrami, mistrzem ceremonii, zagranicznymi posłami. Tak było w kościele, tak samo na grobach rodziców. I kto wie, czy nie przyjemniej leżeć obok kanarka na wysokiej górze nad morzem, pod palmą. I sam nie wiedząc, jak i dlaczego, zrobił Maciuś jeszcze dwa groby, a potem się zamyślił i jeszcze jedna powstała mogiłka — dla Kampanelli. A tak były już cztery groby. I tak powstał cmentarz Maciusia.

Nazajutrz musiał popłynąć na lekcję do latarni, chciał po obiedzie pójść na swój cmentarz, ale wiatr się zerwał, więc go do wieczora zatrzymał. A potem nie pamiętał Maciuś, który jest grób kanarka, więc wszędzie krzyżyki małe wkopał. Zrobił ogrodzenie z kamyków. Maleńkie były mogiłki, jak dla czterech ptaszków, ale wszystko, jak patrzeć z daleka, wydaje się małe, a mogiły rodziców są tak bardzo daleko.

I jeszcze bardziej polubił Maciuś górę nad morzem. Tu był jego cmentarz, tu grał na skrzypcach i tu się modlił. Tu spędził długie godziny na rozmyślaniach o samotnej wieży i pustelniku.

A często Maciuś nie myślał o niczym, tylko mu się zdawało, że coś dobrego się dzieje, że te mogiłki, żywe kanarki na drzewie, skrzypce, samotna wieża, Ala i Alo, morze i Klu-Klu, i gwiazdy — że to wszystko razem jest i Maciuś, i niebo, i ziemia. Był wtedy blisko stolicy, widział, wiedział i rozumiał wszystko. I tak mu było cicho i smutno, i przyjemnie, że już wie wszystko na świecie. Wie Maciuś, że czarni królowie prowadzą z białymi wojnę, wie, że kraj czeka na powrót Maciusia, wie, że smutny król znów się pokłócił z młodym królem — i wie, że nowa straż, która tu przyjdzie, skrzywdzi go bardzo, będzie mu gorzej niż teraz, o wiele gorzej.

Czeka Maciusia tyle jeszcze cierpień — i śmierć: Maciuś nie ożeni się z Klu-Klu.

Ale nie z gazet, nie z książek wie Maciuś wszystko. A skąd? Trochę z cmentarza, trochę z samotnej wieży, trochę sam z siebie, a wszystko od Boga.

I tak ot czuje, że niepotrzebnie się biją czarni z białymi, i się nie spieszy do kraju, gdzie czekają na jego powrót, i nie żałuje, że żądał nowej straży, która mu tyle smutków zgotuje, i nie boi się Maciuś śmierci.

Jest spokojny i chyba szczęśliwy. Nie myśli o niczym.

Na Fufajce też było mu wszystko jedno, kiedy chciał jechać na bezludną wyspę. Ale wtedy czuł Maciuś ból, jakby otrzymał ranę — burza w nim jakaś była. A teraz jest spokój.

Nie wie Maciuś, co to za myśl-królowa, ale wie, że jest, bo pszczoły jego ducha spokojne są, wesołe.

Oto dlaczego zapomniał Maciuś o napisanym czterdziestym trzecim podaniu do Rady Pięciu. Nie, żeby zapomniał nawet, ale nie czeka i nie ciekawy. Bo ciekawi są ludzie, kiedy nie wiedzą.

Nie chciał też Maciuś robić niespodzianki Walentemu i reszcie straży, a nic nie mówić, bo po co? Przecież się dowiedzą.

Ale przyjemnie było Maciusiowi, gdy zawinął okręt i warta dowiedziała się, że wraca do domu. Teraz dopiero zrozumiał, jak bardzo tęsknili.

Spokojny zawsze Walenty przewrócił czajnik z gorącą wodą, potłukł porcelanową figurkę, która stała na biurku Maciusia, i zgubił klucz od spizami, że się obiad spóźnił o godzinę. Toż samo inni. Biegną, niby się pakują, nie mają niby czasu. A wiadomo, co ma żołnierz: kuferek, miseczkę i łyżkę — nic więcej. A wszystko z radości.

O godzinie piątej po południu przysłał pułkownik Dormesko ordynansa:

— Czy jego królewska mość raczy udzielić audiencji?

Wszedł wyprostowany w mundurze (cały czas chodził w szlafroku). Co to ma znaczyć?

— Przyszedłem złożyć waszej królewskiej mości raport pożegnalny.

— Więc i pan mnie opuszcza?

— Oto rozkaz.

I podał Maciusiowi papier, wciąż stojąc na baczność.

Maciuś przeczytał, spojrział na pustą klatkę kanarka i tak mu było dziwnie, jakby tam na górze, nad morzem, sama wyrosła jeszcze jedna mogiłka.

Dobry, poczciwy Dormesko: na wszystkie żądania Maciusia się zgadzał, zawsze wszystko podpisywał.

Co będzie teraz?

Dowództwo warty objął rotmistrz ułanów, markiz Amary. Młody, energiczny, bardzo ładny, przysłany został za karę: jednej nocy miał trzy pojedynki i zwymyślał ganarała. Prócz dwóch pisarzy dorosłych i ordynansa, przywiózł dziesięciu chłopców na zmianę warty.

Meldunek jego głosił:

Zgodnie z życzeniem Waszej Królewskiej Mości przywiozłem dziesięciu wyrostków dla osobistej ochrony i na rozkaz Rady Pięciu objąłem dowództwo wyspy.

Maciuś podpisał:

Czytałem.

Wszystko się zmieniło. Wszystko — od razu. Chłopcy zajęli pokój obok Maciusia, Amary zajął domek, gdzie poprzednio mieszkała warta. Kancelaria dowództwa przysyłała Maciusiowi codziennie po kilka różnych papierów. Były to cyrkularze, rozkazy dzienne, regulaminy i wszystko Maciuś musiał czytać i podpisywać. Budzono go w nocy lub szukano w lesie.

— Papier z dowództwa do waszej królewskiej mości.

Maciuś dwa dni był cierpliwy, trzeciego dnia wezwał rotmistrza do siebie.

Przyszedł natychmiast, ale nie witając Maciusia pierwszy usiadł na krześle, zapalił papierosa.

— Panie rotmistrzu — powiedział Maciuś podrażniony jego poufalością — wezwał pana służbowo.

— W takim razie przyjdę później, kiedy wasza królewska mość, ubierze się w mundur wojskowy.

I już wychodzi.

Maciusiowi krew uderzyła do głowy.

— Nie ubiorę się w mundur — powiedział zduszonym głosem — i zapowiadam panu, że jego papierów ani czytać, ani podpisywać nie będę. Nie jestem więźniem, opieka pańska jest mi niepotrzebna. Pułkownik Dormesko...

— Pułkownik Dormesko wyjechał — sucho przerwał Amary. — Pułkownik Dormesko nie tylko nie zostawił papierów żadnych ani rachunków, ale nie pomyślał nawet, aby narysować plan wyspy. Pułkownik Dormesko nie umiał odpowiedzieć na pytanie, czy ta bezludna wyspa naprawdę jest bezludna. Pułkownik Dormesko nie wypełnił ani jednego obowiązku swej służby. Odpowiedni protokół jest gotów i będzie wysłany. Wszystkie zgodne z przepisami rozkazy waszej królewskiej mości będę spełniał, sprawy sporne odsyłać będziemy do Rady Pięciu: waszej królewskiej mości przysługuje prawo skragi do Rady Pięciu. Ja się wzorować na pułkowniku Dormesko nie będę. Cześć!

Maciś został sam. W sąsiednim pokoju rozległ się przyciszony śmiech.

„Ze mnie się śmieją — pomyślał Maciś. — Ano dobrze”.

Amary co godzinę przysyła papier do podpisu. Maciś odsyła. Nie czyta, nie podpisuje. Rano i wieczorem przychodzi Amary z zapytaniem:

— Jak zdrowie waszej królewskiej mości?

Maciś nie odpowiada.

Wzywa Amary wartę na ćwiczenia. Ordynans melduje:

— Czy wasza królewska mość zezwala iść na ćwiczenia?

Maciś odpowiada krótko:

— Nie.

Tak trwało pięć dni, aż do przybycia okrętu. Tym razem przyjechali różni rzemieślnicy: będą odnawiać mieszkanie rotmistrza. Rozlega się w lesie stuk topora. Rąbią, piłują. Rotmistrz buduje ganeczek przed domem, altankę, jeszcze jakiś budynek. Ludzie biegają, Amary wymyśla, klnie — zamęt, bieranina — zakłócono Maciusiowi spokój.

Chyłkiem wymyka się Maciś: teraz stokroć droższy stał mu się cmentarz na górze, łódka, lekcje z Alo i Alą, samotne spacerowanie po lesie i skrzypce.

Maciś rozumie, że to dopiero początek. Czeka spokojnie, co będzie. Amary niby o nim zapomniał, ale kancelaria pracuje: widzi Maciś przez okno, jak dwaj pisarze, pochyleni przy stole, do późnego wieczora coś piszą. Przysłane do podpisu papiery są coraz dłuższe. Maciś ich nie czyta.

Jedzenie z każdym dniem staje się gorsze, Maciś jest głodny. Dawniej zerwał czasem parę daktyli albo figę, teraz bez bananów i fig nie mógłby się wyżywić. Aż nie przysłano mu wcale obiadu. A co gorsza, usłyszał Maciś z sąsiedniego pokoju taką uwagę:

— Oni będą się kłócili, a my zdechniemy z głodu.

Zastukał Maciś w drzwi: był to umówiony znak, że ma przyjść ordynans.

— Czy dostaliście obiad? — pyta się Maciś.

— Melduję posłusznie, że od trzech dni kuchnia dowództwa nie wydaje nic. Rotmistrz bez podpisu waszej królewskiej mości nie ma prawa wydawać.

Maciś ubrał się w mundur wojskowy i wezwał rotmistrza.

— Proszę o przysłanie mi do przejrzenia wszystkich papierów kancelarii dowództwa.

— Rozkaz, wasza królewska mość.

— I proszę o wydanie warcie obiadu.

— Rozkaz, wasza królewska mość.

W pięć minut później przyniesiono do podpisu rozkaz wydania obiadu. Maciś podpisał.

W dziesięć minut później rozległo się w sąsiednim pokoju trzykrotne „Wiwat!” i brzęk łyżek.

Po czym przyniesiono Maciusiowi obiad, który Maciś odesłał. Nie chciał jeść, a zresztą nie miał czasu. Czytał papiery.

Chłodny pot wystąpił Maciusiowi na czoło. Była tam skarga na pułkownika Dormesko, że nie zostawił żadnych dowodów na to, co mu przesyłano.

Nic nie wiem — pisze Amary. — Nie wiem, ile powinno być krzesel, stołów, łóżek, prześcieradeł, talerzy i noży. Nie wiem, gdzie się podziało przysłane mydło, mleko, cukierki, książki i zabawki. Doniesiono mi, że

dzieci latarnika mają wiele kradzionych rzeczy króla Maciusia. Ani jednego kwitu, żadnych rachunków. Domki brudne i odrapane, szkodliwe dla zdrowia. Warta rozpuszczona, robiła, co chciała...

Były trzy skargi na Maciusia. Ale skargi wyglądały tak, jakby się rotmistrz litował i dbał o zdrowie królewskiego samotnika:

Zdrowie króla w stanie oplakany. Jest zdenerwowany i przygnębiony. Nie chce ani czytać, ani podpisywać papierów dowództwa wyspy, czym uniemożliwia pracę. Nie pozwala prowadzić nauki dla warty.

Druga skarga:

Król odbywa dalekie wycieczki łodzią. Powraca zmęczony i podrażniony. Wspinając się na górę, skąd można spać i zabić się. Chodzi po lesie, w którym są dzikie zwierzęta, węże, a być może i ludożercy.

Trzecia skarga:

Król pozwala wartownikom hałasować do późnej nocy. Toteż krzyki ich rozlegają się po całej wyspie. Przeszkadzają w pracy robotnikom, ukradli piłkę i dwa topory. Jeśli zauważyć, że z chłopcami w tym wieku w ogóle trudno sobie poradzić, to już nie wiem, co będzie.

Chłopcy naprawdę bardzo hałasowali, palili papierosy, mówili brzydkie wyrazy, kłócili się i bili, tak że Maciś ani grać nie mógł w pokoju na skrzypcach, ani spać w nocy. Chciał parę razy zwrócić im uwagę, ale myślał, że się uspokoją.

Maciś nie rozmawiał z nimi, nie wiedział, jak się nazywają. Ordynans Maciusia nazywał się Filip.

Filip był dużym chłopcem, ale nieprzyjemnym. Niby był bardzo posłuszny: stawał na każde wezwanie, po wojskowemu wykręcał się na pięcie, jakoś nieprzyjemnie patrzył prosto w oczy. I chociaż niby nic, ale raz Maciś, kiedy stał odwrócony, widział na cieniu na ścianie, jak mu z tyłu pogroził pięścią i język wywalił. Maciś nie miał pewności, że tak było naprawdę — może mu się zdawało. Bo po co by to robił? Nikogo więcej w pokoju nie było, a zresztą za co miał Maciśowi grozić?

Nawet często słyszał przez drzwi, jak Filip uspokajał kolegów:

— Cicho! Nie dajcie królowi spać. Cóż wy, chamy, królowi przeszkadzacie?

Ale Maciś gorzej nie lubił tego uspokajania, niż gdyby nawet hałasowali. I dziwił się, że Filip tak krzyczy, bo przecież wiedział, że obok wszystko słychać. I tak jakoś dziwnie mówił „Krrrról”, jakby się wyśmiewał czy zazdrościł, czy jak...

Starał się teraz Maciś najmniej siedzieć w pokoju, najmniej być koło domu. Albo na górze przysrajał cmentarzyk kwiatami, albo popłynął do latarni, albo siadł nad morzem i myślał:

„Trzeba coś zrobić. Trzeba napisać do Rady Pięciu. Ale co?” Nie może pisać, że chce, żeby wszystko było po staremu, bo powiedzą, że sam nie wie, o co prosi. Trzeba się z tymi chłopcami rozmówić: że chce ich poznać i polubić. Ale to kłamstwo: bo nie chce ich wcale lubić, chce się ich pozbyć; bo po co ukrywać? Oni są wstrętni.

Paląc papierosy, umyślnie przez dziurkę od klucza dmuchają do jego pokoju. Przecież słyszy ich szepty i przyciszone śmiechy. Już woli, żeby hałasowali, niż kiedy szepcą i śmieją się, na pewno z Maciusia — bo słyszy przez drzwi to „król”, to „on”, to „Maciś”. Aż nagle Filip wrzaśnie na całe gardło:

— Uspokójcie się, bydło, krrrrrról chce spać! Krrrrólowi nie wolno przeszkadzać, kiedy chce sypać!

Wszystko się zmieniło — od razu się zmieniło.

Następnym okrętem znów przyjechało kilka dorosłych osób: będą mierzyć wyspę, muszą zrobić plan wyspy. Przyjechały dwie panie, będą rysowały. Przyjechał lekarz, zbadał Maciusia, napisał coś na arkuszu i zaraz tym samym okrętem odpłynął. Zaczęto budować

jeszcze jeden domek, specjalnie na kancelarię. Przywieziono trąby, na których mieli grać pisarze, rzemieślnicy i dwaj chłopcy z warty. Orkiestra grała, rotmistrz, geometra i dwie panie — tańczyli. A Maciuś leżąc w łóżku — zapłakał.

Tak strasznie żał Maciusiowi pułkownika Dormesko, tak mu brak Walentego, który umiał sny tłumaczyć, tak smutno i źle, że gdyby nie dzieci z latarni i cmentarz na górze — ubrałby się, poszedł do gęstego lasu albo i wieżę samotną odszukał i tam się ukrył, albo poszedł do dzikich, którzy — wie Maciuś, że są, ale się ukrywają.

I nagle poczuł Maciuś, że coś chodzi po kółdrze.

„Pewnie mysz”.

Nie, było to zwierzątko większe od myszy, z małym ogonkiem — rude, z białymi łapkami. A co dziwniejsze, miało na szyi łańcuszek z jakimś ciężarkiem. Nie, to nie ciężarek, a orzech. A w orzechu był list od Klu-Klu.

Kochany Maciusiu — pisze Klu-Klu — serce mi mówi, że jest Ci źle na wyspie bezludnej. Z białymi się teraz wcale nie widuję, bo jest wielka wojna. Bum-Drum zabity. Jestem tak samo sierotą jak i Ty.

Dalej następował dokładny opis, jak należy odpowiedź włożyć do orzecha, jak orzech zakleić, żeby się papier nie zamoczył, kiedy szcurek będzie płynął przez morze.

Zrozumiał Maciuś, że to zwierzątko jest jakby gołąb pocztowy. W odpowiedzi uspokoił Klu-Klu, że mu dobrze, że nie wie jeszcze, czy na wyspie zostanie, żeby często do niego pisała.

I na cmentarzu Macusia przybyła jeszcze mogiłka. Rozsunął Maciuś parkan z kamyków; bo jeśli na cmentarzu leżał już kanarek, to mu rodzice wybaczą, że i przyjaciel, choć ludożerca, leżeć będzie obok.

— Raz — dwa — trzy — cztery — pięć — policzył Maciuś, siadł na czółno i popłynął do Ali.

Dziwnie dobre były dziś dla niego dzieci. Nic im nie przywiózł, bo nie chciał zaczynać z rotmistrzem, który od rana był zły i krzyczał na wszystkich. Nic nie przywiózł dlatego. Więc Alo podarował mu ładną muszelkę. Ala dała Maciusiowi kamyczek zupełnie okrągły. I Maciuś wiedział, że to będą pamiątki, bo więcej już nie przyplynie.

Ala ani razu nie płakała, nie kaprysiła. Alo przeczytał bajkę *O Czerwonym Kapturku* i tylko raz się pomylił. Tak strasznie nie chciało się Maciusiowi wracać. Niechby tamci robili, co chcą, na bezludnej wyspie, a Maciuś zostałby tutaj.

Ano, wraca Maciuś, a w pokoju czeka na niego Amary.

— Ach, jak to dobrze, że wasza królewska mość powrócił. Byłem niespokojny. Ej, Filip!

Staje Filip wyprostowany jak struna.

— Warta ma stanąć koło kancelarii, rozumiesz? Pokój zamknąć na klucz, klucz mi oddasz, rozumiesz? I jeżeli któremu z was przyjdzie do głowy podsłuchiwać pod drzwiami tajną rozmowę z jego królewską mością, to żywcem skórę zedrę — rozumiesz? Ruszaj!

Filip wszedł do sąsiedniego pokoju, szmer — wszyscy wyszli, Filip oddał klucz.

— Kochany kuzynie — zaczął rotmistrz — pragnę żyć z kuzynem w zgodzie. Chcę kuzyna przeprosić i błagać o przebaczenie.

Amary ukląkł przed Maciusiem.

— Proszę wstać — powiedział Maciuś — nie jestem święty, żeby przede mną klękać. Nic nie rozumiem.

— Najdroższy kuzynku, jestem prawnikiem Elżbiety Narwanej, rodzonej ciotki Henryka Porywczego. Jesteśmy krewni, dlatego smutny król pozwolił mi tu przyjechać. Chcę być posłuszny jak baranek. Nie wydałem obiadu dla waszej królewskiej mości, drogi... kuzynie, bo rachunki muszę mieć w porządku. Ale dostałem tajny rozkaz i teraz będziemy żyli w przyjaźni. Królu, jeśli mi nie przebaczysz, to patrz.

Markiz Amary przykłada do głowy rewolwer i chce się zabić.

— No dobrze — woła przestraszony Maciuś — chcę też żyć z kuzynem w przyjaźni!

A ten rzuca się Maciusiowi na szyję.

Widzi Maciuś, że rotmistrz pijany.

Zgadza się Maciuś na wszystko, żał mu kuzyna i chce, żeby sobie poszedł.

— Płynie we mnie królewska krew. I za co tak cierpię? Musiałem się pojedyńkować, bo mnie obrazili. Musiałem zwymyślać generała. I cóż ja takiego powiedziałem: że „ostatni dureń”. No, bo dureń. No, powiedz, najdroższy kuzynie — sam powiedz, czy nie dureń?

— Dureń — zgadza się Maciuś.

— A czy mogłem się nie pojedyńkować, no powiedz, wasza królewska mość?

— Nie, nie mogłeś.

— Więc za co mnie tu zesłali?

I znów chce się zabić.

— O, tu mam tajny rozkaz od smutnego króla: *Każde życzenie Maciusia jest jak moje własne*. Oto tu mam tajny rozkaz... Nie, to nie ten. Bo mam jeszcze drugi rozkaz... Oooo, tu jest. To jest rozkaz młodego króla: *Posyłam doktora, niech zbada Maciusia i niech napisze, że Maciuś zwariował, to się ogłosi i będzie koniec*. Tak, mój najdroższy kuzynie, takich to przyjaciół mamy my, królowie.

— Młody król był mi wrogiem, nie przyjacielem — mówi Maciuś.

— No tak, ale Klu-Klu... nie, nie Klu-Klu, tylko ten gałgan z latarni morskiej udaje przyjaciela, a ukradł tyle zabawek. Dwie łamigłówki, pajacyk, cztery książki, sześć kolorowych ołówków. Kto za to będzie płacił? Jestem biedakiem, choć płynie we mnie królewska krew. A honor nie pozwala mi nie zapłacić. Zabiję Dormesko i siebie.

— Drogi kuzynie — mówi Maciuś, żeby go uspokoić — ja sam darowałem to wszystko.

— Wasza królewska mość jest szlachetny. Wasza królewska mość ukrywa przede mną, ale ja wiem. Ci szubrawcy-chłopcy hałasują i spać nie dają waszej królewskiej mości. Pałą papierosy, co to za papierosy — to są najgorsze śmierdziuchy. I przez dziurkę od klucza wpuszczają dym. I umyślnie wrzucają muchy do królewskiej herbaty, i wysypują pchły do łóżka waszej królewskiej mości. I ukradli dwie siekiery i pół funta gwoździ. A kto za to odpowiada! Ja! Ja! Ja! Nędzarz! Praprawnuk królowej Elżbiety.

Ledwo udało się Maciusiowi odebrać rewolwer. Ułożył go na własnym łóżku, sam wpuścił przez okno wartę, żeby się cicho spać położyli — bo rotmistrza boli głowa.

Siedzi Maciuś, ale taki zmęczony. Tyle się od razu dowiedział.

Więc dlatego było tyle much w herbacie, bo mu umyślnie wrzucali?

Więc dlatego przyjechał doktor, żeby z niego zrobić wariata?

Więc dlatego pchły tak go gryzą?

Więc rotmistrz musi płacić za wszystko, co zginie?

No, dobrze, ale kto płaci za życie Maciusia, który nic przecież nie robi, a podróże, okręt, latarnia — to wszystko drogo kosztuje.

I czy Amary naprawdę jest jego kuzynem?

I czy nie można ukryć się na wyspie, dokąd nie przyplynie żaden okręt, żaden szczurek, gdzie może być zupełnie — ale to zupełnie sam?

Maciuś zrozumiał jedno: że już nie zostanie długo na bezludnej wyspie. Kiedy w więzieniu postanowił uciec, było zupełnie inaczej. Serce mocno mu biło, myśli latały w głowie — to tu — to tam — spieszył się, bał się, że się nie uda. A teraz nic. Nawet nie przychodzi mu na myśl, że może się nie udać. Jest zupełnie spokojny. Popatrzy — poczeka jeszcze, może się coś zmieni.

Położył na stole muszelkę Alo i kamyczek Ali. I od razu zapomniał o wszystkim. Taka miła muszelka, taka jedyna na świecie. Wie Maciuś, że muszelek jest na brzegu tysiąc i więcej, ale tę muszelkę dał Alo i powiedział:

— Masz za to, że mnie uczysz.

I ten zwyczajny kamyczek jest tylko jeden na świecie. Dała go Ala, uśmiechała się do niego: i do kamyczka, i do Maciusia. Na całym świecie nie ma kamyczka, w którym by był tam gdzieś we środku, w duszy, uśmiech małej Ali.

Siedzi Maciuś, choć noc. Nie ma się gdzie położyć, bo łóżko zajęte. Wziął pióro i wpiął do pamiętnika:

Myślałem że rotmistrz jest zły, a on jest bardzo biedny. Gdyby młody król powiedział wszystko, co myśli, i gdybym ja powiedział wszystko, co myślę — może nie bylibyśmy wrogami.

I dalej:

Byłoby dobrze, żeby każdy miał samotną wieżę w lesie gęstym.

I dalej:

Są różni ludzie na świecie.

Oparł Maciuś głowę o stół i zasnął.

Jeśli Maciuś nie rozmawiał z wartownikami, to głównie, że nie wiedział, jak do nich mówić. Chciał żyć z nimi jak dawniej z Felkiem. Ale nie chciał pozwolić mówić na siebie „ty”. Wtedy było inaczej: był prawdziwym królem i tak być mogło. Może to zresztą nie było dobre. Mówić im „pan” też nie chciał. Więc trudno mu było.

Ale raz spotkał się przypadkiem z najspokojniejszym i porządnym. I on, jak Maciuś, chodził często na brzeg morza i nie — żeby łapać ryby, a tak sobie siedział. A kiedy widział Maciusia, zaraz odchodził, pewnie żeby nie przeszkadzać.

Spotkali się nagle i tak blisko, i tak od razu, że przystanęli na wąskiej ścieżce.

— Dzień dobry — powiedział Maciuś.

— Dzień dobry.

— Ładnie jest w lesie.

— I cicho.

— Dawniej na całej wyspie było cicho. Dopiero teraz tak się zrobiło. A wy lubicie ciszę?

— Ja lubię.

— Więc dlaczego u was tak głośno?

Pytanie widocznie nie było przyjemne. Nie odpowiedział. Nie chciał obmawiać kolegów.

— Jak się nazywacie?

— Stefan.

— Mój ojciec nazywał się Stefan.

— Wiem, uczyłem się w historii.

Od słowa do słowa dowiedział się Maciuś o wielu rzeczach.

Stefan ma ubogich rodziców. Akurat ojciec nie miał roboty, więc wyjechał na wyspę, żeby pomóc rodzinie, a ciężko pracować nie może, bo słaby na serce. Cały żołądek ojcu odsyła.

— Tęsknicie?

— Trochę. Co przyjdzie z tęsknoty. Tak trzeba.

— No a inni?

— Nie wiem dobrze. Jeden, sierota — był w orkiestrze wojskowej. Drugi, syn krawca — dziewięcioro małych dzieci — bieda wielka. Trzeci ze wsi — chciał się uczyć, przyjechał do miasta, ale nic znaleźć nie mógł. Czwarty ma niedobrego ojczyma: prawie go wygnał z domu. A reszty nie znam.

Nie zna albo mówić nie chce.

„Są różni ludzie na świecie” — pomyślał Maciuś.

I nagle:

— Słuchajcie, Stefan, czy palicie papierosy?

— Ja nie palę.

— A dym was nie dusi, jak oni palą?

— Tak, trochę — zakasłał się Stefan.

— Słuchajcie: możecie spać u mnie.

— Dziękuję waszej królewskiej mości; niech już tak zostanie.

— Dlaczego?

— Dokuczać będą.

— Za co?

— Powiedzą, że się pieszczę, podlizuję...

— Kto? Wszyscy powiedzą?

— Nie wszyscy, ale powiedzą.

— No to niech mówią.

— Nie, przykro. Dziękuję waszej królewskiej mości.
Wyraźnie chce odejść. Smutno się Maciusiowi zrobiło.
— Czemu uciekacie?
— Taak. Zobaczą, dokuczać będą.
— A teraz nie dokuczają?
— Co mają dokuczać? — prawie z gniewem powiedział Stefan.

I odszedł.

Przykro było Maciusiowi, żal chłopca.

Co robić?

Do domu wracać nie chce, w lesie smutno, a nad morzem włóczą się ciągle teraz ci albo tamci.

— Pojadę do Ali — decyduje Maciuś.

Idzie na brzeg, chce się do czółna, a tu nie ma wiosła. Biegnie Maciuś do dowództwa na skargę.

— Wiosła zginęły.

— Zaraz się znajdą — mówi rotmistrz — zawołać mi wartę.

— Co pan chce robić, panie rotmistrzu?

— Mordy prać!

— Nie pozwalam.

— To trudno: nie będzie wiosła.

Idzie Maciuś do domu, głowę pochylił, zgarbił się cały.

— Wasza królewska mość, wiosło znalazłem, ale jedno, tam w krzakach — mówi

Filip.

— A drugie?

— Drugiego nie ma. Ale ja się przepytam i znajdę.

— Słuchaj no, Filip, chyba ty wziąłeś wiosła.

— Jaaa? — zdumiał się Filip. — Jaaa? Jak Boga jedyne go Kocham, żebym się z miejsca nie ruszył, przekona się wasza królewska mość...

A im więcej zapewnia, tym pewniejszy Maciuś, że to on właśnie.

Niby chodzi, biega, rozpytuje się. A wieczorem ryczy w sąsiednim pokoju:

— To ty, Stefan! Poczekaj, złodzieju, ja mam cierpieć za ciebie! Mnie mają posądzać?

Słucha Maciuś: żeby się Stefan słowem odezwał. Nic.

A następnego dnia czółno znikło. Urwało się z łańcucha — i w morze. Kto znajdzie czółno przez morze porwane? Czekają pewnie Alo i Ala — nie, nie przyjedzie Maciuś. Nie przyjedzie ani dziś, ani jutro. Wrócił do pokoju, przygotował plecak do drogi. Jeszcze pożegna się z górą, a nocą wyruszy. Co ma być, niech będzie.

Idzie na swoją górę, ale niepokój czuje. Może znów coś złego? Idzie spiesźnie, jakby chciał przeszkodzić komuś albo bronić. Aaa, pochwycił na gorącym uczynku: Filip kopie nogami cmentarz Maciusia.

Nagle stało się coś, czego Maciuś żadną miarą nie mógł zrozumieć. Zamąciło się w głowie, mignęło przed oczami. Ręka się zacisnęła, uderzyła. Filip pochwycił rękę Maciusia, ale Maciuś był strasznie silny. I chciał bić. I bił. Parę razy Filip odepchnął, więc Maciuś chwycił go za bluzę — i bije, i brak mu tchu. Pochylił się Filip, znów pochwycił rękę Maciusia, ale tylko na chwilę. Odwrócił się i poczuł Maciuś pierwsze uderzenie. Teraz dopiero zyskał Maciuś prawo do walki prawdziwej. Jakby go krępowało, że Filip się broni, chwytą rękę, ale sam nie bije. Skoczył, ale mu się nie udało, cofnął się o krok, całym ciężarem runął na wroga. Filip się pochylił, Maciuś wyrznął w twarz tuż koło ust, potem dwa razy w głowę. Otrzymał uderzenie. Owinął rękę koło szyi, bije brodą, kopie. Znów dwa razy uderzył, otrzymał dwa uderzenia w piersi. Wyciął, ale nie trafił. I w nos.

I na skopany w walce cmentarz Maciusia — trysnęła krew.

Oprzytomnieli.

— Masz — podał mu Maciuś chustkę do nosa.

Nabrzątkła twarz Filipa miała wyraz pogodny. Uśmiechnął się wesoło. Pokręcił głową.

— Nie przypuszczałem, że królowie umieją tak grzmocić.

Maciuś wie, że to wstęp do długiej rozmowy — i czeka.

— Kiedy tak, to już powiem. Wszystko jedno. No tak: ja puszczałem dym, ja zegar umyślnie popsułem, ja muchy — całą garść — do zupy wrzuciłem — ja czółno i wiosła ukradłem. Dokuczałem, mściłem się, ale i nade mną się mścili.

Filip oddany był za kradzież do domu poprawczego, kiedy miał dziesięć lat. I było mu źle. Nie dawali jeść i bili. Wszyscy bili. I dozorca, i stróż, i majster, i starszy chłopak. Kto silniejszy, kazał usługiwać, mógł broić po kryjomu i zwał winę na słabszych — kto silniejszy, odbierał chleb i cukier małym i słabym. Tam nauczył się w karty grać, papierosy palić, mówić świństwa. Tam nauczył się mścić, robić na złość, kłamać, wykręcać się i oszukiwać.

— A co ja ci z tego zrobiłem? — pyta się Maciuś. — Dlaczego mi dokuczałeś?

— Albo ja wiem. Ot, gniewało mnie, że jeden jest król, a drugi — złodziej. I chciałem wiedzieć, czy król naprawdę jest dobry, czy kłamią. Albo ja wiem. Chciałem, żeby się król poskarżył rotmistrzowi i żeby nam baty wyspali.

— Wszystkim — więc i tobie?

— Ano i mnie. Ważna rzecz. To tylko z początku nieprzyjemnie, a potem już wszystko jedno.

— Słuchaj, Filip, nie gniewasz się, że ciebie biłem?

— Eee, co to za bicie. Tylko że w nos się nie bije.

— Nie wiedziałem.

— Rozumie się. Bicie — to niełatwy fach. Trzeba umieć tak bić, żeby bolało, ale żeby nie było ani krwi, ani znaków.

— Słuchaj, Filip, mam prośbę do ciebie. Nie dokuczaj ty Stefanowi.

— Więc niech się broni. Dlaczego taki gamajda? Robią mu coś, a on nic: to drażni.

— On chory, kaszle.

— No to co? Mówić przecie może? Niech się językiem broni. Bo tak wygląda, jakby był dumny. Niby że nic sobie ze mnie nie robi.

— A jeśli nie umie?

— To niech się nauczy.

— A jeśli nie chce?

— Niech nie będzie uparty.

— Więc nie chcesz obiecać, że mu nie będziesz dokuczał?

— Niech będzie! Nie takie mi znów to dokuczanie potrzebne.

Podali sobie ręce.

— Pamiętaj...

Napisał Maciuś do rotmistrza, że prosi, żeby go nie szukali. Nie jest ani jeńcem, ani więźniem. Może robić, co chce. Dla Rady Pięciu będzie nawet lepiej. Nic ich kosztować nie będzie. Amary wróci do domu. Niech im się zdaje, że Maciuś nie żyje.

No i poszedł. Nocą ciemną — dokąd oczy poniosą.

Wziął tylko, co najkonieczniejsze.

Kierunek wybrał w lesie taki, żeby go nie znaleźli w razie pościgu. Więc idzie blisko, ale nie nad rzeką. Wodę mieć musi, ale żeby nad brzegiem nie znaleźli.

A las gęsty. Nie znajdują. Wystarczy o pięć kroków zaszyć się między krzaki — i byle się nie odezwać, nie złapią.

Ile drogi przeszedł Maciuś, sam nie wie. Gdzie trzeba się przedzierać między gęstwina, idzie krok za krokiem. Gdzie droga równiejsza, idzie zwawiej. Zresztą nie spieszy się. Jest wolny i bezpieczny. Widocznie nie ma na wyspie ani dzikich zwierząt, ani jadowitych wężów. Głodu się nie boi. Wie z przeczytanych książek, jakie owoce są pożywne, jakie rośliny mają sok słodki, który zastępuje cukier, jakie grzyby jadalne, jakie korzonki podobne do marchwi i sałaty.

Sypia na drzewach zupełnie wygodnie — — nawet przyjemniej niż w łóżku. Bo drzewa oplątane lianami o gęstych gałęziach i liściach tworzą jakby wiszące, wygodne, zielone i pełne zapachu materace. Uginają się jak sprężyny. A spaść nie można, choćby się we śnie z boku na bok nawet przekręciło.

Raz spadł na miękkie krzaki, trochę rękę podrapał.

Chciał Maciuś wstąpić do samotnej wieży, ale jej nie znalazł. I po co? Widocznie pustelnik nie chce z nim rozmawiać. Zaraz go wyprowadził.

Idzie Maciuś, idzie, wcale się nie spieszy. Raz cały dzień spędził na tym samym miejscu. Parę razy zdawało się, że słyszy głosy pościgu nad rzeką. To znów jakby głos trąbki. Ano: jak chcą, niech się bawią z nim w chowanego. Znudzi im się, to wrócą.

Przez pierwszy tydzień zapisywał Maciuś, ile dni jest w drodze. Ale przestał, bo po co? Niech sobie przechodzi jeden dzień po drugim. Ciekawi są, którzy na coś czekają, a Maciuś na nic nie czeka.

Ale szcurek pocztowy go znalazł. Ucieszył się Maciuś. To strasznie zabawne. Takie małe stworzonko, a mądrzejszy ma nos niż wszystkie oczy ludzi. Szcurek musiał być napadnięty w drodze, bo miał jedną łapkę odgryzioną i kulał. Maciuś przemyśli i przewiązał ranę.

Kochany Maciusiu — pisze Klu-Klu. Wysłałam sto orzechów pocztowych, a nie otrzymałam odpowiedzi. Jeżeli nie jesteś bardzo daleko, powinien byłeś otrzymać już dziesięć listów; bo nasi kapłani obliczają, że na każdych dziesięć szcurekowi dziewięć ginie w drodze pożarte przez ryby, o ile płyną morzem, i przez zwierzęta. A tylko jeden na dziesięć dojdzie, gdzie trzeba. Napisz, gdzie jesteś i czy potrzebna ci pomoc. I nie zawieszaj szcurekowi orzeszka, dopóki sam nie powie, że wypoczął, chce wracać. Twoja na wieki Klu-Klu. Wojna z białymi trwa jeszcze.

Więc dobrze: leczy Maciuś szcureka pocztowego i patrzy, jak powie, że gotów do drogi. A szcurek wdzięczny, że Maciuś go leczy: choć boli przemywanie rany, ale liże rękę i tak ślepkami mruga, jakby dziękował. I Maciusiowi nie chce się odsyłać małego przyjaciela. Czuje tak, jakby nie sam był teraz w lesie bezludnej wyspy.

Maciuś gotuje wodę, zaprawioną słodkim sokiem, kraje liście, korzonki i owoce. Zupa podobna w smaku do kompotu z gruszek i jabłek, a szcurek siedzi na tylnych łapkach jak wiewiórka i pilnuje, i czeka. Kładzie się Maciuś spać, a szcurek pocztowy w rękaw włoży, ale tyłem: wysadzi nos, a tak nosem rusza, tak rusza, jakby telegrafował do Klu-Klu.

Z Maciusiem idzie śmiało albo siada mu na ramieniu. Ale jak sam, okropnie ostrożny, byle szelest — od razu znika, siedzi pod liściem i dopiero wysadzi kawałek nosa, jakby się pytał, czy można.

Łapka mu się zagoiła. Napisał list do Klu-Klu, zakleił Maciuś w orzechu i na próbę zawiesił szcurekowi na szyi. Zapiszczał szcurek (pierwszy raz) i tak smutnie spojrział, że Maciuś zaraz zdjął z szyi łańcuszek. Widocznie nie ma jeszcze sił do drogi, a może wywąchał niebezpieczeństwo. I nie może sobie Maciuś przypomnieć, czy tamten szcurek tak samo prosił, żeby go nie posyłał: zwyczajnie, nie zwrócił wtedy uwagi. Bo nie szanował szcureka.

I domyśla się Maciuś, że jeśli się nie szanuje małego, to nic nie powie. A jeśli szanować, wszystko, nawet kamyk i muszelka mówić zaczynają. Tak, z kamykiem Ali i muszelką Alo Maciuś rozmawia, a i szcurek widocznie rozmawia, bo tak wącha, tak wącha, tak wącha. I przyszło Maciusiowi na myśl, że może posłać szcureka na próbę do latarni morskiej.

Ale nagle szcurek pocztowy zrobił się niespokojny. W nocy kręci się w rękawie i wzdycha, biega, podskakuje na trzech łapkach, jeść nie chce. Mówi wyraźnie, że wypoczął, chce ruszyć. I posłał Maciuś list do Alo i Ali, że mu zabrali czółno, że musiał ich opuścić. Już wieczorem tego samego dnia miał odpowiedź, ale zamoczoną, bo orzech źle sklejonny. Parę słów tylko mógł Maciuś odczytać:

Szkoda... uczyć się sam... szukali... czekamy.

Ucałował Maciuś ten liścik, schował razem z fotografią matki, ostatnim kawałkiem sałaty, którą jadł zmarły kanarek (w jednym miejscu znać było nawet ślady dziobka), z muszelką i kamykiem.

Szcurek się nie uspokoił: co to dla niego za droga — parę mil tylko? Kręci się — piszczy i szuka orzecha. Ano: wysłał go Maciuś. A że mu smumo samemu, więc rusza w drogę — w górę rzeki.

Aż doszedł do jeziora i spotkał dzikich mieszkańców wyspy. Bo na środku jeziora była wyspeka, a trzech dzikich czerpało wodę łupiną kokosowego orzecha.

Nie przestraszył się Maciuś, przeciwnie, ucieszył. Powiewa białą chusteczką na zgodę, a oni patrzą się i dziwią.

Dopiero trzeciego dnia wsiadł jeden na kłodę drzewa i bardzo niezgrabnie pchając kijem — przyplynał.

To dziwne, jak dzicy mogą być niezgrabni.

Prawie na czworakach chodzili. Przywiózł ich poseł: guzik blaszany, wypaloną zapalniczkę, kawałek, może pół łokcia, nitki czarnej i korek od butelki. I Maciuś zrozumiał, że przysyłają okup, żeby ich tylko nie ruszał.

Więc poznał Maciuś najdzikszych ludzi, ale nie ludożerców. I zamieszkał z nimi na wyspie na jeziorze. Dzicy lubią Maciusia — dbają o niego. Nic robić nie pozwalają, sami pracują. Maciuś leży całymi dniami i myśli o rozmaitych rzeczach.

Uciekł na wyspę od ludzi, ale się nie udało. I dopiero na tej wyspie morskiej znalazł wyspę jeziora — i tu już ma spokój. Tak jakby się ukrył w samym sercu fortecy. Może zbudować wieżę samotną i zostać. Na zawsze zostać? Może tu jeszcze raz założyć cmentarz, który tam się nie udał?

Teraz dopiero rozmyśla Maciuś dokładnie o Amarym, Stefanie, Filipie. Chce coś dopisać do pamiętnika, ale ma jeden zeszyt czysty i tylko pół ołówka. Więc nie może byle co pisać. Musi oszczędzać papier, nie tak jak w szkole, gdzie dziecko namaże głupstwo na całej stronie albo wydrze kartkę na kulę lub strzałę.

Czy Amary był dobry, czy zły? Czy Filip może się poprawić? Dlaczego ci ludzie, wśród których żyje, także są dzicy, a nie są ludożercami? Nawet łuków i strzał nie mają.

Zapisał Maciuś w pamiętniku:

Są ludzie spokojni i niespokojni.

Dormesko był spokojny, mama Maciusia spokojna, ten chłopczyk, którego widział podczas wojny w chacie, spokojny. Dzicy, z którymi mieszka teraz, spokojni. I mistrz ceremonii, i kanarek, i Kampanella.

A niespokojny był Felek, niespokojny Amary i Ala, i Filip, i nawet młody król. Tak, i Maciuś jest niespokojny. I Klu-Klu. I ludożercy. Ale nie wszyscy. Ludzie niespokojni prowadzą wojny, spokojni muszą się ich słuchać. Dlatego smutny król, chociaż spokojny, musiał wojować.

I szczurek pocztowy jest niespokojny, ale inaczej niż lew. Szczurek chce przynosić pożytek. I Maciuś też.

I zanotował Maciuś w pamiętniku:

Człowiek niespokojny może być dobry albo zły. Jeżeli będzie na świecie dużo niespokojnych i dobrych, będzie dobrze. Jeżeli będzie więcej niespokojnych i złych, będzie źle.

Ale nie wie Maciuś, co by było, gdyby wszyscy byli spokojni, gdyby wcale nie było niespokojnych ludzi. Trzyma Maciuś zeszyt na kolanach, poślinił ołówek, nie wie, co napisać. A dzikusy siedzą w kucki naokoło, otworzyli szeroko usta, tak patrzą na Maciusia, jakby rozumieli, że robi coś bardzo ważnego. Oczami boją się mrugać, żeby nie przeszkadzać. I Maciuś taki im wdzięczny, i tak ich strasznie żal.

Bum-Drum nie wiedział, jak się zakończyły narady na Fufajce. Doszła go wieść, że Maciusia wysłano okrętem na wyspę bezludną, ale ani przypuszczał, że Maciuś dobrowolnie wyjechał. Więc strasznie się rozgniewał na białych królów za zdradę. Żeby tak się zemścić za jedną królową — to świństwo. Udawali, że się nie gniewają — przecież tłumaczono, że zaszła pomyłka — a cichaczem sprowadzili okręty. No dobrze — ukarali, surowo ukarali czarnych; ale Maciuś nic nie był winien. Życie im uratował, a oni co zrobili?

Wypowiedział Bum-Drum wojnę wszystkim białym królom. Pogodzili się Murzyni z północy i południa, zachodu i wschodu.

Ogłosili świętą wojnę, w której Maciuś był jakby bogiem.

Murzyni nie mają książek ani gazet, więc tylko jeden opowiada drugiemu, każdy coś dodał od siebie — i wyszło zupełnie co innego. Więc niby biali są silni, bo ukradli z nieba pioruny. I piorunami bili czarnych, więc czarni nie mogli nic robić, musieli się słuchać. Ale Bóg zesłał Maciusia, żeby też czarnym dał pioruny. A biali królowie uwięzili Maciusia. Boją się go zabić, a nawet nie mogą, bo pioruny są Maciusiowi więcej posłuszne. I Maciuś obiecał, że jeśli go czarni zwolnią z więzienia, w nagrodę staną się także biali i będzie już dobrze. A Murzynom zdziwiło się, że ciągle są tylko czarni.

Wojna będzie wielka, a może i nie tak bardzo. Bo, jak znowu inna głosiła legenda, raz już czarni zwyciężyli białych królów. Biali królowie leżeli związani na kupki po pięciu. Ale ludożercy z kraju Tcha-Gro zjedli białą królową i złamali obietnicę, że jeść ludzi nie będą. Maciuś się rozgniewał i pomógł białym zwrócić pioruny przeciw Murzynom. I za karę musi odbyć ta święta wojna. Więc kiedy już raz zwyciężyli białych, teraz może być łatwo.

Więc biegną gońce z kraju do kraju, przez lasy, rzeki, pustynie i góry.

— Wszyscy czarni do broni!

Tylko kobiety zostają w domu, żeby pracować dla starców i dzieci. A mężczyźni w drogę.

Rozumie się, że biali królowie prędzej się dowiedzieli niż nawet wszyscy czarni. Z początku się zlekli, ale pomyśleli, że może i lepiej. Od razu skończą przynajmniej i raz na zawsze dadzą dzikusom nauczkę. Umówili się, ile kto ma dać wojska i okrętów. Ważniejsi królowie dali po piętnaście tysięcy, a tacy sobie po pięć i po dziesięć.

Okrętami przepławili się do Afryki, okopali nad brzegiem morza i czekają. Wojsko wybrali najsroźsze i nie bardzo porządne, pijaków, złodziei i nieposłusznych. Bo myśleli, że jeżeli nawet przegrają — i tak nie będzie szkoda, bo się pozbędą łobuzów, z którymi trudno poradzić. A czarni nie mają okrętów, więc i tak nie zaszkodzą Europie. Niech tylko spróbują łódkami puszcząć się na morze.

I była bitwa. Nawet nie bitwa, a rzeź. Podobno tę bitwę już dawno przepowiadali uczeni. Nazywali ją „bitwą ras”. To znaczy, że nie biały naród bije się z białym, a cała rasa białych bić się będzie z czarnymi. Ale żaden z uczonych nie przewidywał, że bitwa będzie tak straszna.

Bo murzyńscy kapłani głosili, że kto w świętej bitwie będzie zabity, ten wcale nie umrze, tylko się przewróci, a na drugi dzień obudzi się biały, że słyszeli tak z ust samego Maciusia.

Więc można sobie wyobrazić, co się działo. Każdy chciał być jak najprędzej zabity, żeby zaraz zrobić się białym, pędzić do żony i powiedzieć:

— Patrz! Widzisz, jakiego masz ładnego męża?

Żony i dzieci się przestraszą i nie zechcą wierzyć, a oni zaczną się śmiać i powiedzą:

— Oj, kobiety, jakie wy głupie. I wy też będziecie zaraz białe.

A tu Maciuś robi cud. I mężowie mówią:

— Widzicie, to jest pachnące mydło od króla Maciusia. Idźcie się, brudasy, wykapać! I umyły się — i basta! — skończyło się. Wszyscy są biali.

— No widzicie.

Widzą, więc nie mogą nie uwierzyć...

Teraz już rozumiecie, co się działo. Rannych wcale nie ma, bo każdy chce być od razu zabity. W prawdziwym wojsku pod surową karą nie wolno narażać się na niebezpieczeństwo; jak trzeba, to trzeba, ale żołnierz powinien unikać kul, kłaść się na ziemi, kopać sobie rowy. A ci nie: właśnie tam się pchają, gdzie najwięcej kul leci. A dopiero białe wojsko widzi, że się nie bronią, więc idzie do ataku. Samych czarnych królów zginęło chyba z pięćdziesiąt, a wśród nich i Bum-Drum.

Ale nie koniec na tym. Za mężami poszły żony. I była druga bitwa. W historii nazywa się ona „bitwą czarnych kobiet”.

Aż się biali królowie sami przestraszyli, że za dużo zabijają. Bo czarni potrzebni są białym. Dzięki czarnym jest kakao, figi, daktyle, kule bilardowe z kości słoniowej, kalosze i strusie pióra, a jeszcze lekarstwa, olej rycynowy; a jeszcze cynamon, wanilia, papugi, ładne muszle, szylkret na grzebienie — no i szkoda przecież ludzi, bo chociaż czarni, a ludzie — i pożyteczni. Wprawdzie niesmaczny olej rycynowy, ale przyjemnie grać w bilard,

kapelusze z strusim piórem ładnie wyglądają, a placki z wanilią są lepsze. Więc biali królowie postanowili nauczyć dzikusów, że są niby lepsi i kobiet zabijać nie chcą.

— Wście mogli zjeść Kampanellę, bo jesteście dzicy, a my szlachetni i damom nic złego nie robimy.

Wzięli i przebaczyli.

I teraz stała się rzecz najsmutniejsza. Oto Klu-Klu wyprowadziła dzieci do walki. Powiadają, że to najsmutniejsza. Bo dzieci nic nie mogły poradzić i nawet nie doszły do morza. Więcej niż połowa zginęła w drodze.

Biedny, biedny, biedny Maciuś! To, co zobaczył, było tak straszne! W obozie dzieci głodnych, chorych, zrozpaczonych, kiedy zdawało się, że już nic ich nie uratuje, zjawił się nagle Maciuś wezwany przez Klu-Klu.

Jeszcze przed bitwą kobiet otrzymała Klu-Klu orzech pocztowy. I natychmiast wysłała czterech gońców, żeby go z wyspy wykradli. Szczurek pocztowy zaprowadził ich do Maciusia. Dwóch w drodze zjadły rekiny. A dwaj dostali się na wyspę. Zgodnie z rozkazem Klu-Klu wysiedli z czołna o pięć mil przed wyspą i płynęli pod wodą, oddychając przez trzcinę. Bała się Klu-Klu, żeby ich warta wyspy nie przyłapała, bo ciągle myślała jeszcze, że Maciuś jest w niewoli.

Biedny, biedny Maciuś. Tak niechętnie opuszczał swoje bezpieczne schronienie, tak żał mu było odjeżdżać od biednych dzikusów. Ale trudno: dzieje się coś bardzo złego na świecie przez niego i w jego imieniu, i niby dla niego. I wzywa go Klu-Klu, żeby radził, co robić. Jeżeli nic nie może pomóc Bum-Drumowi, toć ma obowiązek dla Klu-Klu i czarnych wiernych przyjaciół.

Dwa tygodnie trwały przygotowania. Trzeba było zepsuć latarnię morską, żeby w nocy było ciemno. Już urządzili to Murzyni. Trzeba było zrobić czołno i wiosła, ukryć to wszystko nad brzegiem morza. I prędko nawet ruszyli w drogę.

Zostawił Maciuś zasmuconym dzikusom pudełko blaszane, kubek porcelanowy, cztery obrazki, pierścionek, klamrę od paska i szkło palące. Długo nie chcieli wierzyć że Maciuś naprawdę tyle skarbów na zawsze im daje.

Noc była ciemna.

— Jak wam się udało zepsuć latarnię? — pyta się Maciuś.

— To bardzo łatwo. Rekinów koło wyspy nie ma. Więc płynęliśmy pod wodą, tylko kawałek trzciny wystawał. A przez dziurkę w trzcinie oddychaliśmy. Tam dwie godziny czekaliśmy. Ano, poszedł latarnik z dziećmi ryby łowić. A my przecięliśmy druty tam, gdzie nam kazałeś. A na stole położyliśmy twój list.

Bo Maciuś napisał list, bo się bał, że latarnik będzie podejrzewał, że to Alo zrobił, i może się gniewać. A tak — powie, że szczury przegryzły drut elektryczny — i nikt nie będzie nic wiedział.

Noc była ciemna. Morze było spokojne. Maciuś usiadł przy sterze, a Murzyni wiosłują. Jeżeli wszystko pójdzie gładko, za dwa dni dopłyną do lądu, a tam już czekają słonie królewskie, żeby ich zabrać.

Noc ciemna. Tak cicho i dobrze płynąć. I stają w pamięci wszystkie dni spędzone na wyspie, i rozumie Maciuś, że choć było smurno, ale był szczęśliwy. Rozumie Maciuś, że już nie będzie żył spokojnie, nie będzie miał czasu, aby patrzeć na mrówki, rzucać w morze kamyki i opowiadać bajki małej Ali.

Czeka go nowa, ciężka praca i kto wie, ile cierpień.

Wprowadzono Maciusia do królewskiego namiotu. A choć zmęczony podróżą, zaraz pierwszej nocy musiała mu Klu-Klu opowiedzieć, co się właściwie stało. A zresztą sam widzi, co się dzieje. Obóz nieszczęśliwych dzieci wygląda strasznie. Nie ma zupełnie jedzenia, bo nie przygotowali nic na drogę. Wszędzie płacz i jęki chorych. Nie mają siły iść dalej, a zostać na miejscu to znaczy zginąć. Kto mógł, dawno uciekł z obozu, a reszta czeka, co powie Maciuś.

— Pamiętasz, Klu-Klu, jak goniłaś wiewiórkę na drzewie? — pyta się Maciuś. — A pamiętasz, jakieś Antkowi zęby wybiła?

— Pamiętam — mówi Klu-Klu i nawet się nie uśmiechnęła.

Jeżeli ktoś jest zawsze wesoły, a raz smutny, najbardziej żał wtedy.

Długo nic nie mówią.

— Ile jest dzieci w obozie?

— Już teraz sama nie wiem. Część wyginęła w drodze, część się rozbiegła.

— Jak myślisz: czy wytrzymacie jeszcze tydzień?

— Musimy.

— Więc nie ma co. Szkoda czas tracić. Muszę się najprędzej dostać do miasta białych, gdzie jest telegraf bez drutu. Wezwę białych na pomoc.

— A czy się zgodzą?

— Nie ma innej drogi. Zresztą, jeżeli się okazali honorowi w bitwie czarnych kobiet, to pewnie i dzieciom pomogą.

— Rób, Maciusiu, co chcesz. Bo ja nic nie wiem.

Kiedy dzieci murzyńskie zobaczyły, że Maciuś je opuszcza, strasznie zaczęły płakać.

— Ratuj nas! — wołają.

— Nie zostawiaj nas! — wołają.

Wdrapał się Maciuś na drzewo, żeby go wszystkie widziały, i mówi:

— Nie bójcie się. Wróć z pomocą. Musicie poczekać tydzień, a może tylko trzy dni.

Im prędzej ruszę w drogę, tym prędzej przybędzie wam pomoc.

I dzieci czarne uwierzyły. Zaraz się uspokoiły i nawet niektóre zaczynają śpiewać, chociaż nie bardzo głośno, bo głodne. I Maciusiowi jeszcze się straszniej zrobiło, że tak mu ufają. Bo najgorzej jest wtedy, gdy się daje słowo, że się coś zrobi, a nie ma się pewności, że się uda.

Obóz dzieci znajdował się nad wielką afrykańską rzeką i wiedział Maciuś, że na końcu rzeki jest port białych ludzi, a nawet bliżej są miasta — i może jest tam telegraf. Płynie Maciuś z prądem, więc bardzo szybko. Przydały mu się wycieczki na latarnię morską. Teraz dopiero widzi, jaki jest silny, i rozumie, dlaczego zwyciężył Filipa.

„Jestem zahartowany!” — myśli Maciuś.

I chociaż głodny, śpiący i zmęczony, pędzi jak na skrzydłach, jakby go goniły — sam nie wie, czy cierpienia, czy to słowo honoru, że dopomoże. Pędzi na swoim czólnie jak wichur.

O świcie tyle się tylko zatrzymał, żeby zerwać trochę owoców — i dalej, bo tam czekają.

Dwie miał w drodze przygody: raz zdrzemnął się trochę — łódka sama płynęła. Ale prąd ją pchał w stronę brzegu. I mało co nie dostał się w paszczę hipopotama: dobrze, że wiosła we śnie nie puścił. Drugi raz omal nie przewrócił czólna, gdy napłynął na wielkiego krokodyla. Gdyby w tym miejscu wpadł w wodę, na próżno czekałyby czarne dzieci na pomoc.

Z początku niby układa Maciuś plan, co zrobi, jak już będzie u celu. A potem przestaje myśleć — nic nie wie — jakby nie był wcale człowiekiem, jakby był tylko maszyną, która bije wodę wiosłami, jakby był żelazną śrubą okrętową, którą widział podczas pierwszej podróży do Bum-Druma.

I nie zdziwił się ani ucieszył, kiedy zobaczył miasto nad rzeką.

Są biali. Jest poczta. Jest biały garnizon. Jest telegraf. Telegrafista był jeszcze w swoim mieszkaniu. Ładny domek niedaleko rzeki — w ogródku. Patrzcie tylko: tam takie nieszczęście, tyle dzieci ginie, a tu żyją sobie ludzie spokojnie i nic nie wiedzą. Telegrafista podlewa kwiaty na klombie, a koło niego w białej sukience biega wesoło taka mała dziewczynka jak Ala — i zajada chleb z miodem.

— Pan jest telegrafistą?

— No ja — bo co?

— Proszę w tej chwili podać depezę.

— Zaraz, mój kawalerze. Jeszcze nie ma dziewiętej. Muszę podlać kwiaty, zanim słońce zacznie przygrzewać.

— Ale ja nie mogę czekać.

Maciuś nie może czekać. Ot, zaraz upadnie i zaśnie. I będzie spał chyba sto lat. A tam dzieci czekają.

— Jestem król Maciuś.

— Król Maciuś?

— Dwie noce nie spałem... Tam umierają dzieci. Potrzebna pomoc.
Telegrafista stawia polewaczkę. Maciuś chwytą ją i wylewa wodę na głowę, żeby się orzeźwić.

— Prędzaj, bo zasnę.

— No już dobrze — dobrze.

A tu żona:

— Michale, nie jadłeś śniadania.

— Zaraz wrócę.

— Wypij przynajmniej mleko.

Ale Maciuś ciągnie telegrafistę, zawisł na jego ręce.

— Prędzaj.

— Już idę.

I zaczyna krawat sobie wiązać.

Wreszcie są przy aparacie.

— No więc co?

— Nie wiem — jęknął Maciuś. — Jak tylko będzie odpowiedź, niech mnie pan obudzi natychmiast.

Widzi telegrafista, że Maciuś śpi.

— Kie lichy?

Telefonuje do policmajstra. Policmajster śpi jeszcze. Wczoraj był na balu u gubernatora.

— Ano zobaczymy.

I posyła do komendanta portu depeszę:

Rano o ósmej przyszedł biały chłopak, nieznany, brudny, obdarty, strasznie zmęczony, mówi, że jest król Maciuś, że jakieś dzieci umierają. Potrzebna pomoc. Siedzi i śpi. Kazał się obudzić, jak będzie odpowiedź.

W pół godziny później była odpowiedź:

Natychmiast sprawdzić. Wezwać gubernatora. Wzmocnić straż, nigdzie bez dozoru nie puszczać. Czekam wiadomości.

W pięć minut później nowa depesza:

Czekam wiadomości. Król Maciuś uciekł z bezludnej wyspy. Sprawdzić, czy naprawdę Klu-Klu ogłosiła wojnę świętą czarnych dzieci. Gdzie jest jej obóz? Depeszę podał sekretarz Rady Pięciu.

W pięć minut później znów aparat stuka:

Czy Maciuś przybył z obozu czarnych dzieci? Jeżeli tak, gdzie się obóz znajduje? Ile jest dzieci? Czego potrzeba? Sekretarz Czerwonego Krzyża.

W pięć minut później:

Donieść natychmiast, w jakim stanie przybył Maciuś: czy zdrow. Smutny król.

— Rozerwę się czy co, u kata — złości się telegrafista, bo znów telefon od policmajstra.

— Co robi ten chłopak?

— Śpi.

— Gdzie śpi?

— Na ławce.

— Czy oddycha?

— Oddycha.

Znów dzwonek:

— Mówi gubernator.

— Powściekali się czy co? Śniadania nie jadłem jeszcze. Albo przez cały dzień ani jednej depezy, albo — świat się wali. Jakby człowiek miał cztery ręce.

— Ej, ty, chłopak, król Maciuś, czy jak cię tam! Czy oddychasz? Pamiętaj, żebyś oddychał. Policmajster kazał.

A sam znów do aparatu. A tu pod oknami stają żołnierze z karabinami, jak do strzału. Wpada przestraszona żona telegrafisty:

— Uciekaj, strzelać będą.

Dziecko płacze.

A Maciuś śpi — ani drgnie.

I śpiącego porównywa gubernator z fotografią Maciusia.

— Chyba ten sam. Co prawda fotografia sprzed roku. Ale chłopcy w tym wieku rosą. Cóż by miał zresztą kłamać? Daj pan depezę, że Maciuś.

I znów po drutach biegnie w daleki świat wiadomość:

Zdaje się, że istotnie Maciuś. Dobudzić go nie można. Co oczy otworzy, to znów śpi. Przybył czołnem murzyńskim sam. Posłałem po doktora, żeby go ocucił.

Doktorowi udało się obudzić Maciusia. Oprzytomniał. Ucieszył się z depezy Czerwonego Krzyża. Podyktował odpowiedź:

Potrzebna żywność i dużo lekarstw. Dzieci chore i głodne. Najważniejszą pośpiech, bo mogą wszystkie wyginąć. Dzieci dużo. Ile — nie wiem. W obozie byłem tylko parę godzin, bo musiałem się spieszyć. Byłem w nocy. Błagam o ratunek dla nieszczęśliwych. Możecie ze mną robić, co chcecie, ale im musicie dopomóc. Król Maciuś.

Doktor przyłożył rurkę, wysłuchał serce Maciusia i powiada:

— Dajcie mu już, panowie, spokój. Niech śpi. Bo może dostać zapalenia mózgu i wtedy gorzej, bo będzie plótł trzy po trzy i nic się nie dowiecie..

Więc dali Maciusiowi szklankę mleka, rozebrali go, położyli do łóżka. I Maciuś spał cały dzień — i obudził się o godzinie jedenastej wieczorem.

Wiadomości były pomyślne.

Cztery statki naładowane żywnością są w drodze. I chociaż pod wodę trudniej płynąć, za dwa dni mogą być w miejscu postoju Maciusia. Jeden szpital wyruszy zaraz: pojedzie dwóch doktorów, czternaście siostr miłosierdzia. Wraz ze szpitalem pošlą aparat telegrafu bez drutu, żeby z samego obozu można było wysłać wiadomości. Jeżeli Maciuś weźmie na siebie odpowiedzialność, że to nie zasadzka na białych, można pod jego dowództwem wysłać dwustu żołnierzy i robotników. Gubernator już dostał potrzebne polecenie.

Potrzebna jest odezwa Maciusia do białych dzieci, żeby dały ofiary: śniadania, zabawki, pieniądze i książki z obrazkami.

Tegoż zaraz dnia Maciuś odezwę napisał:

Mili bracia i siostry, białe dzieci. Teraz najlepiej możecie pokazać, że jesteście dobre. Jeżeli kto chce mieć prawa, musi przekonać wszystkich, że ma rozum i dobre serce. Nieszczęśliwe dzieci czarne nie mają pomocy, więc pokażcie, że chcecie im pomóc. Macie ładne sukienki, jecie smaczne rzeczy, bawicie się i chodzicie do szkoły, podlewacie kwiaty, macie chleb z miodem. A czarne dzieci są chore i umierają z głodu. Mówię wam prawdę. Byłem w różnych krajach, na różnych wojnach. Widziałem wiele nieszczęść. Ale wszystko to nic w porównaniu z obozem czarnych dzieci. One są najniebezpieczniejsze, bo nie tylko małe i słabe, ale w dodatku dzikie. Więc trudniej im coś wymyślić, żeby się ratować. Spieszcie z pomocą.

Król Maciuś Pierwszy

Statki nie były duże, więc i żywności nie było tak wiele. Ale na początek i to dobre.

Trudno opisać radość czarnych dzieci, gdy Maciuś powrócił. Żołnierze szybko wyladowali statki, które bez chwili zwłoki ruszyły z powrotem po nowe zapasy.

Maciuś chciał nakarmić naprzód najmniejsze, ale Klu-Klu radziła naprzód dać starszym, żeby mogły pomagać. Mleko i inne produkty były w puszkach blaszanych i nic prócz wody nie trzeba było gotować. Zamiast żołnierskich sucharów przysłano bardzo smaczne białe, słodkie herbatniki, bo dzieci miały chore żołądki. Było to śniadanie, jakiego czarne dzieci nigdy w życiu niejadły. Ale nie dziwiły się niczemu, bo i statki, które pierwszy raz w żydu widziały, i skrzynie, i worki — wszystko uważały za cud. I tylko czekały, czy nie zrobią się zaraz tak białe jak mleko, które im dawano w kubkach, blaszanych pudełkach i łupinach kokosowych orzechów.

Porządek był doskonały. Nikt się nie bił, nie pchał, nie przezywał.

Śniadanie trwało cały dzień. Wieczorem gotowa już była stacja telegrafu bez drutu i Maciuś wysłał depeszę, że czarne dzieci dziękują za śniadanie.

A w nocy przyfrunęły dwa aeroplany, a w nich doktor i najkonieczniejsze lekarstwa.

Kiedy po dwóch tygodniach przybyli najważniejsi panowie z Czerwonego Krzyża, nie chcieli wierzyć, że czarne dzieci naprawdę były w takim opłakanym stanie. Ale szereg mogli za obozem przekonał ich, jak było źle.

A białe dzieci, które zaraz po odezwie Maciusia, zaczęły zbierać, co tylko można — zaraz na drugi dzień otrzymały depeszę Maciusia z podziękowaniem za pierwsze śniadanie. I myślały, że ich dary tak prędko dojechały. Więc jeszcze bardziej je to zachęciło i jeszcze więcej zaczęły dawać. Więc jak to bywa zwykle, jedne dawały, co naprawdę potrzebne, a drugie — co im się znudziło albo było złamane i do niczego.

Przysyłano lalki bez głów, harmonijki, które nie grały, zapisane kajety, połamane szczotki do zębów, loteryjki, gdzie brakowały numery, abażury z różowej bibułki, zakładki do książek, skórzane paski do łyżew, wypalone latarki elektryczne, pęknięte piłki, młotki krokietowe, wualki, pudełka od papierosów; było z tym wiele kłopotu, ale dzieci się cieszyły.

Jakaś dziewczynka przysłała doniczkę z kwiatkiem, który usechł w drodze, a jeden chłopiec przysłał wszystkie książki szkolne, zapytując w liście, czy czarne dzieci lubią się uczyć, bo on nie bardzo.

Teraz jest już czynny nie jeden, ale trzy szpitale. Ale czarne dzieci są bardzo mocne, więc od razu wszystkie wyzdrowiały i w szpitalu tylko je kąpano i strzyżono włosy, w drugim uczono myć zęby i urządzono pogadanki przyrodnicze o wycieraniu nosów. W szpitalu chirurgicznym przekłuwano dziewczynkom uszy, żeby nosiły kolczyki.

Rozdano dzieciom chorągiewki białych narodów. Nauczyciel gimnastyki urządził pierwszą orkiestrę dętych instrumentów i uczył europejskich tańców. Dzieci murzyńskie były tak zdolne, że po miesiącu odbył się pierwszy mecz piłki nożnej, a starsze dziewczynki były upudrowane i wyglądały naprawdę jak białe.

Jedzenia było już dosyć. Zaczęto przysyłać odzież. Cały statek serwetek i rękawiczek, potem kapy na łóżka, firanki, wreszcie koszule.

Nowa praca, bo do kap trzeba dorabiać łóżka. I niejedna odwieczna palma padła pod elektryczną siekierą. Serwetki przerobiono na fartuszki dla dziewczynek, a firankami zasłaniano małe dzieci na noc, żeby je chronić od komarów i moskitów.

Murzynki-matki zaczęły zabierać po trochu dzieci do domu. A dziecko brało cywilizację i wesoło ruszało w drogę.

I im mniej było dzieci, tym więcej przyjeżdżało białych, żeby je ratować.

— Cóż, Klu-Klu — mówi Maciuś — stało się tak, jak chciałaś. Biali pokochali Murzynów, przyjeżdża ich coraz więcej. A wielu mówi, że już zostaną na zawsze. Jutro przybędzie statek z kinematografem i gramofonami. W każdej chacie wisi portret białego króla. Czy nie uważasz, Klu-Klu, że nawet małpy już są mniej dzikie, niż były?

Tak było w istocie. Wszyscy dobrze wiedzą, że małpy lubią naśladować: co widzą, zaraz robią to samo. Dopóki nie było białych, laziły po drzewach, patrzyły na ludożerców. Teraz ośmieliły się, chodzą po obozie, patrzą na białych.

I dentysta przysłany do obozu przez związek dentologów przysięgał na wszystkie świętości, że widział orangutana z dwoma złotymi, plombowanymi zębami.

— A mnie małpa ukradła brzytwę do golenia — powiedział fryzjer przysłany przez koło kobiet, bo uczył młodzież używać wodę kolońską i czesać się grzebieniem.

W krótkim przeciągu czasu zrobiono istotnie wiele.

— Cóż, Klu-Klu, jesteś zadowolona?

— A ty nie, Maciusiu?

Maciś westchnął. Cieszył się, że dopomógł dzieciom murzyńskim, ale mu żal wyspy bezludnej i — prawdę trzeba powiedzieć — tęsknił do białych dzieci.

Bo tak znów ciągle tylko — czarne i czarne.

Każda poczta przynosi mu listy z ojczyzny. To ten, to ów napisze, że cieszy się, że Maciś się znalazł, że jest zdrow i pracuje. Ale zaraz pytanie:

Dlaczego do swoich nie wraca?

Napisała Irenka, że lalka do sufitu stukła się. Napisał Antek, że mu się źle powodzi. Napisał Stasio, że został na drugi rok w klasie, bo nauczyciel arytmetyki niesprawiedliwie postawił mu dwójkę. A na dole Helcia dopisała:

Czy pamiętasz, Maciusiu, jakieśmy się o grzyb pokłócili?

Co tu gadać: każdy ciągnie do swoich. Miłe są małe dzikusy, miło, że uratował i pomógł. Ale teraz niech Klu-Klu rozpocząć pracę prowadzi, bo już łatwiejsza, i sama sobie poradzi. A jemu by warto do domu.

Choćby na jeden dzień tylko. Pochodzić po swojej stolicy, zobaczyć pałac i park królewski. Tak dawno już tego nie widział.

No i w sprawie pomocy dla dzieci murzyńskich wybrał się w podróż do Europy. Pojedzie na naradę z królami, co można jeszcze zrobić dla czarnych ludzi, żeby to już była wojna ostatnia.

Wsiadł na statek. Orkiestra gra. Dzieci stoją na brzegu rzeki z chorągiewkami — śpiewają, krzyczą: „Niech żyje!”, i nie po swojemu, ale w ojczystym Maciusia języku.

Płynie teraz Maciś wygodnie. Ma piękną kajutę. Śpi na materacu. Znów szczęście się odwróciło. Jest w porcie. Zanim okręt wyruszy, zamieszkał w hotelu.

— Co mnie znów spotka nowego? — pyta się, jakby wiedział, że jeszcze nie koniec.

I wcale się nie zdziwił, gdy nagle w nocy jacyś dwaj ludzie w maskach na twarzy związali mu we śnie usta ręcznikiem, chustką przewiązali oczy, zarzucili płaszcz i bosego wyprowadzili. Szybko mknie samochód z Maciusem.

„Młody król porwać mnie kazał — domyślił się Maciś. — Jestem w jego władzy”. I tak było właśnie.

Tak właśnie było.

Zmuszono młodego króla, aby zwrócił zagrabione Maciusiowi ziemie; nawet portu mu nie oddano. A co najboleśniesz — kazano oddać ojcu tron i koronę.

Jeżeli ktoś jest zły i silny, to bije i robi, co mu się podoba. A jeżeli słaby i nie ma racji — robi plotki. W każdej szkole jest ktoś, kogo nazywają „płociuchem”, a królów, że są królowie, nie nazywają plotkarzami, tylko — intrygantami.

Chciał zrobić młody król intrygę, że Maciś zwariował. Ale mu się zupełnie nie udało. Cały świat widzi teraz, że Maciś jest dzielny chłopak i bardzo zmyślił na bezludnej wyspie. Tak doskonale sobie poradził, tak prędko pomógł czarnym dzieciom. W kinematografach pokazywali, jak czarne dzieci już myją zęby, wycierają nosy, nawet mają serwetki do ust i papier klozetowy. To się nazywa kultura albo cywilizacja. I kto wszystko tak zrobił, nie może być wariatem.

Dorośli teraz częściej mówili, że dzieciom trzeba dać prawa. W niektórych szkołach wprowadzono samorząd, pisano gazetkę szkolną. Urządzono w wielu miastach kluby dla dzieci. Nauczyciele zbierali się i radzili, co robić, żeby w klasie było cicho i żeby nie dawać łap, nie ciągnąć za uszy, nie stawiać w kącie. Znów pozwolono sprzedawać fotografie Maciusia, a za zielony sztandar tylko krzyczeli, ale nie zostawiali w kozie. Rozumie się, że nie wszyscy byli zadowoleni, ale byli i tacy, którzy mówili, że nic by się złego nie stało, gdyby dzieci miały własnego króla.

W mieście Kikikor odbył się pierwszy zjazd dzieci szkolnych z całego kraju, po jednym z każdej szkoły.

I ten zjazd — to był prawie parlament.

Więc młody król-intrygant widzi, że źle. Nie jest królem, tylko następcą tronu, a ojciec stary, na wszystko się zgadza. Więc zebrał takich samych jak on intrygantów i potajemnie radzą, co zrobić z Maciusiem. Do bandy młodego następcy tronu należał szpieg, jeden generał, jeden pułkownik, jeden naczelnik więzienia, dwóch adwokatów, żona ministra i kilku zwyczajnych łobuzów. Oni to właśnie porwali Maciusia i pod obcym nazwiskiem osadzili w najcięższym więzieniu.

Bo więzienia tak samo jak szkoły bywają różne. Jedne lepsze, a drugie bardzo surowe.

Więzienie, gdzie osadzono Maciusia, była to stara, zrujnowana forteca, przeznaczona dla największych przestępców. Tylko dwa razy na rok dawano kawę, a tak — tylko wodę i chleb razowy. Spacerów żadnych, tylko ciężkie roboty, najczęściej pod ziemią. Podczas roboty nie wolno było rozmawiać. Za każde słowo dawano jedną różgę. Dziesięć słów — dziesięć różeg, sto — sto.

Roboty podziemne były takie, że niby to jest kopalnia węgla. Taki długi podziemny korytarz i trzeba kosztami węgla wynosić. Ale co wynieśli jednym wejściem korytarza, to druga partia musiała zaraz wnosić drugą stroną. Więc więźniowie widzą, że i tak wszystko na nic, i jeszcze nieprzyjemniej pracować. A dozorczy batami poganiają. I nic dziwnego: są tu więźniowie, którzy już po trzy razy siedzieli w zwyczajnych więzieniach i nie chcą się wcale poprawić: co ich wypuszczą, ci znów to samo. Jeżeli ktoś nieporządny, ale chce się poprawić, można poczekać; ale jak się nie chce poprawić, to trudno: sam sobie winien.

Ano, poznał Maciś najgorszych ludzi, jacy są na świecie. Nic wprawdzie nie wiedział Maciś, za co tu siedzą, bo rozmawiać nie wolno, ale dość było spojrzeć na ich straszne twarze, żeby się domyśleć. Każdy inny na miejscu Maciusia umarłby ze strachu, ale Maciś widział tylu ludożerców, że bez obawy schodzi z nimi w podziemia.

Dozorcom płacą tu dwa razy większą pensję niż w innych więzieniach: trudno radzić sobie z awanturnikami, strasznie trzeba pilnować i nieprzyjemnie żyć z nimi razem. A i tak nie bardzo chciał iść tam kto za dozorcę, więc może połowa dozorców byli tacy, którzy z więźniów niby się poprawili. I ci najsurowsi. Znają wszystkie sztuki najgorsze więźniów i nie można nic przed nimi ukryć.

I tu znalazł się nagle Maciś z kraju zielonych palm i najpiękniejszych ptaków. Tu, gdzie nie ma ani jednego listka, tylko wszędzie czarny pył węglowy. On, który oddychał powietrzem morza i lasów, musi pracować w dusznych podziemiach i spać w norze kamiennej na mokrych ceglach. On, który nie gorzej od Klu-Klu umie chodzić po drzewach, wlecze się krok za krokiem, ciągnąc ciężkie kajdany. A zamiast szelestu liści słyszy świst bata, zamiast śpiewu kanarka słyszy najgorsze przekleństwa. Tam jadł słodkie banany, soczyste owoce, a tu chleb ze stęchlą wodą.

Zbrodniarze zdziwili się bardzo, kiedy go zobaczyli. Aż jeden nie wytrzymał:

— Ilu ludzi zabiłeś, że cię tu wsadzili? — zapytał.

I już chciał Maciś odpowiedzieć, gdy drugi krzyknął:

— Nie odpowiadaj, mały chłopczyku, bo za każde słowo różgę dostaniesz!

— Ty się nie wtrącaj. Nie zdechnie od paru różeg.

Kłóć się i już do bicia się porwali. A dozorca zapisuje na tabliczce, ile słów powiedzieli. A że trudno obliczyć, więc dodał każdemu trochę. I zapisał Maciusia, choć on nic nie mówił.

Nosi Maciś swój kosz, ale dziwi się, że lekki. A koledzy mu zamiast węgla kładą kawałki lekkiego torfu — i tylko na wierzchu sypią trochę miału.

A tam znów inni odbierają kosz i też, niby że ciężki, niosą i wysypują. A wieczorem jeden z więźniów pcha mu coś czarnego do ręki i mówi szeptem:

— Tylko schowaj dobrze.

— Co to jest? — zapytał się Maciś.

— Cukier — odpowiedział tajemniczo więzień.

Była to kostka cukru, ale taka brudna, że zupełnie czarna. Maciś wiedział, że jeść nie będzie, ale schowa jako pamiątkę.

Kiedy wieczorem stał przed kancelarią, bo go wywołano na różgi — znów jeden więzień wsunął mu coś w rękę: był to zasuszony kwiatek koniczyzny. Długo przyglądał się

Maciuś, zanim się domyślił, co to za kwiatek. Więźniowie litowali się nad nim i dawali, co kto miał najdroższego. A z kancelarii rozlegały się krzyki tych, których bito.

Wreszcie przysła kolej na Maciusia.

— Chodź, psisynu! — krzyknął dozorca i pochwyciwszy za kołnierz, podnosi go w górę jedną ręką, a w drugiej trzymał rzemienny bat.

Zatrzasnął drzwi i mówi:

Jak ci powiem: „krzycz”, to krzyknij: „oj, boli!” Rozumiesz? Nie będę cię bił. Tylko pamiętaj, żebyś mnie nie zdradził. Rozbieraj bluzę, prędko. No, krzyknij!

— Oj, boli! — krzyknął Maciuś.

A dozorca uderzył batem w ławkę.

— Jak się nazywasz, biedny chłopczyno?

I buch rzemieniem w ławkę.

— Oj, boli! — krzyczy Maciuś. — Nazywam się Maciuś. Oj, boli, boli!

A dozorca, co uderzy w ławkę, maluje na plecach Maciusia czerwoną farbą taką wielką pręgę, jakby od bicia.

— Oj, boli! — krzyczy Maciuś, bo znów dozorca uderzył w ławkę i znów mu pręgę zrobił na plecach czerwoną farbą.

— Teraz cicho krzycz, niby że już nie możesz. A potem zemdlejesz. Twoje szczęście, że nie ma dzisiaj naczelnika, bo nie zawsze sztuka się udaje. No, a teraz już cicho. Zamknij oczy.

Wziął Maciusia na ręce i niby zemdlonego wynosi do celi.

A na noc dali mu do celi jeszcze jednego więźnia, niby że chory.

Jeszcze wieczorem naczelnik sprawdza cele.

— A tu kto?

— Ten mały nowy więzień.

— A po co ten drugi?

— Bo zemdlął przy biciu.

— Pokaż.

Zdjęli z Maciusia bluzę — pokazują plecy przy ciemnym świetle latarki.

— Nie szkodzi: przyzwyczai się. Kajdany możesz mu zdjąć: nie ucieknie. — Roześmiał się i wyszedł.

— Ej, chłopak — mówi więzień — nie udawaj no. Przecież ciebie nie bili.

— Oj, boli! — jęknął Maciuś, bo się bał podstępu.

— Głupis: pomalowany jesteś tylko. Dozorca zabronił ci mówić. Ale to tylko dla naczelnika. Żeby wszystko robić, jak każą, to by tu nikt roku nie przeżył. Muszą używać sposobów. Dla słabszych i chorych mamy lekkie koszyki i farbę zamiast różeg. Po głosie możemy poznać, kto naprawdę krzyczy. Niejednego się dowiesz, jak tu pobędziesz. Za co cię tu wsadzili?

— Za wielkie zbrodnie. Chciałem dać dzieciom prawa i dlatego wielu ludzi zabili.

— Ilu — trzech — czterech?

— Więcej niż tysiąc.

— Tak — tak, mój synu, często tak jest, że człowiek chce jedno, a wyjdzie całkiem inaczej. I ja byłem kiedyś małym chłopakiem, chodziłem do szkoły, mówiłem pacierz, a ojciec, jak z roboty wrócił, przynosił cukierki. Nikt się nie rodzi w kajdanach. Dopiero ludzie nałożą na ciebie żelaza.

I jakby na potwierdzenie tych słów, brzęknął łańcuchami.

I ostatnią myślą Maciusia, zanim zasnął, było:

„Jak on to dziwnie powiedział. Smutny król mówi podobnie”.

Miał już Maciuś taką naturę, że nigdzie nie było mu źle, byle coś nowego zobaczyć. Więc pierwszy tydzień, choć więzienie było straszne — przeszedł mu prędko. Dozorca krzychał na niego „psisynu” i groźnie wywijał batem, ale go nie uderzył. Kajdany zdjęli i nawet się trochę wstydił, że jest wyjątkiem. I zbrodniarze już mu się mniej straszni teraz wydają. Jeżeli który zaklął zbyt brzydko, zaraz ktoś się odzywa: „Wstydu nie masz, przy dziecku klniesz, jak ostatnia cholera”. Robią z chleba różne rzeczy i dają Maciusiowi.

— Masz, raku zatracony, baw się.

Chleb do lepienia trzeba długo gryźć w ustach, żeby się zrobił zupełnie miękki bez jednej kruszynki; wtedy można ulepić, co się tylko chciało. A więźniowie najczęściej lepiłi kwiaty. Za to Maciuś rozdał w niedzielę swoje papierosy. A wszystko to było jakieś tajemnicze i bardzo ładne, bo nic nie mówili, a wiedział, że go lubią.

„Biedni ludzie — myśli Maciuś — niby są biali, a mało się różnią od ludożerców”.

I bójkę ich były dziwne. Pobiją się, pokrwawią, a nie ma w nich złości; jakby się z nudów bili i tęsknoty.

— Jeden los nas bije — usłyszał raz Maciuś.

Długo myślał, leżąc na tapczanie, co znaczy los.

Po tygodniu zmieniono mu celę na lepszą, bo stał w niej piec i nie było tak zimno. Śmieszne się może wydać, że lepsze są cele z piecami, bo w nich nie palono nigdy. A jednak przyjemniej, gdy stoi sobie w kącie, bo jest nadzieja, że może zapalać. Niektórzy więźniowie podobno kradli po kawaleczku, a jak już garstkę węgla uciułał, co czasem dwa miesiące trwało — to sobie wreszcie raz napalił zapalką od papierosów. Bo do dziesięciu niedzielnych papierosów dodawali siedem zapalek.

W niedzielę przez dwadzieścia minut wolno było rozmawiać. Rozmawiali najczęściej o kawie.

— Podobno w tym roku mają dawać po trzy kostki cukru.

— Co rok tak mówią od lat dziesięciu, jak tu siedzę. Może mają dawać, a sami zżerają, psiakrew.

— Czego w niedzielę, chamie, przeklinasz?

— Zapomniałem.

— To nie zapominaj, psiajucho.

Aż naczelnik wyjechał służbowo na tydzień do stolicy. Niby się nic nie zmieniło, a wszyscy się cieszą.

— Naczelnik wyjechał.

Więc co? Tak samo noszą kosze z węglami, tak samo łańcuchy brzęczą, tak samo bat świszczce i nie wolno rozmawiać. Nawet tak samo wywołują co wieczór na różgi do kancelarii; a jednak jest jakby swobodniej.

I w Maciusia wstąpiła nadzieja.

Pod wieczór rzucił się dozorca na Maciusia:

— A ty co myślisz, żeś lepszy? Myślisz, żeś dziecko? Tu nie ma dzieci, a kryminalni. Kajdany mu zdjęli, to, psu bracie, myślisz, że szlachcic. Do kancelarii!

Znów krzyczał Maciuś: „Oj, już nie będę, oj, boli, boli!”, znów ławka dostała, że aż huczało. Znów dozorca kazał zemdleć z bólu i zaniósł go nie do celi, ale do siebie.

— Słuchaj, mały, tylko bez bujania, czy to prawda, że jesteś królem?

— Jestem.

— Bo mnie tam wszystko jedno. Nie dlatego mówię, żeś król, ale żeś podobny do synka, który mi umarł. Jedyne szczęście miałem w psim życiu i Bóg je zabrał. A potem przyszło to wszystko. Więc ruszaj na cztery wiatry, rozumiesz, bo jak nie, to...

Z przyzwyczajenia wywinął batem w powietrzu.

— Bo jak nie, to wiedz, że każdy po roku już ma suchoty, a po dwóch latach kopyta wyciąga, rzadko który pięć lat przeżyje, a tylko sześciu mamy, którzy wytrwali lat dziesięć. I to są chłopcy jak dęby, a nie takie pisklęta jak ty. Więc ruszaj, psu bracie, mówię ci jak ojciec rodzony — i pomódl się tam, na wolności, za duszę mojego dzieciątka, bo modlitwa katorżna i Bogu niemiła.

Wyjął z kufierka ubranie zmarłego jedynaka, a zanim ubrał Maciusia, trzy razy ucałował.

— Takie same miał, psu synu, oczy jak ty i taką samą miłą jak ty mordę.

I zapałował.

A Maciuś sam nie wie, czy ma się cieszyć, że wolny, co mówić, co robić.

I tak jakoś dziwnie mu się zrobiło, jakby go stąd wyganiano, i objął za szyję rękami dozorcę.

— Poszedł won — odepchnął go więzień-dozorca i wyrzwał batem w ławkę, aż huknęło.

Ale uciec z celi łatwiej niż opuścić twierdzę otoczoną murem wysokim i rowem z potrójną strażą. Tydzień cały ukrywał dozorca Maciusia w komórce. Pod deskami, obok dawnego placu gimnastyki wojskowej. Cztery dni przesiedział Maciś w starej czatowni na murze więziennym. Akurat były noce księżycowe, nie można uciekać.

Więc dowiedział się Maciś, co później było. Więc dozorca zameldował w kancelarii, że Maciś umarł pod batem.

— I po co było tak bić szczeniaka? — krzywi się felczer. Co będzie, jak sąd się upomni?

— A lichy wiedziało, że taki słaby.

— Trzeba się było mnie spytać. Nie mogłeś wiedzieć, boś nie sanitarny. Jeżeli trzymają człowieka uczonego, to właśnie dlatego, żeby się było kogo poradzić.

— Pierwszy raz dzieciaka mi dali.

— No właśnie. I trzeba się było zapytać, jak bić.

— Naczelnik widział pręgi i nic nie mówił.

— Bo naczelnik nie uczył się medycyny. Jego rzecz pilnować porządku, a za życie i zdrowie ja jestem odpowiedzialny przed królem i kolegami. Tak, mój kochany, uczyłem się medycyny u profesora Kapusty, u radcy sanitarnego Kapusty. Łysy był jak kolano, a wszystko z rozumu. Koledzy moi, Virchow i Dżenner — mają pomniki. A ja co? Jak trzeba dać różgi, to każdy robi po swojemu. A kto musi głowę łamać, żeby papiery były w porządku?

Nalał do szklanki spirytusu, wypił, dmuchnął i pisze:

Dnia tego i tego — widziałem zmarłego więźnia...

Jak on się nazywał?

Dozorca powiedział nazwisko wymyślone, pod którym Maciusia zapisano w więzieniu.

... Krajałem zmarłego. Wzrost i metr 30 centymetrów. Wiek lat jedenaście. Na skórze ani w kościach żadnego śladu pobicia i żadnych siniaków nie znalazłem. Skóra gładka, jak potrzeba, więc więzień był dobrze karmiony. W płucach znalazłem dużo dymu od papierosów. Serce zwyrodniałe od wódki. Śmierć nastąpiła dlatego, że więzień w młodości palił papierosy i był pijakiem. Znalazłem serce pijaka, wątrobę pijaka, wszystko pijaka, zgodnie z badaniem Virchowa i Dżennera.

Nieboszczyk miał trzy razy szczepioną ospę i otrzymywał różne lekarstwa z więziennej apteki, ale uratować go żadną miarą nie mogłem.

Felczer znów wypił pół szklanki spirytusu. Podpisał i przyłożył dwie pieczęcie: jedną — izby przyjęć, drugą — kancelarii sanitarnej.

— Na, masz. A na drugi raz, jeżeli się nie poradzisz, to napiszę zwyczajnie: zmarł z pobicia. I będziesz miał kram. Rozumiesz?

— Rozumiem, panie profesorze.

— No już dobrze — dobrze. Napij się i ty trochę.

— Pokornie panu profesorowi dziękuję.

— Ja tam nie profesor, a zwyczajny felczer. Ale uczyłem się u profesorów. Dwie piątki miałem na patencie: z anatomii i chemii. Wodę pod mikroskopem i powietrze widziałem. Sam radca sanitarny mnie egzaminował. A łysy był jak kolano.

Czytał Maciś świadectwo, bo mu je dozorca przyniósł do czatowni.

— Czytaj, Maciusiu, a jak ci się znów uda być królem, będziesz przynajmniej wiedział, jak ludzi męczyć. Nie jesteśmy najlepsi, to prawda, ale i najgorszym należy się sprawiedliwość.

Te cztery dni, które spędził Maciś w czatowni, kiedy nic nie mógł robić wtulony w kąt — i tylko słuchał, jak wicher wyje przez otwory okien — porównywał Maciś z samotną wieżą na bezludnej wyspie — i myślał, czym one do siebie podobne.

A piątego dnia przyjechał naczelnik. Zebrał wszystkich więźniów i krzyczy:

— Jak tu przyjadą i będą pytali, czy był między wami jaki mały więzień — taki chłopak — żebyście powiedzieli, że nie. Rozumiecie? Jeżeli kto powie, że tak, dostanie dwieście batów. A jeżeli powiecie, że nie, to do kawy na Wielkanoc dostanie każdy cztery

kostki cukru. Rozumiecie? Nie chcę was oszukiwać: ten mały zbrodniarz dostał się tu nieformalnie. Ale już odesłaliśmy go do innego więzienia. Więc każę wam i rozkazuję, żebyście zapomnieli raz na zawsze, że on tu był. Rozumiecie? Albo dwieście batów, albo cukier.

— Co nie mamy rozumieć. Tylko zawsze łatwiej zapomnieć, jak się coś wypije. — Mówi najstarszy więzień-delegat.

— Więc dobrze: dostaniecie po kieliszku wódki.

Siedzi Maciūs w swojej czatowni i rad, że przez niego taką mają biedacy uciechę: wódkę dostali.

Bo nie mówiłem, co to była za awantura po porwaniu Maciūsia.

— Co wiele gadać — powiadają królowie — porwany został przez następcę tronu.

Następca tronu udął obrażonego.

— Jeśli porwałem, więc szukajcie. Prawda: nie lubiłem Maciūsia. Ale czy ja jeden? I między Murzynami miał Maciūs wrogów. Ile to czarnych przez niego zginęło. A i biali królowie nie wszyscy go lubią. Orestes jest zły na Maciūsia. Cesarz Pafnucy też nie znosi Maciūsia, bo od przygody na Fufajce nie może przyjść do zdrowia: stracił sen, często miewa bólesci i bóle głowy. Ale rozumie młody następca tronu, że będą szukali. No i choć Maciūs w więzieniu, ale mogą znaleźć. Więc się ucieszył, że Maciūs nie żyje. Już teraz będzie przynajmniej spokój.

A tymczasem wiedzą już królowie, dokąd zajechał samochód z Maciūsiem. Badają właściciela hotelu, rybaków-przewoźników, robotników portu, marynarzy.

Jakaś kobieta widziała samochód. Skręcił na prawo. Tu zatrzymali się, bo im pękła opona. Tam jedli śniadanie, a mały chłopak zajrzał do środka do samochodu, ale zaraz go odpędzili; nie wie, czy tam ktoś siedział. Wreszcie znaleźli ślad, gdzie Maciūsia prześli z samochodu na łódkę. Już wiedzą nawet, jakim jechał okrętem. Ale naprawdę dowiedzieli się wszystkiego przez zwyczajny przypadek.

I tak często bywa: zgubisz coś — szukasz, szukasz — i nie ma.

A tu nagle — już zapomniałeś nawet — i nagle znalazłeś.

Więc jeden adwokat chciał napisać książkę uczoną o więzieniach na całym świecie. Ilu w jakim państwie jest więźniów, za co ich wsadzono, jak długo siedzą, czy się poprawiają, czy się z nimi dobrze obchodzą, czy nie umierają. A już taki jest zwyczaj, że jak ktoś pisze uczoną książkę, wszyscy mu pomagają. I przez lat dziesięć jeździł ten uczony po wszystkich krajach całego świata — i pozwalali mu przeglądać papiery. I teraz był akurat w stolicy następcy tronu.

Cichy, zakurzony od starych papierów, które całe dnie czytał taki grzeczny — ciągle się tylko pyta, czy aby nie przeszkadza — za wszystko dziękuje — siedzi sobie i pisze, liczy, przepisuje. Oczy mu się od czytania popsuly — dwie pary okularów ma na nosie — nikogo nie poznaje. Na lokaja mówi: „Panie dyrektorze”, dyrektorowi departamentu chce dać na piwo, bo myśli, że to lokaj, pióro umoczył w herbacie, którą mu z litości postawili, bo od rana nic nie jadł. Śmieją się z niego i figle mu płatają urzędnicy.

— Głupi. Zdaje mu się, że się czego dowie z papierów. W papierach wszystko jest w porządku.

A uczony nic nie wie — pracuje.

— Przepraszam serdecznie, czy nie przeszkadzam? Bo nie czytałem jeszcze świadectw lekarskich. Ale przepraszam, bo może pan nie ma czasu?

— Nie szkodzi. Ej, woźny, daj tam panu z czternastej szafy dwa pudy papierów. Te zakurzone.

— Serdecznie dziękuję. Nie szkodzi, że zakurzone.

Woźny, już trochę znudzony — buch mu przed nosem na stół poźółkłe papierzyska. Ano, kichnął dwa razy.

— Serdecznie panu naczelnikowi obowiązany.

Ale pracowała w wydziale więziennym urzędniczka, która kupiła nową bluzkę, więc zła, że się zakurzy. Więc wzięła papiery najnowsze, z ostatniego tygodnia i mówi:

— Niech pan lepiej to czyta, bo są czyste przynajmniej. I dowie się pan, co jest teraz, a nie — sto lat temu.

— Serdecznie pani dziękuję. Owszem, i to ważne, i to ważne.

Serdecznie obowiązany. Pani się trudzi, dziękuję.

A na tej samej górze leży świadectwo Maciusia.

Wzrost zmarłego — 1 metr 30 cm. Wiek lat jedenaście... Więzień w młodości palił papierosy i pił wódkę.

Więc stary uczony miał syna, także adwokata — i napisał w liście, że znalazł bardzo ciekawy papier, że w najcięższym więzieniu umarł taki mały więzień:

Wiesz, kochany synu, że bardzo się cieszę, że taką ciekawą wiadomość będę mógł napisać w swojej uczonej książce.

A synowi błysnęła nagle myśl, czy to nie Maciuś przypadkiem. Co tu robić? Nie bardzo chce mu się jechać daleko, ale jedzie.

— Jeżeli się uda, będę od razu najslawniejszym adwokatem na świecie.

Stary przepisał dokładnie ten cały papier. A syn — było nie było — ogłosił w gazetach. Co książka napisze za lat dziesięć — gazeta ogłasza w jeden dzień — od razu.

Nie mogę za dużo opowiadać o jednym, więc dużo przepuszczam. Młody następca tronu bronił się jak mógł. Chce pokazywać papiery, ale nikogo nie wpuści do więzienia. Ale nie było rady. Stary król sam dał pozwolenie.

Felczer kręci, więźniowie ni to, ni sio — naczelnik więzienia się płacze. Widać, że sprawa nieczysta.

Wreszcie się wydało. Ale nie wszystko. Świat się dowiedział, że Maciuś nie żyje.

Nie wszystko się wydało. A jeśli dokładniej powiedzieć, nie dla wszystkich wydała się prawda. Każdy troszkę wiedział, a trochę się domyślał.

Więc tak: starego króla bardzo szanowali, nie chcieli mu robić wstydu. Więc niby młody król był wplątany, ale właściwie nie on, a jego generał. Dalej, Maciuś już na bezludnej wyspie był niezdrów, a potem męczył się zanadto w obozie czarnych dzieci i nawet się zaraził jakąś chorobą. Dalej, Maciuś nie umarł w więzieniu, tylko w szpitalu niedaleko więzienia. Więźniowie popłatali Maciusia z synem rzemieślnika, który odnawiał mieszkanie naczelnika więzienia. Był Maciuś w więzieniu, ale tylko jeden dzień.

Ten generał będzie ukarany. Choć i on nie jest winien. Zaszło nieporozumienie. Młody król wysłał depezę, żeby „usunąć przeszkodę”, a generał źle zrozumiał, że ma niby porwać Maciusia.

Właściwie winien telegrafista, bo nie tam postawił przecinek, gdzie trzeba.

Gazety się kłóciły, a każda inaczej pisała.

Zbrodnia czy nieszczęście — pisze największa na świecie gazeta. Stoimy wobec bolesnej tajemnicy. Z całego serca pragniemy wierzyć, że król Maciuś Reformator zmarł śmiercią naturalną, że nie został zabity. Ten mały król, męczennik, pierwszy król dzieci, waleczny rycerz i opiekun Murzynów, choć wielki, był jednak śmiertelny. Burzliwe życie mogło osłabić jego zdrowie. Zablysnął jak wielka gwiazda — i zgasł. Ciężka strata, słone łzy, bolesne westchnienie. Ale cios byłby straszny, gdyby istotnie zginął z rąk morderców.

Inna gazeta pisze:

Czy nie wszystko jedno? Bo jedno jest pewne: Maciuś nie żyje. Dopóki nie mieliśmy pewności, wszystko było ważne. Każda nowa wiadomość dyktowała wyrazy nadziei albo zwątpienia.

Inna znów gazeta:

Niech spoczywa w spokoju. Zasłużony bojownik, rycerz bez skazy, orzeł i lew pustyni. Świat ten niegościnnie pożegnał.

Inna znów:

Król-sierota. Pamiętajmy, że głowa w złotej koronie była głową dziecka-sieroty. Pamiętajmy, że pod purpurowym płaszczem królewskim bilo tęsknie serce dziecka-sieroty.

Wybaczono Maciusiowi wszystko. Kiedy jedna z gazet pozwoliła sobie na uwagę, że Maciuś w polityce popełniał czasem błędy, wszyscy rzucili się na redaktora, który przez tydzień bał się wyjść na ulicę i nie chodził do teatru, żeby go nie obili.

W szkołach pozwolono zbierać składki na pomnik Maciusia.

A siedemnaście tysięcy depesz nadeszło do jego stolicy:

Narodowi w żałobie zasyłamy wyrazy współczucia.

W nieszczęściu, które spotkało, niech was pocieszy uczucie dumy, że mieliście takiego króla.

Wasz król odniósł największe zwycięstwo : zdobył serca całego świata.

Ktoś, ale nie pamiętam kto, napisał, że dla uczczenia Maciusia byłoby dobrze wprowadzić jakąś jego reformę, dać dzieciom prawo, jedno z tych, o które Maciuś walczył. Odpowiedziano, że plecie głupstwa: jeżeli się zrobi to, czego chciał Maciuś, dzieci się będą cieszyły. I będzie wyglądało, że się dzieci cieszą, że Maciuś umarł, a to przecież byłoby nieładnie.

Dzieci powinny być smutne, że ich obrońca nie żyje. A Maciusia chwałą nie dlatego, że chciał dać dzieciom prawa, ale że był wielki reformator.

Idzie Maciuś szosą ciemną w kierunku swojej ojczyzny. Nie cieszy się. Tylko tak mu się płacze w głowie myśl, że ot i z więzienia go wypędzono. Miał dach nad głową, miał chleb — dlaczego akurat dozorca się zlitował i zmusił do uciezki? Ciężkie miał tam życie, ale czy nie trudniej myśleć, co robić dalej, niż nosić kosze z węglami? Pracować i tak musi, bo nie chce darmo jeść, choćby i dali. Ukrywać też się musi, bo nie może ciągle wojen prowadzić. Zatrzymał się i zapisał w swym pamiętniku:

Życie jest jak więzienie.

I jakby w odpowiedzi usłyszał śpiew słowika. Zatrzymał się, oparł o ogrodzenie i słucha.

Dlaczego ludzie nie są jak ptaki?

Wstąpił do karczmy, zjadł skromny posiłek. Postanowił iść pieszo. Niewielka suma pieniędzy wystarczy na drogę. Nie chciał jechać koleją. Wraca do kraju boso i na piechotę, tak jakoś wypada. Zresztą lepiej się myśli w drodze. Widocznie pszczołki głowy wtedy się kołyszą i prędeż fruują.

O swojej śmierci dowiedział się z gazety w miasteczku, przez które przechodził. Tak lepiej. Przynajmniej go szukać nie będą. W drodze z tym i owym zagada — podwiozą go małowiele — widzą, że z obcych stron. Znudzilo się Maciusiowi kłamać.

— Jestem sierota. Wracam tu i tu.

Na resztę pytań odpowiada:

— To długa historia.

I najciekawszy więcej się nie pytają.

Aż zaszedł do ziemi, której był królem. Ukłąkł i ucałował, jakby ją witał czy też przeproszał.

Zatrzymał go strażnik graniczny.

— Ty skąd?

— Ze świata.

— Dokąd?

— Do domu.

— A gdzie twój dom?

— Gdzie mój dom? Nie wiem.

— Masz papiery?

Przypomniał sobie Maciuś, że mu dozorca dał jakiś fałszywy papier. Podał go.

- Syn dozorczy więzienia?
- Nie — powiedział Maciuś z uśmiechem — syn króla.
- Ho-ho! Wysokiego jesteś rodu. No, ruszaj.

Nie uwierzył. A Maciusiowi wszystko jedno. Zmęczony. Nic mu pszczołki nie powiedziały — idzie w stronę stolicy, ale coraz wolniej. Zmęczony i głodny. Już nie ma ani grosza. Cały jego majątek fotografia matki — taka wytarta, że tylko jeden Maciuś poznałby królowę. Cały jego majątek — to ta fotografia, muszelka, kamyk i czarna kostka cukru — ołówka kawałek i ten kajecik-pamiętnik.

Zgodził się Maciuś za pastuszka.

Jest teraz Marcinkiem — dwie krowy pasie. Ciche zwierzęta. Lubią go.

Lubią go i ludzie. Cichy, posłuszny, usłużny i smutny; a najsmutniejszy, kiedy się uśmiecha.

— Musi dzieciak wielką przeszedł biedę: z oczu mu patrzy.

Były poranki chłodne, a Maciuś w polu krów pilnuje. Były deszcze i grady. Były dni upalne, że aż język zasychał. Maciuś jakby nie spostrzegał: swoje robi.

Ani razu nie skusił się, jak inni chłopcy, nie pobiegł do lasu na poziomki, jeżyny, jagody. Ani razu krowy nie wlażyły w szkodę.

A co wart, poznali sami gospodarze, kiedy jakaś dziwna gorączka przyszła. Nieważna choroba. Dwa dni zimno trzęsie, kości bolą, że jęczysz, w głowie szumi, a kaszel, zdaje się, piersi rozrywa. A potem osłabienie takie, że ledwo nogi wleciesz.

Jeden — tydzień bieduje, inny dłużej, a w całej wsi sam chyba Maciuś — dnia nie przeleżał. A każdego zastąpi, nic mu nietrudne, wszystko umie.

Chłop szanuje zdrowie.

— Na oko, chuchro — pańskie dziecko, a mocny.

Upodobali sobie Marcinka:

— Ostań na zimę.

— Zostanę.

Z chłopcami mało rozmawia. Bo chłopcy jak to oni:

— A co, a jak, a skąd?

— Dumny, nie chce mówić.

Probuje go wciągnąć do kompanii:

— Chodź, głupi, na gruszki. Ogrodnik wyjechał.

— Nie pójdę.

— Boisz się?

— Nie boję się, a nie chcę.

Swoje krowy mu zostawiają, wiedzą, że Maciuś usłuży. Ale niech weźmie zapłatę.

— Masz gruszkę.

— Dziękuję.

— Podziękujesz, jak weźmiesz. Dlaczego nie chcesz?

— Kradziona.

Jeżeli sam nie bierze, to pewnie zaskarży.

I to nie.

— Rwałś gruszki, urwisie?

— Nie rwałem.

— A wiesz, kto rwał?

— Może wiem, a nie powiem.

— Numerek! Pilnujcie tego przybłądy, gospodarze. Cicha woda brzegi rwie.

I trzasnął drzwiami.

— Każecie odejść? — pyta się Maciuś.

— A źle ci u nas?

— Dobrze, ale pan ogrodnik ma złość na mnie.

— Bo jesteś uparty. Trzeba powiedzieć, coś widział.

Maciuś się uśmiecha smutnym uśmiechem: ma opowiedzieć, co widział?

Nadeszła zima.

— Czy mogę chodzić do szkoły?

— Jak cię wezmą, to chodź. Roboty mało.

Idzie Maciuś do szkoły.

— Znajda idzie.
Maciuś nie znał porządków szkolnych. Idzie sobie, wchodzi z chłopcami, siada na ławce.
— To moje miejsce, ja tu zawsze siedzę.
Spędzają go z każdego miejsca — śmiesz ich to.
— Czy pani cię zapisała?
— Jaka pani?
Stanął przy ścianie, a oni wokół.
— Ot dumy. Niech stoi. Zobaczymy, co pani powie.
Dzwonek. Siedzą — czekają.
Wchodzi pani.
— Coś ty za jeden?
— Marcinek.
— Czego chcesz?
— Do szkoły.
A tu wszyscy w śmiech. Pani się rozgniewała.
— Kto go tu sprowadził?
— Nikt. Sam przyszedł. Krowy pasał przez lato.
— I gruszki kradł.
— Znajda.
— Przybłęda.
— Obieżyświat.
A Maciuś — nic, jakby nie o nim mowa. „Obieżyświat” — tak, prawda, że pół świata obiegł i objechał.
Ale ci krzyczą, a pani patrzy na Marcinka i chce sobie przypomnieć, do kogo podobny.
— Czy ty mnie znasz, Marcinek?
— Pierwszy raz panią widzę.
— A ja ciebie już gdzieś widziałam.
— Bo on przybłęda, proszę pani.
— Wilkołak, proszę pani.
Wszyscy w śmiech. A tu wpada kierownik, który miał lekcję w sąsiedniej klasie.
— Co to za hałasy!
Porwał za uszy dwóch z pierwszej ławki, wyrzucił z klasy.
— Proszę pani, lekcji mieć nie mogę. Nie powinno być wrzasków w szkole.
Pogroził linią i wyszedł.
A nauczycielka, zawstydzona, jakby się miała rozplakać.
— Usiądź, Marcinku, na pierwszej ławce. Dajcie mu książkę. Umiesz czytać?
— Umiem.
Podają książkę do góry nogami, żeby go wyśmiać.
Maciuś czyta płynnie.
— Opowiedz.
Maciuś swoimi słowami opowiada, ale nic nie przepuści.
— Uczyłeś się historii?
— Tak, trochę.
— Słyszałeś o Pawle Zwycięzcy?
— Słyszałem.
Więcej mówi niż w książce.
— Weź kredę i zrób zadanie.
Próbuje — nie umie.
— Znasz zagraniczne języki?
Już i chłopcy się dziwią. Nie śmieją się, patrzą ciekawie.
Ale naprawdę cicho się zrobiło, kiedy nauczycielka zapytała się z geografii:
— A możesz mi coś opowiedzieć o roślinach i zwierzętach gorących krajów?
Maciuś patrzy przez okno i jakby widział to wszystko, co opowiada. Tak wyglądają palmy, a tak liany. Takie owoce ma figa, takie pestki daktyle. Banany są smaczne. Takie są kokosowe orzechy. Tak nosorożec wygląda. O, taki będzie na wysokość. Młode są mniejsze, bywają i jeszcze wyższe.

Lew, tygrys, hiena, lampart, słoń, krokodyl, małpy, papugi, kanarki.
— Musi sam widział to wszystko — powiadają chłopcy — tak z książki się nie opowiada.

Marcinek zostanie tymczasem u nauczycielki, jak się douczy arytmetyki, przejdzie do starszego oddziału.

Nauczycielka jest dla Maciusia-Marcinka bardzo dobra, a chłopców Maciuś drażni jakoś. Probuje i tak, i owak: to powiedzą coś, żeby się roześmiał, to pchnie go który na próbę, czy się bić umie: ten chce się zaprzyjaźnić, żeby mu powiedział, skąd się wziął, co za jeden. A może się rozzłości, a może rozdokazuje później, kiedy się ośmieli.

— Ty się nie bój. Pani ci nic nie robi. Nauczyciel — to co innego. A pani dooobra. „Dooobra” mówili tak, jakby żartowali.

Czekają — niecierpliwą się — a między jedną a drugą próbą — zawsze ktoś rzuci: — Przybłęda.

Jeden mówi: „cicha woda”, drugi, że „świętoszek”, trzeci: „lizuch”, czwarty: „panienka”.

A Maciuś przypomniał sobie kanarka z klatki i wolne kanarki bezludnej wyspy.

„Tam było tak samo”.

Zauważyła nauczycielka, ale myśli, że się przyzwyczajają. Ale raz mu chłopiec umyślnie kajet atramentem zachlapał. Tego było za wiele.

— Niegodziwi jesteście! — krzyczy pani, taka czerwona ze złości jak nigdy. — Czego od niego chcecie? Że więcej od was umie, jest lepszy, więc mu zazdrościcie?

— Czego mamy zazdrościć? Chyba dziurawych butów? — powiedział syn bogatego gospodarza, bardzo dumny ze swej nowej czapki.

Był to stawiak wielki, leń, ale silny, więc choć nie lubili, ale go się bali.

— Pani tak się za nim ujmuje, jakby był narzeczony. A ty czego tak patrzysz?

— Bo mam oczy — odpowiedział Maciuś i lekko się zarumienił.

— A ja nie chcę, żebyś na mnie patrzył.

Wyszedł z ławki, dochodzi do Maciusia. Maciuś wstał, zmrużył oczy.

— Ty oczu nie mruż, rozumiesz?

Maciuś przypomniał sobie bójkę z bezludnej wyspy. Wtedy tak samo czuł coś w sercu, coś w głowie, coś w rękach.

— No, czego patrzysz?

— Bo mam oczy — powtarza Maciuś i rękę położył na ławce obok kałamarza.

— Chcesz się bić?

— Nie chcę.

— Chcesz dostać w zęby?

— Nie chcę.

— To dostaniesz.

— Nie dostanę.

Nauczycielka biegnie na pomoc, ale za późno.

Maciuś dawno się nie strzygł, miał długie włosy. Chłopiec schwytał Maciusia za włosy, pięścią w pierś z całej siły uderzył. A potem głową o ławkę.

— Biją się, biją się! — krzyczy klasa.

Każdy biegnie zobaczyć.

Wbiega nauczyciel taki zły, że strach. A najwięcej na nauczycielkę.

— Co to za nowe porządki! Wytrzymać nie można. W klasie powinno być cicho. Pani pozwala na bójki podczas lekcji. Pani jest za dobra. Ja mam dosyć kłopotów z własną klasą, żeby jeszcze pani chłopców pilnować.

Maciuś słucha uważnie: zmarszczył brwi, ręce w tył założył. Postanowił, że musi nauczycielce dopomóc.

Uspokoilo się. Po dzwonku szkoła się skończyła. Maciuś idzie do kancelarii.

— Proszę pani.

— Czego chcesz, Marcinku?

— Proszę pani, albo mi pani pozwoli spróbować, albo przestanę chodzić do szkoły: bo przeze mnie pani ma niepokój.

— A co chcesz spróbować?

— Nie wiem jeszcze.

Wszedł nauczyciel.

— Co tu robisz? Nie wiesz, że do kancelarii wchodzić nie wolno?

Maciuś wyszedł.

— To nadzwyczajny chłopiec — mówi nauczycielka.

— Pani ma samych nadzwyczajnych uczniów — zażartował nauczyciel — jeden znakomity rysownik, drugi nadzwyczajny arytmetyk. A wszyscy razem nadzwyczajnie rozpuszczone łobuzy. Już dwie szyby w tym roku stłukli.

A Maciuś ręce w tył założył, ma dwie wiorsty do domu. Myśli. Podchodzi do niego właśnie ten rysownik.

— Ty się nie martw — mówi. — Oni się odczepią. Mnie też z początku dokuczali!

— Za co?

— Nie lubią, jak kto umie coś lepiej.

— Dlaczego?

— Chyba z zazdrości. Nie wszyscy, ale kilku, a za nimi reszta. Wiesz: obrazek ci narysuję. Chcesz? Co ci narysować? Tak wtedy opowiadałeś o dzikich krajach. Żebyś jeszcze raz opowiedział, to bym ci narysował Maciusia na bezludnej wyspie.

Spojrzeli sobie w oczy.

— Przecież Maciuś umarł.

— No to co, że umarł? Rysować można. Czy pozwolą, żebym przyszedł do ciebie wieczorem?

— Zapytam się: pewnie pozwolą. Dobrzy są moi gospodarze. Kupili książki i wszystko. I buty też może kupią.

— No patrz, jaki on świnia. Że ma nową czapkę, to buty dziurawe wymawia. Dobrze, żeś się z nim nie bił. Jego ojciec bogaty. Dlatego się rozporządza, bo wie, że ojciec przyjaźni się z nauczycielem. Ale my go tak nabijemy, że popamięta. Nie w szkole, ale go już przydybamy. Więc pamiętaj o tym obrazku.

— Dziękuję.

Idzie Maciuś, ale myśli.

A śnieg gęsty padał. A im więcej śniegu, tym się pszczołki-myśli w głowie Maciusia żywiej poruszają.

„Byłem królem — myśli Maciuś — rządziłem całym narodem. A teraz nie mogę sobie poradzić z jedną klasą. Mówiłem w parlamencie i się nie wstydzilem, a teraz wstydzę się mówić do chłopców. Rozumiem, dlaczego Franek nie chciał z nimi zaczynać. Najgorsze jest dokuczanie i wyśmiewanie. Chociaż co? Znów powiedzą: «Przybłęda, ma buty dziurawe». Niech mówią. I zawsze jeden zacznie, a inni to samo”.

A na drugi dzień miał już Maciuś cały plan złożony.

Zaraz na pierwszej lekcji wstał, że chce mówić. No więc dobrze. Wstaje, ale tak mówi:

— Jestem znajda, przybłęda i mam dziurawe buty. Więc jeżeli nie chcecie, żebym chodził do szkoły, mogę nie chodzić. Bo po co pani ma mieć przeze mnie przykrości. Zrobimy głosowanie: jeżeli więcej nie chce, to dobrze. Ale jak jeden nie chce, a wszyscy chcą, to już trudno. Nie myślcie, że się boję. Jak się kto chce bić, dobrze, ale nie w szkole. Możemy się umówić, będziemy walczyli przy świadkach. Nauczyciel bije, więc go się słuchają. Ja myślę, że więcej trzeba się słuchać, jeżeli nie bije. I dopóki dzieci nie przestaną się bić między sobą, nie mają prawa żądać, żeby ich dorośli nie bili. Dopóki dzieci nie przestaną się bić i rzucać kamieniami, muszą być wojny — i będą sieroty, bo ojców na wojnie zabili. Wiem, że można się czasem pokłócić, ale trzeba się zebrać, żeby było wiadomo, kto ma słuszość: nie trzeba się zaraz bić.

Podczas mowy Maciusia słychać było głosy:

— Ooo, jak się rozgadał.

— Co to za lekcja?

— Znajda chce być naszym profesorem.

— Wariat.

— Niech sobie idzie.

I kiedy Maciuś przerwał i powiedział, żeby podnieśli ręce ci, którzy go nie chcą, więcej niż połowa podniosła w górę ręce.

Maciuś tak powiedział:

— Nie myślcie, że nie słyszę, co pod nosem gadacie, ale nic sobie z tego nie robię. Wstałem i mówię głośno, a oni wiedzą, że nie mają racji, więc tylko burczą pod nosem. Bo są tchórze i nic nie mają do powiedzenia. Więc kto nie chce, żebym chodził do szkoły, niech podniesie rękę.

No i podnieśli. Nauczycielka chciała coś powiedzieć, chciała go zatrzymać, ale Maciuś wziął książkę i zeszyty i wyszedł bardzo prędko.

Już w drodze dogonił go chłopiec, żeby wrócił, że to była omyłka, że wielu nie rozumiało. On też podniósł rękę, bo myślał, że trzeba podnieść, żeby Maciuś został.

— Zobaczysz, że już nie będą dokuczali. My wiemy, kto na ciebie buntował. No spróbuj, co ci szkodzi? Wróć, Marcin. Sam widzisz teraz, że jesteś dumny. Mówię, że zaszła omyłka, a ty nic. Patrz, jaki ty jesteś.

Maciuś niby słyszy, niby nie słyszy, co mówi kolega. Szkoda mu pani i szkoda szkoły. Ale trudno. Jeżeli nawet w więzieniu go nie chcieli i przepędzili z najcięższego więzienia, jakże go mieli przyjąć do szkoły? Toć wiadomo: umarł Maciuś — więc po co się błąka między ludźmi? Tak mu było dobrze u kielbaśnika, tak mu było dobrze na bezludnej wyspie, tak dobrze mogło mu być w pomarańczowym ogrodzie królowej Kampanelli, tacy dobrzy byli dla niego zbrodniarze, a teraz tak mu źle, tak mu żal, tak smutno.

Wrócił Maciuś do domu.

„Wypędzili ze szkoły”.

Wyjął z kącika ukryty pamiętnik i zapisał:

„Życie jest gorzkie” — powiedział Walenty. Wtedy nie rozumiałem, co to znaczy. Teraz rozumiem.

Ależ chryja. I to taka, że no! Jakby było coś w Maciusiu takiego, że gdzie się pokaże, zawsze jest ambaras. Był królem — wiadomo, co się działo. U Murzynów i białych, królów, dorosłych i dzieci — wszędzie coś zaczął, zmienił zwykły porządek, jakby ludziom oczy zamknięte otwierał.

W cichej wsi zawrzało jak w ulu. Utworzyły się dwie partie: przeciw Marcinkowi i za Marcinkiem.

— Ten przybłąda mówił w klasie, że nauczyciela nie trzeba się słuchać, bo bije. Mówił, że będzie bił wszystkich, co mają całe buty i nowe czapki. A pani mówi, żeby go prosić, żeby chodził do szkoły. Jednemu zginęło pióro: to pewnie on ukradł, więc się boi, udaje obrażonego.

Od dzieci przeszło na starszych. Ci chwalą nauczyciela, a tamci panią.

Opiekunowie Maciusia trzymają stronę Maciusia:

— Cichy — posłuszny — pracowity — gada jak stary. Marcinek ma rację — i kwita.

— Owa, znaleźli się dobrodzieje: gębą dobrzy, a butów mu nie kupili. A że obdartus, wiadomo: gospodarskiemu dziecku nowej czapki zazdrości.

Zaczynają różne winy wymawiać: a ten pijak, a ten leń, a ten fałszywie w sądzie świadczył.

— Jaki ojciec, taki syn.

Aż byli tacy, co mówili, że lepiej było bez szkół.

— Apostołowie czytać nie umieli, a święci byli.

— Nauka tylko rozpuszcza dzieci, od roboty odciąga.

— Nie ma ani szacunku dla starszych, ani posłuszeństwa dla gospodarzy zamożnych i statecznych.

Tak się coś z tydzień kręciło w kółko. Aż Maciuś wrócił do szkoły. Niby się uczy tej arytmetyki, ale mu nie spieszo do wyższego oddziału. Wrócił Maciuś ani pokorny, ani dumny — taki, jak był. Tylko że nie sam teraz wraca do domu, a z chłopcem, co ładnie rysuje. I na jednej ławce z nim siedzi. Nic, tylko prawdę mówi. Niech jakiś hałas albo co,

Maciuś spojrzy i czeka. Jak pani się nie pyta, nic Maciuś nie mówi, a jak zapyta i tamten się nie przyzna, Maciuś nic się nie boi.

— To on — i palcem pokazuje.

Lekcja się skończyła.

— Poczekaj, szpiegu, pożałujesz.

— Szpieg — to co innego — odpowiada spokojnie. — A ty tchórz. Sam się przyznaj.

Ani razu się nie bił, ale jakoś czują, że zaczynać z nim nie należy.

Nauczycielka sama nierada, więc nawet nie pyta, kto szura nogami pod ławką, gwizd-
nął nagle albo ziewnął głośno. I ma coś Maciuś w oczach, że jak spojrzy, to tamten prze-
stanie, jak lord Pux na obradach.

Ale strasznie się wszyscy zdziwili, kiedy Maciuś powiedział, że chce się bawić w śnieżki.

Przypomnił sobie Maciuś wojnę z królewskiego parku.

— Kto trzy razy trafiony, zabity. Kto się przewróci, w niewoli.

Nie nazywa się Maciuś oficerem, walczy razem z wszystkimi, a wychodzi, że jest
dowódcą. Bo jak mówi, tak wszyscy się zaraz zgadzają. I nigdy nikomu nie powie: „Ee,
ty tam dużo wiesz”, a każdego wysłucha i jeśli dobrze radzi, zaraz się zgadza, a jak źle
poradzi, zmieni trochę, że wyjdzie jak trzeba; albo wytłumaczy, dlaczego nie można.

— Wybierzemy generałów — ktoś mówi.

— Po co? — pyta się Maciuś. — Zróbmy lepiej tak: niech każdy rzuci pięć razy do
celu. Zapiszemy, kto dobrze celuje — i rozdzielimy się na dwie równe partie.

A że wszędzie są oszukańcy, więc niektórzy umyślnie źle celują, niby nie mogą trafić.
Ale Maciuś od razu poznaje.

Inni znów kłócą się, że trafili, a tymczasem nieprawda.

— Wymawiam: nie wolno się obrażać.

Już chcą zaczynać: a to odwilż przyjdzie, a to śnieg będzie suchy. A Maciuś się nie
śpieszy:

— Lepiej odłożyć, ale żeby nam się udało.

Starszy oddział chce się przyłączyć.

— Teraz nie: musimy naprzód sami spróbować.

Trzy dni się szykowali. I żeby się im nie nudziło, tymczasem robią wały.

Nikt już nie mówi, że dumny. Lubią Maciusia. Najwięcej bajek umie, i to takich
dziwnych. Ale się Maciuś nie zdradza, że to bajki murzyńskie, więc zmienia imiona.

Rośnie Maciuś w sławę. A coraz bardziej ciekawi wszyscy, co on za jeden.

Wiedzą, że syn dozorczy więzienia — no ale gdzie?

— Widziałeś, Marcinek, zbrodniarzy?

— Czy prawda, że można po oczach poznać zbrodniarza?

— Czy dużo podróżowałeś?

Maciuś tak zręcznie skieruje rozmowę na coś innego.

— Słuchaj, powiedz nam wreszcie prawdę.

— Co? — niby się nie domyśla.

— No, daj słowo, że powiesz.

— Daję słowo, że jak przyjdzie czas, wszystko opowiem.

Oj, nie chciał Maciuś, nie chciał, żeby ten czas nadszedł. Dobrze mu w domu i w szkole
— i dobrze z dziećmi. Tacy wszyscy mili; jest paru gorszych, ale się starają, tylko nie
mogą:

— Myślisz, że nie wiem, że jestem kłótlivy? Chcę być inny, ale nie mogę. Mówię
sobie: od poniedziałku będzie inaczej. Więc co ja winien, że mi się nie udaje?

Ten znów lubi zaczepiać:

— Żebym się nie pilnował, to by ze mną nikt nie wytrzymał. Sam nie wiem dlaczego,
ale lubię, jak się ktoś złości.

— Teraz to już nic — mówi inny — żebyś wiedział, jakim ja dawniej byłem łobuzem.
Pies nie pies, kura, dziad, koń, dziecko — albo kamieniem, albo kijem. Patrz tylko.

I pokazuje na głowie, na rękach, na nogach duże i małe blizny.

— Patrz: tu mnie koń kopnął. Tu siekierą mało palca nie uciąłem. To szkłem od
butelki — tak się krew lała. Tu pies mnie pogryzł, jak mu do ogona chciałem przywiązać
sanki, żeby woził. Teraz jestem duży, więc wiem, ale przedtem — o rety!

Maciuś radzi i tak, i tak, ale każdemu mówi, żeby się starał, żeby się nie martwić: można się poprawić.

— Najważniejsza jest silna wola. Ale nie od razu można wolę wyrobić, tylko po troszku. Na przykład chcesz dopłynąć do latarni morskiej, od razu nie będziesz mógł, bo się zmęczysz, tylko po troszku. Albo jak jesteś ludożercą.

I opowiadać zaczyna o ludożercach, jakby ich widział i znał.

— Jak ci się zdaje, Marcin, czy król Maciuś naprawdę był u ludożerców, czy tylko tak w gazetach pisali?

Często w rozmowach chłopcy wspominają króla Maciusia:

— Gdyby żył król Maciuś, to by nauczyciel nie targał za uszy.

— O, tu zaczęli budować karuzelę dla szkoły.

— Pamiętasz czekoladę? Ale tylko trzy razy wydali, i to nie wszystkim.

— A w stolicy dorośli chodzili do szkoły, a dzieci dawały łapy i stawały w kącie. To ci była stypa, o raj.

Śmieją się jak z wesołej bajki, a Maciusiowi tak jakoś dziwnie się robi.

I milknie.

I wzdycha.

Bo przeczuwa, że skończą się niedługo ciche, miłe dni bez troski, bez walki.

Trochę Maciuś przeczuwa sam z siebie, trochę — wie z tego, co ludzie z gazet mówią.

Więc w gazetach piszą, że stary król umarł, a młody znów zasiadł na tronie. Zawarł młody król przymierze z cesarzem Pafnucym i dwoma żółtymi królami. Zaczął się bunt w wojsku, bo była partia przeciwna młodemu królowi. Ale on zbuntowanych wystrzelał i zapowiedział, że się nikogo nie boi. Mówi, że go królowie oszukali, że port zabrali. Pokłócił się ze smutnym królem raz na zawsze.

— Przecież sam podpisałeś umowę — mówią. — A taka umowa królów nazywa się traktat, więc nie można zmieniać.

— Po pierwsze, nie ja podpisałem, a ojciec. Maciuś podpisał na Fufajce dwa traktaty.

— No tak, ale Maciuś był pijany.

— A kto mu się kazał upijać? Zresztą co innego, kiedy żył, a co innego, kiedy go nie ma.

Jeszcze ministrowie, posłowie, różni dyplomaci próbują, ale widać, że będzie wojna, a kto wie, czy nie większa, niż były.

„Wojna śpi” — przypomniał sobie Maciuś słowa latarnika.

Wojna śpi, ale lada dzień może się obudzić.

I kiedy Maciuś siedział na lekcji i nauczycielka pytała się, a Maciuś nie wiedział nawet, o czym mówią w klasie, nikt się nie domyślał, jak ważne pytania ważył Marcin w swej głowie.

— Marcinku, trzeba na lekcji uważać — upomina pani łagodnie.

— Dobrze, postaram się — odpowiada Maciuś.

Nauczycielka powtarza, klasa się niecierpliwi.

Coraz widoczniej niepokój ogarniał Maciusia. Nie bawi się, w nocy wzdycha. Już chce z nim gospodarz jechać do doktora, bo może urzekli chłopaka.

Aż wojna się obudziła. I Maciuś powiedział w szkole:

— Proszę pani, nie będę chodził do szkoły. I pani, i kolegom za wszystko dziękuję.

— A cóż się stało? — pytają zdziwieni.

— Muszę jechać do stolicy — mówi, a słowa tak mu z trudem przechodzą przez gardło, a w kącikach oczu błysnęły dwie duże łzy i powoli spłynęły po twarzy.

Cisza długo trwała. A Maciuś stoi w ławce, ręką mocno trze czoło.

— To nieprawda, że król Maciuś umarł. Ja jestem właśnie Maciusiem Reformatorem, tylko się ukrywałem.

A choć wiadomość była tak strasznie dziwna — zupełnie jak bajka — od razu uwierzyli wszyscy.

Jak mogli się tak długo nie domyślić sami? Rozumie się, że to jest król Maciuś.

Późna noc. W gabinecie królewskim cicho, tylko zegar tyka. Siedzi Maciuś przy biurku i raz jeszcze czyta list do królów.

Przed chwilą skończyła się narada z ministrami, gdzie ułożyli wspólnie notę do królów całego świata.

Jeszcze nie za późno — pisze Maciuś. — Jeżeli młody król odwoła wojnę, możemy się pogodzić. Dosyc rozlewu krwi.

I dalej:

Jeżeli wróciłem z wygnania, gdzie żyłem spokojnie wśród dobrych ludzi, zrobiłem tak, bo nie chcę wojny. I niech tylko się uda zażegnać burzę, znów chcę oddać koronę, niech naród wybierze kogoś i razem z nim rządzi; ja nie chcę być królem.

I dalej:

Chociaż młody król źle mi życzył, nie mam do niego żalu. Wiele się nauczyłem i wiele zrozumiałem. Nie chcę się chwalić, ale mówię, że chociaż najmniejszy z królów, więcej wiem od niejednego z dorosłych. Bo dzieci nie są głupsze od dorosłych, tylko nie mają doświadczenia. Więc nawet wdzięczny jestem młodemu królowi, że dzięki niemu zdobyłem doświadczenie i zahartowałem wołę. Młody król zna generałów, a ja znam i żołnierzy, on zna porządných, ja poznałem i zbrodniarzy, młody król zna dorosłych, ja znam i dzieci. Młody król zna naród, kiedy się kłania i krzyczy „Wiwat!”, a ja wiem, jak żyje i pracuje, jak się kłóci i godzi, jak się opiekuje sierotą.

Jeszcze Maciuś coś przekreślił w liście, coś doda, żeby ładniej było i zrozumiałej. Na jutrzejszym posiedzeniu z ministrami się naradzi i wtedy już wyśle list gotowy.

Ministrowie są teraz nowi. Ze starych pozostał minister wojny, minister oświaty i sprawiedliwości. Ale oni też się zmienili. Kiedy minister oświaty sprzedawał kurierzy przed dworcem, poznał wielu chłopców i teraz ma więcej doświadczenia.

— Nie dziwię się — mówi podczas przerwy w posiedzeniu, kiedy pili herbatę — nie dziwię się, że chłopcy źle się sprawowali. Jedni mogą siedzieć spokojnie, a inni nie. Trzeba urządzać wycieczki, różne zabawy na boisku, muszą biegać i skakać. Bo inaczej uciekają ze szkół, sprzedają kurierzy, biegają po ulicy i skaczą do tramwajów.

I minister sprawiedliwości mniej teraz mówi o paragrafach i książkach:

Jak byłem konduktorem, to się tak nauczyłem, że od razu poznawałem, kto uczciwy i płaci za bilet, a kogo trzeba pilnować, bo się wsrubuje i za darmo chce jechać.

Spojrzał Maciuś na zegar. Sięga po listy. O, jest telegram od Klu-Klu.

Chciałaby przyjechać, ale nie ma czasu. Już czarni zaczynają budować domy murowane. Samych szkół murowanych już jest sześćset czterdzieści. Cieszy się Klu-Klu, och, jak się cieszy, że Maciuś żyje.

Jest list od smutnego króla: *Teraz już nie będę głupi* — pisze smutny król — *nie dam się omanić*.

Oblicza Maciuś, ilu będzie miał przyjaciół, jeżeli się nie da uniknąć wojny. A na wszelki wypadek notuje różne myśli do odezwy do wojska, jeżeli będzie potrzebna.

Myśli Maciuś, czy nie byłoby dobrze wezwać lorda Puxa: Pux wie wszystko i bardzo mądrze prowadził obrady królów.

I pszczołki w głowie Maciusia tak fruują, fruują i coraz coś sobie przypominają.

Byłoby dobrze napisać do nauczycielki, do latarnika. Niech nie myślą, że o nich zapomnieli. I nagle przestraszył się, bo sobie przypomniał wielkie worki z listami, które wtedy czytał.

Wyszedł Maciuś do parku. Księżyc świeci. Tak ładnie i biało.

Pamięta każdy kącik. Tu z ojcem jeździł na kucu, tu w malinach spotkał się z Felkiem, co też on porabia? Tu puszczano fajerwerki, i tu sadzawka, w której go szukali, kiedy uciekł na wojnę.

Wszystko niby tak samo, a inne.

„Czy to wszystko się zmieniło, czy ja się zmieniłem. Ano — myśli Maciuś — wracam z tamtego świata”.

I nagle okropnie mu się zachciało ślizgać. Wrócił do pałacu: łyżwy leżą na zwykłym miejscu, cały czas leżały.

„Gdy ja wszędzie byłem — myśli Maciuś — one na tym samym miejscu leżą”.

Więc idzie i tak się ślizga sam jeden w parku królewskim na sadzawce przy świetle księżycy. Ma słuszność minister oświaty: jak się długo siedzi, trzeba się potem rozruszać.

Spał Maciuś długo: na królewskim łóżku. A kiedy się obudził, zapytał sam siebie, czy to, co przeżył, było snem, czy prawdą.

Koło południa list do królów został wysłany.

A królowie już wpieryw wiedzieli, że Maciuś żyje, bo gazety o tym pisały. Ano, niby się cieszą, choć są i tacy, którzy się nie na żarty zlekli. Bali się, co znowu Maciuś zacznie wyrabiać. Ale zaraz się uspokoili, jak przeczytali notę Maciusia.

Jasne było, że nie chce wojny.

Więc zaraz do młodego króla, żeby w tej chwili zatrzymał wojsko, bo będzie źle, jeżeli się odważy przekroczyć granicę państwa Maciusia. A młody król aż się pieni ze złości. Chciał zacząć panowanie od zwycięskiej wojny, żeby go naród szanował. Bo naród już dawno nie chce króla. Ale dopóki żył stary król, więc niech sobie będzie. Ale dosyć tego dobrego. Wszędzie narody same rządzą, więc i oni chcą także.

— Cesarz Pafnucy mi pomoże — mówi młody król na naradzie wojennej. — Jeżeli wojsko zatrzymam, znów się zacznie bunt. Więc naprzód!

Chciał skończyć z Maciusiem, zanim tamci postanowią, co robić. Naprzód zwycięży, potem będzie gadał. Generalowie nie bardzo się cieszą, ale widzą, że tak źle, tak niedobrze, więc nie chcą brać na siebie odpowiedzialności. Cała nadzieja w Pafnucym. A Pafnucy się zląkł żółtych królów. Bo i oni się przyłączyli do Maciusia.

— Poczekaj, toś ty taki — mówi młody król — obiecałeś, a teraz nie chcesz?

— Nie chcę, i co mi zrobisz? Wypowiesz mnie wojnę — dużo się boję. Wszyscy są przeciw tobie, bo jesteś intrygant. Nawet własne wojsko ciebie nie lubi. Pilnuj się, żeby cię nie zdradzili.

Pilnowanie niewiele pomoże, jeżeli jeden człowiek ma wszystkich pilnować. Sam król nic nie poradzi, jeżeli naród jest przeciwko niemu.

Cały świat się zbroi.

Widzą generalowie, że gorzej jest, niż myśleli. Zebraли się na tajną naradę bez króla.

— Więc przypuścmy nawet, że nam się uda i pobijemy Maciusia. Rzuć się wtedy na nas inni królowie. Przecież nie można z całym światem wojować.

Tak mówi jeden. A drugi:

— Nie, moi kochani, nie pobijemy Maciusia, to darmo. Maciusia uwielbia wojsko, naszego nie lubią. My napadamy, a oni się bronią. I pamiętają dobrze naszą gospodarkę, kiedyśmy tamtych razem zwyciężyli. Daliśmy się im we znaki. Lepiej nie mówić o zwycięstwie, a co zrobimy, jeżeli przegramy.

Aż tu wstaje jeden najgrubszy generał i mówi:

— Ha, jeżeli żaden z was nie ma odwagi powiedzieć, co myśli, więc ja powiem za wszystkich. Jeżeli zebrałiśmy się, więc nie żeby się oszukiwać. Powiem otwarcie: zebrałiśmy się na tajną naradę, nie żeby mówić, czy zwyciężymy. O tym mogliśmy radzić razem z królem...

Sapie — oczy mu na wierzch wyszły — czerwony, że strach — i kończy głośno, prawie krzyczy:

— Zebrałiśmy się na tajną naradę, żeby zdradzić króla! Więc nie traćmy czasu, bo nas przylapią.

Generalowie źli, że tak od razu powiedział.

— Kolego generale, nie ma pan prawa mówić za wszystkich. To, co pan nazywa zdradą, może ktoś inny nazwać właśnie — jedynym dla króla ratunkiem.

— Cha, cha, cha — śmieje się gruby generał, aż mu się brzuch trzęsie — a czy król prosił, żebyście go ratowali? Nie, panowie, nie trzeba udawać. Nasza tajna narada jest przestępstwem.

— Więc co robić?

— Są dwie drogi: albo związać młodego króla i odesłać do Maciusia, albo zostawić go, a samym zwać jak najprędzej.

Generalowie radzą, a młody król już wie o wszystkim. Ale nic nie może poradzić; ma przeciw sobie naród, żołnierzy, generalów i wszystkich królów.

Osiadł na konia i jedzie prosto do króla Maciusia.

Zatrzymał młody król konia przed okopami i powiewa białą chustką, ręce podniósł do góry; znaczy, że się poddaje. Zaprowadzili go żołnierze do sztabu pułku, stamtąd do sztabu dywizji. Wiedzą, że jeńiec nie byle kto. Ale dopiero w sztabie armii poznali, że to młody król; więc telefonują do samego Maciusia, do głównej kwatery.

Główną kwaterą nazywa się mieszkanie największych wodzów i króla. Podczas pokoju mieszkają w pałacach, podczas wojny muszą mieszkać w zwyczajnej chałupie, więc dla honoru mówią o chałupie, że — kwatera, i w dodatku główna.

Ano — dobrze.

Kazał Maciś wyjść wszystkim z kwatery, został sam na sam z młodym królem.

— Wasza królewska mość — mówi młody król — pisałeś w odeszłej do królów, żeś mi wdzięczny, że dzięki mnie zdobyłeś doświadczenie, zahartowałeś wolę. Wasza królewska mość nie ma do mnie żalu. Więc...

Młody król padł na kolana. A Maciusiowi zrobiło się nieprzyjemnie i wstyd, że go się boi, aż klęka.

— Niech wasza królewska mość wstanie. Napisałem, jak myślę, nic waszej królewskiej mości nie grozi. Nie będę się mścił, tylko swojego kraju bronić muszę.

Więc wezwano ministrów, co robić. Niech przede wszystkim wojska młodego króla wrócą do siebie. Młody król zamieszka w pałacu Maciusia, potem się zobaczy, czego chce naród.

Ale ani wojsko, ani naród — nie czekali, co młody król powie. Wojsko zaraz poszło do domu, a naród ogłosił republikę. Młodemu królowi będą płacili pensję, żeby nie umarł z głodu, bo pracować nie umie. Niech robi, co chce, niech mieszka, gdzie chce; tylko nie wolno mu robić plotek i intrygować.

Wraca Maciś do stolicy, ale nie patrzy ani na rozwieszone chorągwie, ani zebrane tłumy, nie słucha wiwatów ani wystrzałów armatnich. Wie, że jak się uda, to wszyscy życzliwi, a prawdziwych przyjaciół poznaje się w nieszczęściu.

Jedno go tylko cieszy: że po raz pierwszy witają go dzieci zielonym sztandarem. A policja nic nie mówiła.

Ano, zaraz z pociągu jedzie do parlamentu i mówi, że już koniec. Mają ministrów, niech sobie rządzą. Prosi tylko, żeby mu znaleźli miejsce, najlepiej w jakiejś fabryce.

— Chcę na siebie pracować. Wynajmę pokoik. Będę chodził do szkoły.

Proszą Maciusia posłowie, żeby tego nie robił. Chcą mu płacić co miesiąc, niech mieszka w pałacu królewskim. Ale Maciś nie i nie.

Więc niech Maciś napisze pamiętnik: co robił, kiedy był królem. Tę książkę się wydrukują, Maciś będzie miał dużo pieniędzy; bo książkę wszyscy kupią, bo zwyczajni ludzie lubią czytać o królach, przygodach różnych i o bandytach.

A Maciś nie — i nie:

— Wynajmę pokoik, pójdę do fabryki pracować i będę się uczył w szkole.

Jeden poseł sejmu miał fabrykę papierosów, więc chce wziąć Maciusia — że niby wszyscy się dowiedzą — będą palili jego papierosy. Ale zaraz drugi mówi, że da miejsce Maciusiowi:

— Ja mam fabrykę perfum. W mojej fabryce ładnie pachnie.

Już zapomnieli o wszystkim, co mieli radzić, tylko wyrrywają sobie Maciusia i kłócą się, że strach:

— Ach, ty oszuście — krzyczy jeden — w twojej fabryce brudno!

— A w twojej ciasno i ciemno.

— A twoi robotnicy tacy wygłodzeni, że się ledwo na nogach trzymają.

— A twoje maszyny takie stare, że nic robić nie można.

Aż wstał jeden poseł-robotnik i mówi:

— Nie kłóćcie się, panowie fabrykanci, bo to jest parlament, a nie bazar. Zróbmy tak: niech każdy doprowadzi do porządku fabrykę. Wybierzemy komisję i za miesiąc komisja obejrzy wszystkie fabryki, u kogo będzie najczystej i najlepiej, tam król Maciuś będzie pracował. Proszę, żeby mój wniosek głosować.

— Zgadzam się — mówi Maciuś — więc głosowanie nie jest potrzebne, bo pójdę tam, gdzie zechcę.

Przez miesiąc idzie taka robota, że strach. Malują, czyszczą, przestawiają piece, żeby dobrze grzały, robią elektryczną wentylację, budują nowe klozety i kąpiele dla robotników. Majstrowie tacy grzeczni aż miło. I po miesiącu fabryki aż się błyszczą. Bo każdy fabrykant chce mieć sławę, że u niego król Maciuś pracuje.

Ale komisja sejmowa wszystko obejrzała i nie wie, którą wybrać. A Maciuś się uśmiecha i mówi:

— Dziękuję bardzo, że panowie tak się starali. Ale ja powiedziałem, że pójdę tam, gdzie zechcę. I już sobie znalazłem miejsce. Ten fabrykant nie jest bogaty, bo nie dbał o zarobki, a więcej o robotników, więc nie mógł wszystkiego uporządkować; ale u niego zawsze było porządnie.

I wybrał Maciuś niewielką fabrykę na krańcach miasta. I zaczął pracować.

Maciuś nie wiedział, że jak się pracuje w fabryce, nie można do szkoły chodzić, bo nie ma czasu. Więc się umówił, że tymczasem chce cały dzień robić. A jak już będzie umiał, postara się prędzej skończyć robotę i wcześniej będzie wychodził. Wszyscy się zgodzili, bo wiedzieli, że Maciuś jest sprawiedliwy i nie oszuka.

A tymczasem wynajął Maciuś mały pokój na poddaszu i mieszka sobie. Gospodarz wstawił piecyk żelazny. Maciuś sam gotuje śniadanie.

Sporo miał Maciuś kłopotu z gospodarstwem. A to mu szcztotka potrzebna, a to rondel, kubek, to to, to owo. Wszystko trzeba kupować, a drogo kosztuje.

Wstaje Maciuś raniutko, ściele łóżko, czyści buty, ubranie, ogień zapali, wodę zgotuje, zamiecie izdebkę, wróblom okrychy wysypie, naleje kawy w manierkę na drugie śniadanie. Przyjemnie, że sam wszystko zrobił. Prędko herbatę wypije — idzie, bo niedługo gwizdek fabryczny.

I wie Maciuś, kogo spotka w drodze, co zobaczy.

Na schodkach spotka Janka, który idzie do szkoły i powie „dzień dobry”. Na podwórzu dorożkarz myje dorożkę. Stróż zamiata bramę. Ze sklepika wybiegnie pies i merda ogonem, jakby i on wiedział, że trzeba Maciusia pozdrowić.

Z początku dokuczali Maciusiowi gapie. Staną, patrzą, palcami pokazują:

— O, Maciuś idzie.

— Patrz, to król Maciuś.

Ale gapie tacy już na świecie, że długo niczym się nie zajmą. Bawi ich wszystko, co nowe, co pierwszy raz widzą. Byle głupstwo ich zajmie, ale tylko na krótko. Więc prędko się odczepili — już nie widzą nawet Maciusia. Ważna rzecz: taki sam chłopak jak każdy. Tak samo idzie do fabryki z manierką, a wieczorem zasmolony wraca do domu.

Za to spokojni i porządni coraz bardziej szanują Maciusia. I często starsi robotnicy witają go pierwsi, a jedna dziewczynka co dzień przechodząc, tak przyjemnie uśmiecha się do niego i miłym głosem mówi:

— Dzień dobry!

Maciuś jej nie zna, nie wie, jak się nazywa. A tak jakby znał dawno, bo co dzień spotyka, domyśla się, że jest dobra i miła.

I staruszkę co dzień spotyka. Nie wie Maciuś, dokąd idzie, co niesie w koszyku. Ale lubi staruszkę, bo tak wolniutko idzie — zatrzyma się, zakaszle — takim dobrym wzrokiem patrzy na Maciusia, jakby błogosławiła albo dziękowała za coś.

Próbowali w fabryce dawać Maciusiowi łatwiejszą robotę, ale nie chciał.

— Jeżeli jestem za słaby, więc poszukam innego miejsca. A jak jestem, robić będę, co wszyscy. Nie chcę być wyjątkiem.

Przestraszyli się: boją się stracić Maciusia, bo i robotnik dobry, i honor dla fabryki, i jakoś weselej pracować, gdy się wie, że ktoś może być królem, a woli z nimi być razem.

I tak się jakoś stało, że i w domu, gdzie mieszka, i w fabryce, gdzie robi — nawet na ulicy — starają się wszyscy, żeby nie utracić Maciusia.

Dawniej dużo było pijaków, złodziei, łobuzów. Policja ciągle coś miała do roboty. Wymyślania — krzyki — skargi. Wszystko ucichło. Ktoś w oknach postawił doniczki — zaraz wszyscy przybrali okna kwiatami: przyjemnie będzie Maciusiowi. I stróże czyściej zamiatają ulice. I chłopcy przestali rzucać kamienie.

Aż raz Maciuś znalazł wetknięty za klamkę taki list:

Kochany królu Maciusiu, mój tatuś był bardzo niedobry, bił mamusię, bił dzieci, przeklinał — i pieniędzy nie dawał. A teraz jest taki dobry i kochany. I mówi: „Maciuś mnie nauczył, jak żyć trzeba”. Więc ci dziękuję. Zosia.

W kopercie był obrazek: taki aniołek. Litery były trochę niezgrabnie napisane. „Pewnie od tej dziewczynki” — pomyślał Maciuś. I cały tydzień jej nie spotykał: chodzi inną ulicą, bo się wstydzi.

Przyszedł Felek brudny i obdarty, chudy i nieszczęśliwy. Jeżeli ktoś zawsze jest cichy i smutny, to nic; ale jak zawsze wesoły — i nagle coś mu się stanie, to bardzo żał, że tak się od razu odmienił.

— Felek, co się z tobą dzieje?

A Felek nie odpowiada, tylko mu z oczu płyną łzy — i kapią po brudnej twarzy.

— Powiedz, Felek, dlaczego taki jesteś?

Felek wzruszył ramionami. Nie chce mówić. Widać się wstydzi. Ano, trudno. Trzeba pomóc.

— Masz mieszkanie?

— Mam: pod mostem, nad rzeką.

— Głodny jesteś?

Nie odpowiada.

— Nie masz roboty?

— Nie umiem robić.

— Ja też nie umiałem. Kto chce, wszystko potrafi.

— Nie umiem chcieć.

— To się nauczysz.

I Felek został u Maciusia. Mieszkają razem. Rano Maciuś wstaje, Felek leży.

„Zmizerowany, biedak, niech wypocznie sobie”.

Felek wypoczywa, a Maciuś na niego i na siebie pracuje.

Skąpy zarobek nie bardzo wystarcza. Więc sprzedał Maciuś zegarek ojca i dalej gospodaruje. Bo kiedy Maciuś przestał być królem, to mu dał rządca skarbu królewskiego pierścień ojca z brylantem, kolczyki matki i ten zegarek, który teraz sprzedał.

Dla siebie nie sprzedawałby pamiątki. Ale musiał kupić dla Felka łóżko, ubranie, no i na życie więcej teraz wydaje.

Felek siedzi w mieszkaniu, papierosy pali. Kupuje głupie książki i niby czyta, a właściwie nic cały dzień nie robi.

Toteż bardzo się Maciuś ucieszył, że Felek chce iść do fabryki.

— A czy mnie przyjmą?

Już mówił Maciuś z majstrem, ale nie chciał pierwszy Felkowi powiedzieć, żeby nie myślał, że mu jest ciężarem. I teraz nawet:

— Może chcesz trochę wypocząć?

— Nie.

Więc już we dwójkę idą rano do pracy. Rozmawiają o tym, o owym. Przyjemniej chodzić we dwoje. A co było, ani słowa. Wstydzi się widać: wiadomo, nic mądrego nie robił.

— Patrz, Felek, tu trzeba być ostrożnym, bo motor, tu pas może pochwycić. Przed dwoma laty rękę chłopakowi urwało. Tu trzeba być uważnym, bo można się dostać między tryby koła.

— Wiem, wiem — mówi Felek.

I miesiąc nie upłynął, jak Felek rozruszał się, poweselał — śpiewa — gwizdże — żartuje.

Pracują obok. Cały dzień razem. Tylko w niedzielę Maciuś zostaje w domu, a Felek na cały dzień wychodzi. Późno widać wraca, bo strasznie w poniedziałek zaspany; ale o której godzinie, nie wie Maciuś, bo drzwi izby zostawia otwarte, a sam się kładzie.

Nie pyta się Maciuś, gdzie Felek spędza niedziele, nie chce, żeby się Felek pytał, co Maciuś robi w domu.

A Maciuś pisał. Pisał i chował pod bieliznę na samo dno szuflady. Była to tak jakby bajka, jakby prawdziwa opowieść. Było to coś, co chciał Maciuś, żeby zostało tajemnicą, dopóki całego nie skończy.

Raz mało nie wynikła sprzeczka. I właśnie w poniedziałek.

Budzi się rano Maciuś; podłoga cała zabłocona. Ponarzuca niedopałki papierosów. Atrament na stole wylany. Przykro się Maciusiowi zrobiło, bo sam wyszorował wszystko w sobotę.

— Nóg nie wytarłeś — powiada Maciuś.

— Wiem, że nie wytarłem. To trudno: nie jestem tak delikatny jak ty. Nie miał mnie kto uczyć porządku. Ale jeżeli nie chcesz, mogę się wyprowadzić. Jeżeli ci się znudziłem, możesz mnie wypędzić. Ty jesteś tu gospodarzem. A ja tylko z łaski.

— Jesteś moim gościem.

— Ładny gość, co błoci podłogę i atrament wylewa.

Boi się Maciuś, żeby Felek nie odszedł, więc nic już nie mówi. Ale Felek się nie uspokoił.

I w domu, i w fabryce o byle co się przyczepi, jakby się chciał koniecznie pokłócić. Szuka zaczepki.

Tydzień wesół jak dawniej — znów dwa, trzy dni się kłóci. O byle co. O młotek, o stołek, o kołek na palto.

— Ja tu zawsze palto wieszałem. Co za bydlę mój wieszak zajęło?

A poznaje, że wisi palto samego majstra. Naumyślnie powiedział.

Robotnicy ustępują, bo nie chcą martwić Maciusia. Ale widzą, że Felek zanadto sobie pozwala.

Wychodzi na to, że Felek chce rzucić robotę, ale nie mówi wyraźnie, tylko czeka, żeby go wyrzucili.

A Maciuś, czy nie dostrzega, czy udaje, że nic nie widzi — robi swoje, czasem tylko powie:

— Daj spokój, Felek, przestań, Felek. I o co ci idzie?

O, dobrze widzi Maciuś: Felek jest jak szcurek pocztowy. Niespokojny, bo czas mu w drogę.

*

I przyszedł ten straszny poniedziałek — ostatni.

Już w drodze wymyślał Felek na fabrykę, tę parszywą budę, gdzie człowiek zdrowie i siły traci. Majstrowie sieczkę mają w głowach. Maszyny rozklekotane. A narzędzia, choć w łeb cisnąc fabrykantowi.

— Aleś wybrał sobie fabrykę, że powinszować.

— Ja ciebie, Felku, nie zmuszam. Poszukaj gdzie indziej roboty.

— Jak zechcę, nie będę się ciebie pytał o pozwolenie.

Idą. Nic nie mówią.

Zaczął się zwykły, poniedziałkowy, szary dzień fabryczny. Stanął Maciuś przy swoim warsztacie i myśli o bajce, którą wczoraj skończył.

„Przeczytam Felkowi, może się uspokoi”.

Bo ma to być bajka, która nawet najgorszych ludzi poprawi. Pisząc ją myślał Maciuś i o ludożercach, i o młodym królu, i o towarzyszach więzienia.

I tak sobie myśli o bajce, a ręce same pracują. I nie widzi Maciuś, nie słyszy, co się obok dzieje.

Aż nagle rozległ się krzyk Felka:

— Niech majster sam robi! Myśli, że mnie kupił! Owa, dużo się boję!

A potem:

— Dureń, majster, jesteś! Stary osio! Pęta!

I jeszcze, i jeszcze.

Aż zamierzył się Felek na majstra.

Maciuś doskoczył, chwycił Felka za rękę.

— Felek, przestań, co robisz?

A Felek pchnął z całej siły Maciusia.

— O Jezu!

— Zatrzymać motor!

— Zdjąć pas!

— Ratunku!

Wszystko trwało zaledwie minutę. Zatrzymano maszynę. Leży Maciuś w kałuży krwi.

— Żyje...

— Po doktora...

Stoi Felek, patrzy, patrzy, oczy przeciera, patrzy. Ale wszyscy się odsunęli od niego — i też patrzą. Każdy boi się ruszyć — cisza — nikt słowa nie powie. Czekają.

Ale był jeden robotnik stary. Przez trzydzieści lat pracy napatrzył się wszystkiego. On pierwszy odważył się głośno powiedzieć, co wszyscy wiedzieli:

— Przepadło...

*

Leży Maciuś w szpitalu.

Dali mu osobny pokoik.

Operacja się udała: odzyskał Maciuś przytomność. Uścisnął rękę doktora — dziękuje, że jeszcze żyje. Niedobrze byłoby, gdyby umarł od razu. Musi coś jeszcze powiedzieć. Przymknął Maciuś oczy, chce sobie przypomnieć, co jeszcze ma do powiedzenia.

Jest bardzo słaby. Znow zasnął — znow się przebudził:

— Proszę przynieść moje pamiątki.

Pędzi samochód do izdebki Maciusia.

Już wie całe miasto, że Maciuś odzyskał przytomność, że jest nadzieja.

— Uratujemy Maciusia — mówią doktorzy — musi się udać.

Przywieźli Maciusiowi pudełko, gdzie w zieloną zawinięte bibułę leżały: muszelka, kamyk, zwiędły listek, czarna kostka cukru — fotografia matki, pierścion z brylantem, kolczyki królowej.

Lewa ręka Maciusia była zdrowa. Po kolei bierze to wszystko, ogląda i — uśmiechnął się Maciuś.

Już wie całe miasto, że Maciuś się uśmiechnął.

— Śpi. Obudził się. Pił mleko.

Cieszą się dzieci, cieszą się doktorzy — całe miasto wesołe.

— Maciuś znow gorączkuje.

Smutek.

— Znow gorączkuje.

— Wezwał Felka do siebie.

Myśleli, że zapomniał o Felku. Potrzebny Maciusiowi spokój. Jak zobaczy Felka, może się zdenerwować. Niech będzie w pobliżu, ale go nie wprowadzać. Może zapomni.

A Maciuś zasnął. A co oczy otworzy — patrzy tak, jakby czekał. Aż się doczekał.

— Czy przyjechała już Klu-Klu?

Tak: wczoraj właśnie. Gdy tylko telegraf bez drutu przyniósł straszną wiadomość, rzuciła Klu-Klu wszystko — i aeroplanem — okrętem — koleją — bez tchu — przybyła do stolicy Maciusia.

Widocznie przeczuł Maciuś, bo głośniej niż przedtem powiedział:

— Zawołajcie Klu-Klu i Felka.

Uklękli przy łóżku Maciusia.

— Felku, nie martw się. Klu-Klu — to moja ostatnia prośba...

Cisza. Zmęczył się Maciuś.

— Weź, Felku, ten pierścień. Klu-Klu niech weźmie kolczyki. Tobie, Felku, trudno tu żyć. Jedź z Klu-Klu. A jak urośnięcie...

Zakasał Maciuś... Na uśmiechniętych ustach pokazała się krew... Przymknął Maciuś oczy — i już nie otworzył...

I już całe miasto wiedziało, że Maciuś umarł.

I kraj.

I cały świat.

*

Na wysokiej górze bezludnej wyspy pochowano Maciusia. Alo i Ala przystroili grób Maciusia kwiatami. A nad grobem śpiewają kanarki.

Ten utwór nie jest objęty majątkowym prawem autorskim i znajduje się w domenie publicznej, co oznacza że możesz go swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać. Jeśli utwór opatrzony jest dodatkowymi materiałami (przypisy, motywy literackie etc.), które podlegają prawu autorskiemu, to te dodatkowe materiały udostępnione są na licencji Creative Commons Uznanie Autorstwa – Na Tych Samych Warunkach 3.0 PL.

Źródło: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/korczak-krol-macius-na-wyspie-bezludnej/>

Tekst opracowany na podstawie: Janusz Korczak, Król Maciuś na wyspie bezludnej, Instytut Wydawniczy "Nasza Księgarnia", Warszawa 1978.

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>). Publikacja sfinansowana ze środków pozostałych ze zbiorów, które nie zakończyły się sukcesem.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Agnieszka Gąsior, Paulina Choromańska, Paweł Koziol.

Okładka na podstawie: [mrhayata](#), CC BY-SA 2.0

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Nowoczesna Polska – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przekaż 1% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Nowoczesna Polska, KRS 0000070056.

Pomóż uwolnić konkretną książkę, wspierając zbiórkę na [stronie wolnelektury.pl](http://wolnelektury.pl).

Przekaż darowiznę na konto: [szczegóły na stronie Fundacji](#).